

NIEPOKALANA
Z L U R D

NIHIL OBSTAT
P. Dembiński, C. M.,
Censor librorum

Nr 734

REIMPRIMATUR

Varsaviae, die 1 Februarii 1957 an.

Vicarius Generalis
Episcopus Auxiliaris Varsaviensis
† W. Majewski

NOTARIUS: L. Kotyński

PRZEDMOWA

Upływa sto lat od słynnych objawień Niepokalanej w Lourdes, opisanych w niniejszej książce. Nie tylko Francja, ale cały świat katolicki składa dziękczynny hołd Matce Bożej za to, że raczyła zejść na ziemię i podać nam pomocną dłoń. Czci Ją i Polska, śpiewając nieustannie — na lurdzką melodię: Ave, ave, ave Maria...

Oczarowani jesteśmy pięknością Maryi, choć widzimy Ją tylko oczyma wiary, a nie jak św. Bernadeta — twarzą w twarz. Tota pulchra es Maria — Całaś piękna jest, Maryjo — wołamy w zachwycie. Nigdy wierni nie wątpili w Niepokalane Poczęcie Maryi, ale gdy Kościół potwierdził uroczyście ich wiarę, wydając w 1854 r. orzeczenie dogmatyczne, gdy w niespełna cztery lata potem sama Najśw. Panna, zjawiwszy się w Lourdes, oświadczyła: „Jam jest Niepokalane Poczęcie“, radości naszej nie masz końca. Przebija ta radość w bystrej myśli teologa, zgłębiającej tajemnicę Maryi, i w strzelistym natchnieniu poety, rozkwita pod pędzlem czy dłu-tem artysty, wytryska całą gamą uczuć w pieśni ludowej. Jeden tylko przesłania ją cień: cichy żal, że nie da się zgłębić ani oddać należycie rzeczywistości, gdyż przekracza najśmielsze marzenia.

Objawienie Niepokalanej rozjaśniło mroki naszych czasów, stało się zorzą promiennego jutra. Daleko odbiegliśmy od rajskiego ideału niepokalaności i od rajskiego szczęścia. Niejeden — w odmętach niewiary i grzechu — pogrążył się w rozpacz. Świat cały, wytracony z Bożych kolein, stanął nad przepaścią. I oto w krytycznym momencie nadchodzi ratunek z nieba. Pod Pirenejami rozlega się potężny głos samej Matki Najśw., która strzeże świata jak żrenicy oka: „Pokuty, pokuty, pokuty!“ Tak woła do pastuszki i do każdego z nas. Tylko przez pokutę — przez zdecydowane zerwanie z grzechem i szczerą odmianę życia — utworzymy drogę łasce i upodobnimy się do Tej, która depcze głowę węża i która jest pełna łaski. Tylko pod tym warunkiem ludzkość usłyszy Jej zapewnienie dane Bernadecie: „Obiecuję uczynić cię szczęśliwą.“

Na naszych oczach dokonuje się maryjne przeobrażenie świata. Niepokalana budzi i umacnia pokutne zrywy, pociąga śladem swoim na szczyty. Wciąż doświadczamy, jak przeobfite jest źródło Jej Niepokalanego Serca, wciąż pulsujące łaską Bożą. Sama doń słodko zaprasza: „Idź do źródła, napij się z niego i obmyj się w nim.“ Symbolem Serca Maryi jest źródło w Grocie Massabielskiej, przy którym cuda nie ustają. „Patrzcie na Lourdes — woła Papież Pius IX — gdzie kwitnie chwała Niepokalanej Maryi Dziewicy!... Iluż to ludzi, co błodziło zszedłszy z drogi prawdy chrześcijańskiej wróciło tu na łono Matki-Kościola; iluż grzeszników porzuciło tu występne swe życie! Iluż to ludzi za Bożym natchnieniem weszło tu na drogę doskonalszego życia; iluż na koniec słabych i chorych uzyskało tu

z wyższej mocy doskonałe zdrowie!" Nie potrzebujemy zazdrościć Francji, gdyż i u siebie — w kaplicy jasnogórskiej — mamy maryjną stolicę łaski, obchodzącą już trzechsetny jubileusz. Zresztą do Serca Matki Niebieskiej można się przytulić w każdym zakątku całej ziemi.

Niestety, nie wszyscy jeszcze przyjęli lurdzki apel pokuty, nie każdy zbliżył się do Niepokalanego Serca Maryi. Jakże wielu nie chce zrezygnować ze swojej pychy, nie chce oczyścić się z grzechu w krynicy łaski! Czyż opuści te najbardziej nieszczęśliwe swe dzieci Niepokalaną? Nie, nie zostawi ich na pastwę szatana, swego odwiecznego wroga. Skrzykuje odane sobie dusze i woła do nich jak do Bernadety: „Trzeba się modlić za grzeszników!“ Wskazuje na różaniec i sama przesuwając jego paciorki, przedkłada nasze i swoje modły Bogu. Chce posłużyć się milionami swych czcicieli jako narzędziem w zdobyciu świata. W XIX w. stanęło na apel apostolski Maryi kilkaset nowych zgromadzeń zakonnych, które przyjęły Jej nazwę, najczęściej złączoną z przywilejem Niepokalanego Poczęcia. W XX w. pod tym znakiem polski franciszkanin O. Maksymilian M. Kolbe formuje, głównie spośród katolików świeckich, Rycerstwo Niepokalanej, by niosło „szczęście całej ludzkości w Bogu, przez Niepokalaną“, a sam w tym celu nie waha się zstąpić do otchłani bunkra głodowego w obozie oświęcimskim, byle tylko przywrócić ojca rodzinie i nie pozwolić na śmierć skazańców w rozpacz. Każdy może i powinien służyć Niepokalanej w ratowaniu dusz, na tym odcinku, który mu sama wyznaczy.

Jedno jeszcze zlecenie zostawiła Niepokalana przed stu laty w Lourdes: „Pragnę, żeby tu przychodziły procesje.“ Co roku przybywa do Lourdes miliony pielgrzymów, a z okazji jubileuszu zwielokrotnią się na pewno ich szeregi, by uczcić godnie Matkę Bożą i przy Niej ożywić swoje serce. I my, Polacy, pośpieszmy do Lourdes, pośpieszmy przynajmniej rzewną myślą i kochającym sercem. Pielgrzymkę duchową ułatwi nam niniejsza książka, którą przed wojną przygotował do druku O. Maksymilian, a obecnie wydaje, już po raz drugi, jego Niepokalanów. Trudno oderwać oczu od kart pisanych ręką tego, który w Lourdes uratował gasnący wzrok i gasnącą wiarę. Już niejednen przy tej lekturze doznał podobnej łaski.

Wszystkich, którzy będą czytać książkę Lasserre'a, z serca błogosławie i życzę, by pokochali Niepokalaną tak, jak ją kochała we Francji św. Bernadeta Soubirous, a u nas O. Maksymilian Kolbe, prawdziwy rycerz Niepokalanej.

+ W. Kolbe

Lourdes, 19. II. 57

I

LURD

Lurd¹ — to małe miasteczko francuskie w departamencie Górnych Pirenejów (Hautes Pyrénées). Rozrzucone jest ono bezładnie u podnóża potężnej skalistej góry, która wznosi się pojedynczo, jakby oderwana od łańcucha swoich siostrzyc górskich. Ze szczytu stromej, granitowej ściany spogląda w dolinę ogromny, starożytny zamek warowny.

Zbiega się tu siedem wąwozów górskich, rozlewających się w obszerną falistą dolinę, którą przecina wartki, spieniony nurt Gawy. Srebrna wstęga strumyka wije się wśród pagórków, to nagich i skalistych, to porośniętych zielenią lub szumiącymi drzewami i tworzy krajobrazy raz dzikie i groźne, to znów kojące, ożywcze i pełne uroku.

Warowny zamek, przyczepiony jak orle gniazdo do skały i zwisający nad doliną Lurd, był ongi, gdy nie znano jeszcze armat i samolotów, fortem nie do zdobycia — kluczem zamykającym dostęp do Pirenejów. Tradycja niesie, że Karol Wielki w swych walkach przeciw niewiernym nie zdołał nigdy opanować tej niedostępnej, warownej siedziby maurytańskich wojowników; trzeba było dopiero pomocy nadzwyczajnej, niezwykłego znaku. Zdarzyło się bowiem, że gdy raz jednego cesarz szturmował daremnie do niezdobytych murów, oto nad jedną z najwyższych wież zamkowych pojawił się niespodzianie orzeł, który wisząc w obłokach, wypuścił z dzioba wielką rybę, złowioną widocznie w sąsiednim jeziorze.

Obleganym przez Karola Saracenom dokuczał właśnie głód. Odczuwał go i sam Mirat — pan zamku, obok którego spadł właśnie posiłek w postaci ryby, postnej potrawy chrześcijan. A było to w sam raz w piątek. Ponadto ryba w owej epoce była symbolem Chrystusa Pana i znakiem rozpoznawczym u pierwszych chrześcijan. Mirat więc uznał w tym zdarzeniu palec Boży; poddał się cesarzowi i przyjął nawet chrzest święty. Odtąd godłem tego zamku i herbem późniejszych jego dziedziców stał się orzeł trzymający w dziobie rybę. Mirat, jak głoszają kroniki, z rycerza Mahometa przemienił się w rycerza Przenajświętszej Panny i kazał wyryć ów herb na swojej tarczy, jako znak swej całkowitej uległości i poddaństwa nowej Pani i Królowej.

Obecnie jest to herb miasta Lurd.

Lecz potomkowie jego nie służyli wiernie Najśw. Panience, bo oto przez całe średniowiecze kolejni dziedzice zamku — rycerze łupieżcy² — byli postrachem całej okolicy.

¹ Przyjęto pisownię zgodną z wymową, właściwie pisze się Lourdes.

² Ten typ rycerza był w Polsce nie znany, a i we Francji mało był rozpowszechniony. „Raubritterzy“ znani byli przede wszystkim w Niemczech. (Przyp. tłumacza).

W XVIII wieku zamek zamieniono na więzienie dla przestępców politycznych. Wielka rewolucja znów uczyniła zeń warownię pograniczną, obsadzoną przez niewielki garnizon. Taką mało znaczną, drugorzędną, nieznaną miejscina-warownią pozostawało Lurd przez czasy pierwszego cesarstwa, za Bourbonów i w okresie drugiej Republiki, aż stało się ono potężną fortecą... ale fortecą zgoła odmienną, bo niezdobyтым bastionem wiary i Kościoła.

Miasteczko to, choć zagubione wśród gór, było jednak od dawien dawna dosyć ożywione. Tędy bowiem prowadziła droga do kilku pirenejskich miejscowości kuracyjnych i zdążający do nich kuracjusze zatrzymywali się zwykle w Lurd, celem zwiedzenia starożytnego zamczyska. Nadto do miasteczka przylegały nie tylko wsie, zamieszkałe przez prosty lud wieśniaczy, ale i większe posiadłości ziemskie, których dziedzice wnosili w życie miasteczka umysłową kulturę. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Lurd abonowali sporo różnych dzienników i czasopism, dyskutowali w klubie o polityce, o zagadnieniach społecznych, o filozofii i hołdowali najrozmaitszym kierunkom umysłowym i religijnym.

Rok 1858, w którym rozpoczyna się niniejsze opowiadanie, pełen był gorących dyskusji i zacieklej sporów. Francja przeżyła w tym okresie szereg politycznych i społecznych zmian, a kotłowało się również i w całej Europie. W związku z tym ściierały się poglądy, szerzyło wolnomyślicielstwo, toczyła się namiętna walka przeciw Kościołowi. Więc i w Lurd nie brakło niedowiarków, ludzi „postępowych“ i ...zarozumiałych, większość jednak pozostała nadal konserwatywna, w dobrym znaczeniu tego słowa.

Ludność Lurd i jego okolic nie jest wprawdzie fanatyczna, jednak od wieków otacza szczególną czcią Imię Przenajświętszej Panny. Istnieją tu liczne stowarzyszenia mariańskie, a szczęściem i zaszczytem jest do nich należeć, hańbą zaś zostać z nich wyłączonym.

Tak wygląda duchowe oblicze Lurd, które do dziś nie uległo zasadniczej zmianie, ale za to w ciągu ostatnich lat dziesięciu¹ wielkiej przemianie uległ jego wygląd zewnętrzny. Wtedy nie dochodziła tu jeszcze linia kolejowa i nikt nie myślał o przeprowadzeniu jej tędy. Istniały wprawdzie plany, ale projektowano przeciągnięcie toru w znacznej odległości od miasta, w kierunku zachodnim. Na tej podstawie miasto rozwijało się i zabudowywało przeważnie w tę stronę, a pustoszało coraz bardziej od wschodu, gdzie Gawa tworzy nagły zakręt niemal pod kątem prostym.

Przekopano tam kanał dla połączenia jej górnego biegu z dolnym i powstała w ten sposób jakby wysepka około kilometra długości, cała porośnięta śliczną łąką, zieleniejącą wśród granitowych wzgórz. Jest ona własnością p. de Laffitte (czytaj Lafit), mieszkańca Lurd, do którego należy również wielki młyn zbudowany na kanale w ten sposób, że jak most łączy jego dwa brzegi. Kanał wpada powrotnie do Gawy w odległości zaledwie kilku metrów od skały zwanej Massabielle (czyt. Masabiel), co

¹ Autor pisze to w 1869 roku. (Przyp. tłum.).

w narzeczu miejscowym znaczy „Stara Skala”. W tym właśnie miejscu znajdują się w skale trzy otwory. Największy z nich, na równi z ziemią, tworzy wejście do obszernej groty ciągnącej się przeszło trzynaście metrów wszerz i tyleż w głąb, a cztery metry wysokiej u wejścia. Dalej sklepienie jej trochę się zniża. Obok tej groty, na prawo od jej wejścia i koło półtora metra ponad ziemią, znajduje się drugi otwór mniej więcej w kształcie owalu dwumetrowej wysokości. Zagłębia się on w skałę jak tunel, który rozdwajając się zawraca jednym ramieniem pod górę w kierunku powrotnym i tworzy trzeci otwór w skale. Drugie zaś ramię tunelu skręca ku grocie i przebija prawą jej ścianę owalem podobnym do poprzedniego. Jest to w połowie głębokości groty jakby oświetlona kościelna nisza, wpada bowiem do niej światło z pierwszego ramienia tunelu, wyzierające na zewnątrz. Po dnie tej niszy wije się gałąź dzikiej róży, wystająca z jakiejś szczeliny skalnej.

II

CÓRKA MŁYNARZA

Jedenasty luty jest dniem święta diecezjalnego w Tarbes (czyt. Tarb). Do tej właśnie diecezji należy Lurd, gdzie dnia tego w 1858 roku weselono się podwójnie. Był to bowiem tłusty czwartek. Ale niewesoło było w rodzinie Franciszka Soubirous (czyt. Subiru), zajmującego dwie skromne izby w nędznym domku przy ulicy Petits-Fossés (czyt. Pti-Fose). Już od dłuższego czasu zaglądała tam bieda i dnia tego zabrakło nawet opału do ugotowania obiadu.

Soubirous był z zawodu młynarzem, lecz nie posiadał własnego młyna i pracował jako najemnik „na dniówkę”. Nie była to praca stała. Niejednokrotnie brakło zarobków i — co za tym idzie — odwagi do życia. Ale do jej odnalezienia dopomagała zawsze Franciszkowi jego żona Ludwika, z domu Castérot (czyt. Kastero), pobożna katoliczka i dzielna kobieta. Mieli czworo dzieci: dwie dziewczyny, z których starsza dobiegała lat czternastu, i dwóch znacznie młodszych chłopców.

Starsza córeczka dopiero przed dwoma tygodniami powróciła pod dach rodzicielski. Dotąd pozostawała u obcych niemal od urodzenia. A stało się to z przyczyny, że Ludwika Soubirous ciężko zaniemogła wkrótce po powrocie tego pierwszego dziecka i utraciła pokarm. Oddano więc dziewczynkę na wieś „do mamki” i opłacano za nią 5 franków miesięcznie. Ponieważ dziecko było delikatne i słabowite, postanowiono ze względów zdrowotnych pozostawić je na wsi i nadal.

Tymczasem przyszło na świat troje dalszego rodzeństwa. Ale zaglądała też i bieda. Nie było czym płacić za utrzymanie dziewczynki. Opieku-

nowie tak ją jednak polubili, że zgodzili się wychowywać ją darmo. Zresztą była im już pomocną w gospodarstwie jako pastuszka małej chłopskiej trzódki owiec.

Zajęcie to było jakby dla niej przeznaczone. Cierpiała bowiem na atsmę, a całodzienne przebywanie na słońcu wśród łąk łagodziło napady kaszlu i duszności. Pozostała jednak tak szczupłą i drobną, że wyglądała zaledwie na dziesięcio lub jedenastoletnie dziecko o wielkich oczach i delikatnej, niemal przezroczystej cerze.

Jej opiekunowie byli ludźmi dobrego serca, lecz prości, a nawet tak dalece ciemni, że doszedłszy do czternastego roku życia dziewczynka nie nauczyła się już nie tylko czytać, ale nawet katechizmu, i dotąd jeszcze nie była u Komunii św. Cała jej wiedza i cała znajomość religii sprowadzała się do odmawiania koronki. Ale też z różańcem swym nigdy się nie rozstawiała. Pilnując trzody, wciąż przesuwała paciorki.

— Spośród mej trzódki — mówiła — najbardziej kocham tę malutką owieczkę, bo takie to maleńkie i słabe.

I wśród innych dzieci sama była jak owa owieczka, najdrobniejsza i najśłabsza. Ludwikę Soubrouse przerażało to wszakże, że jej córeczka nie знаła jeszcze w tym wieku katechizmu i nie przystępowała do Stołu Pańskiego. Postanowiła więc odebrać ją od opiekunów i posyłać do szkoły. Dziewczynka zaczęła do niej uczęszczać z końcem zimowych ferii, tj. od Trzech Króli, aby móc według miejscowego zwyczaju przystąpić do pierwszej Komunii w miesiącu Maryi.

A tymczasem był oto tłusty czwartek 11 lutego i brakło opału na obiad...

— Idź, Marysiu, nazbierać gałęzi.

Marysia była młodszą córeczką Ludwiki. Zarząd miasta pozwalał ubogiej ludności zbierać gałęzie na podmiejskich gruntach należących do gminy. Okalały one Massabielską Skalę, u której podnóża rosły kępy drzew.

— I ja z nią pójdę, mamó.

— Nie, kochanie, nie pójdziesz. Chłodno dziś i mogłabyś się przeziębować.

Na to właśnie nadeszła piętnastoletnia Jasia Abadie, córka sąsiadów, i wszystkie zaczęły prosić i nalegać, by pozwolono im iść we trójkę. W końcu więc matka ustąpiła.

— No dobrze już, dobrze. Ale włóż „kapulecik”.

Tak nazywają w Pirenejach specjalny rodzaj kaptura noszony zimą przez tamtejszą ludność. Jest to kaptur połączony w jedną sztukę z peleryną sięgającą do pasa.

Pastuszka otuliła się więc w swój kapulecik z białego sukna i wyszła razem z Jasią i Marysią. Najkrótsza droga do Massabielle prowadziła przez most na Gawie i dalej wyspą pana de Laffitte aż do jego młyna tworzącego drugi most. Potem należało cypel wyspy okrążyć.

Trójka dziewczątek podążała wzdłuż wyspy. Dwie większe szły żwawo. Trzecia, dysząc trochę, starała się dostrzymać im kroku. Błada jej twarzyczka, zaróżowiwszy się pod jasnym kapturkiem, była pełna wdzięku. Nie pochodziło to z jakiejś szczególnej piękności rysów, lecz raczej ze

słodkiego ich wyrazu. Wielkie piwne oczy miały dziwnie czyste wejrzenie pełne ufności i dobroci. Ta dziecinna twarzyczka przykuwała uwagę każdego, kto na nią spojrzał i czyniła na wszystkich głębokie wrażenie. Malowało się w niej bowiem coś bardzo rzadko spotykanego, co nazwać było można jednym tylko określeniem: majestat niewinności.¹

Wszystko tu już powiedziano o tym dziewczątku, z wyjątkiem jej imienia. Patronem jej był jeden z największych doktorów Kościoła — ten, którego geniusz szukał ucieczki i schronienia szczególnie w opiece Dziewiczej Matki Bożej: święty Bernard. To wielkie, poważne imię, którym ochrzczono skromną dziewczynkę uległo według zwyczaju wdzięcznemu zdrobnieniu. Nazywano ją Bernadeta.

Podążała tedy mała Bernadeta ze swymi towarzyszkami zbliżając się ku cypłowi wyspy. Młyn był dnia tego nieczynny dla jakiejś poprawki, skutkiem czego wodę w kanale spuszczo i była tak płytka, że sięgała zaledwie do kostek. Janka i Marysia rozzuły się więc szybko i przebiegły w paru susach na drugi brzeg.

— Brr, zimno — otrząsnęły się.

Bernadeta obawiała się przeziębienia.

— Rzućcie kilka kamieni na dno — poprosiła towarzyszki — to się po nich do was przedostaną.

Kamieni było istotnie sporo po tamtej stronie przed grota, tylko na łące ich brakło. Ale dziewczynkom pilno było zbierać gałęzie, po które przyszły i na które czekano z obiadem.

— Eh, co tam! nie ci nie będzie — odpowiedziały. — Zrób jak my, rozzuj się i przebiegnij szybko. Rozetrzesz potem nogi.

Zdecydowała się więc Bernadeta, siadła na ziemi i powoli zaczęła rozsznurowywać trzewiki. Wtem usłyszała jakiś szum, jakby silnego wiatru, którego jednak nie czuła. Zdziwiona rozejrzała się dookoła w obawie, że zrywa się zawierucha, nierzadka w tamtych stronach o tej porze roku. Ale rosnące wokół drzewa nie drgały żadną gałązką. Była południowa godzina, pogodne niebo i najmniejszy wietrzyk nie zakłócał spokoju.

— Coś mi się przywidziało — pomyślała sobie Bernadeta i rozzuwała się dalej. Ale szum się powtórzył, więc zdziwiona znów podniosła głowę i okrzyk uwiązał jej w gardle. Zdumiona, olśniona, osunęła się na kolana i nieruchomo patrzyła w skałę po drugiej stronie kanału. Niezwykle, niepojęte zjawisko uderzyło jej wzrok.

Zjawisko to, o którym Bernadeta tegoż dnia opowiedziała, stało się tematem niezliczonych rozmów, dysput, zachwyty i wyszydzań, badań i opisów. Ludzie najrozmaitszych poziomów umysłowych, od najprostszych do najświatlejszych, od najłatwowierniejszych do najostroźniejszych niedowiarków, zadawali dziecku tysiące pytań, powtarzanych całymi tygodniami w rozmaitych formach. Bernadeta wciąż odpowiadała na nie z tym

¹ Warto może zwrócić uwagę, że autor używa tego określenia, pisząc swą książkę w 1869 roku, gdy nie przypuszczano jeszcze, że Bernadeta jest świętą i że za 64 lata odbędzie się jej kanonizacja. Autor jest więc widocznie głębokim obserwatorem, co zresztą przebiega z całej jego książki. (Przyp. tłum.).

samym niezmiennym spokojem i głębokim przekonaniem, zawsze jednakowo i niezmiennie od pierwszej chwili. Niczego z pamięci nie utraciła i fantazja nic jej do pierwszej opowieści nie dodała ani w niej nic nie zmieniła. Powtarzała te same szczegóły tyle razy i tak drobiazgowo, że obraz Wizji, która się jej ukazała, możemy dziś odtworzyć z największą dokładnością.

III

TAJEMNICZA ZJAWA

Ponad grota, przed którą Jasia i Marysia, pochylone, zbierały gałęzie, w owalnym obramowaniu skalistego otworu, stała postać kobieca nadzwyczaj piękna, cała otoczona aureolą jakiegoś niezwykłego światła. Unoszącej się dookoła Niej jasności nie była Bernadeta w stanie porównać z żadnym znanym światłem. Była to jasność silniejsza od słonecznej, bo dzień przy niej bladł. A jednak to potężne światło nie raziło jej wzroku. Przeciwnie: jakby głaskało oczy, kołysało i pociągało ku sobie, rozłaczając wokół jakiś błogi, słodki spokój. Wzrok kąpał się w tych promieniach z niewysłowioną rozkoszą. W jasności tej była potężna moc, a jednak nie było w niej nic oślepiającego. Była w niej radość i świeżość porannej gwiazdy, wzmocniona do potęgi wszystkich promieni nieba.

Postać niewieścia rysowała się na tle tej aureoli w konturach jasnych i wyraźnych. To nie była mglista, obłoczna, półprzezroczysta zjawia. Jak sobie w baśniach i legendach wyobrażamy duchy. Przed Bernadeta stała postać wyraźna, cielesna, wprost: ludzka żywa rzeczywistość. Od zwykłych ludzkich postaci tym się tylko różniła, że szła od Niej owa światłość i że była piękna — tak niezwykle, tak cudnie, tak inaczej piękna, że choćby Bernadeta była doskonałym malarzem i potrafiła Jej rysy odmalować najdokładniej, to jednak nie byłaby zdolna pędzlem tego piękna uchwycić i wyrazić. Wyraziłaby tylko piękno ludzkie, a ono było nadludzkie.

Była to wysmukła postać średniego wzrostu. Zdawała się być zupełnie młodą, może dwudziestoletnią kobietą. Ale jak piękno Jej, tak i młodość miała w sobie coś niezwykłego. Zdawała się ona być taką młodością, która nie mija i minąć nie może — młodością wieczystą. I było w tej młodości jeszcze coś nie dającego wyrazić się słowami. Było połączenie niemal dziecięcego wdzięku najczystszej dziewczyny z poważną, nieskończone wyrozumiałością, bezgraniczną dobrocią matki i z monarszym majestatem królowej.

Niezwykłe też były i Jej szaty pomimo swej skromności. Powłóczysta suknia była zupełnie gładka, lecz utkana z jakiejś materii, którą Bernadeta

starła się daremnie z czymś bądź porównać. Nie było to ni płótno, ni sukno, ni jedwab, aksamit lub złotogłów. Był to jakiś materiał śnieżnej białości, chyba utkany w tych pracowniach, w których stroją się lilie. Spod brzegu sukni wychylały się białe jak Ona, bosa stopy królewskie, wsparte na skale, po której wili się gałązki pnących dzikich róż. I właśnie dwie takie róże, lecz o barwie złotej rozkwitały leżąc na stopach tej cudnej Istoty.

Białą suknię przepasywała poniżej pasa błękitna szarfa, której lekko przewiązane końce spadały niemal do stóp. Powiewny biały welon pokrywał ciemne, gładko uczesane włosy i spadał po ramionach w dół sukni. Ani pierścieni na palcach, ani pereł na szyi, ani diademu nad czołem — niczego z tych ozdób, w które się próżność ludzka stroi, nie miała na sobie ta królewska Postać, a tylko z Jej modlitewnie splecionych dłoni zwieszał się różaniec. Był biały jak rząd mlecznych kropel nawleczonych na łańcuszek lśniący złotem zbóż.

Ten strój olśniewający bogactwem swej skromności, to światło sięgające promieniami w głąb duszy, niewypowiedziane piękno tej Postaci, Jej młodość świadcząca o nieustannym cudzie, Jej dziecięca czystość, macierzyńska dobroć, królewski majestat — wszystko to razem takie czyniło wrażenie, że człowiek ledwie by śmiał dotknąć stóp tej Istoty w obawie, by ich wargami swymi nie skalać, i pragnąłby tylko ucałować ziemię, po której stapały.

Toteż Bernadeta oniemiała w zachwycie i sama nie wiedząc, dlaczego padła na kolana, pochyliła czoło ku ziemi, a potem wzniosłszy oczy ku Zjawie chwyciła różaniec, z którym się nigdy nie rozstawała. Uczyniła to jakoś machinalnie, ujrzawszy różaniec w dłoniach stojącej przed nią Postaci.

I Ona również swe mlecze paciorki przesuwiała w palcach. Nie poruszała jednak wargami, nie szeptała słów modlitwy. Milczała i zdawało się raczej, że nadśluchuje jakichś głosów. Może wsłuchiwała się w rozbrzmiewające na wieki w Jej własnym sercu echo anielskiego pozdrowienia i w szept milionowych modlitw i zaklęć idących wciąż ku Niej z ziemi coraz szerszym strumieniem. Każde w milczeniu przesunięte Jej palcami ziarnko różańca było może deszczem łask niebieskich padających w ludzkie dusze jak krople rosy w kielichy kwiatów.

Któż to mógł wiedzieć. Postać bowiem milczała. Przemówiła dopiero później. I dopiero wtedy pojęto, kim Ona jest.

W pierwszej chwili Bernadeta tego nie wiedziała. Ogarnął ją tylko zachwyt. A kto wie, może nawet i jakieś przerażenie. Bo gdy chciała się różańcem przeżegnać, to wzniesiona ku czołu dziecinna jej dłoń zneruchomiała i ani znaku krzyża uczynić, ani słowa wyszeptać nie była w stanie.

Nolite timere — nie trwóźcie się — rzekł Jezus swym uczniom, gdy zbliżał się ku nim, stąpając po falach Jeziora Tyberiadzkiego. Postać, która wpatrywała się w Bernadetę, zdawała się mówić jej swym spojrzeniem te same słowa. Jakimś łaskawym i pełnym dobroci ruchem dłoni, który zdawał się być wszechmocnym błogosławieństwem udzielanym niebu i zie-

mi, uczyniła znak krzyża. I wtedy ośmielona Bernadeta znak święty powtórzyła.

Ego sum, nolite timere — jam jest, nie trwóźcie się. I dziecko przestało się już lękać. Zachwycona, olśniona, chwilami wątpiąca jeszcze o sobie, przecierając oczy, by przekonać się, czy nie śni, wpatrywała się w cudowną Postać, w niebieskie Objawienie. W gruncie rzeczy nie wiedziała jednak, jak to zrozumieć, co ma o tym wszystkim myśleć, i tylko szeptała pokornie: „Wierzę w Boga“... „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna“... — jedyną modlitwę, jaka była jej znana. Gdy wypowiedziała ostatnie jej słowa, Postać znikła.

Bernadeta doznała wrażenia, jak gdyby nagle zbiegła nad brzeg kanału z jakiejś niezmiernej wysokości. Rozejrzała się dookoła, nic się nie zmieniło. Skała z grotą wznosiła się przed nią w tym samym miejscu po drugiej stronie kanału. Nad grotą wiły się gałązki pnącej dzikiej róży, tylko że nikt już na nich nie stał. Jasia i Marysia zbierały suche gałęzie przy wejściu do groty.

IV

DZIECIĘCY „SOBÓR“

Wszystko to razem mogło trwać zaledwie kilkanaście minut. Nie dłużej bowiem towarzyszek Bernadety widziały ją na klęczkach. Teraz po głębokim wrażeniu, jakiego doznała, uspokoiła się już zupełnie, dokończyła rozzuwać się i połączyła się z Janką i Marysią na drugim brzegu. Widziały one, jak Bernadeta uklekła i odmawiała koronkę zapatrzona w coś powyżej naprzeciw siebie, lecz bynajmniej się temu nie dziwiły. Dzieci bowiem góralskie w tych stronach modlą się po kilka razy dziennie. Jasia i Marysia były przekonane, że Bernadeta prosi Boga, aby ją uchronił od przeziębienia, gdy będzie przechodziła boso przez zimną wodę kanału.

— Jak to, toście nic nie widziały?

— Nie. A cóżemy miały widzieć?

Bernadecie wydawało się może, iż nie powinna tego opowiadać, aby nie sprofanować tak pięknego zjawiska, jakie miała szczęście oglądać. Może woląла przeżywać w tajemnicy to wspomnienie. A może wprost nieśmiałość wrodzona powstrzymywała ją od zwierzeń. Dość, że postanowiła zamilczeć; ale nie potrafiła ukryć wewnętrznego niepokoju. Nie uszło to uwagi jej towarzyszek i w powrotnej drodze do domu nie przestawały zarzucać jej pytaniami.

— Coś ci jest. Musiało się coś stać. Coś ty takiego widziała?

— Widziałam kogoś ubranego w biel...

I wreszcie opowiedziała wszystko, jak umiała.

— Ale proszę was koniecznie, abyście tego nikomu nie powtarzały — dodała kończąc swe zwierzenia.

Ani Janka, ani Marysia nie wątpiły nawet przez chwilę, że widzenie Bernadety było prawdziwe. Czyste dusze dziecięce są zawsze dobrej wiary i nieskłonne do podejrzeń o kłamstwo lub chęć wprowadzenia w błąd. Zresztą, w słowach Bernadety brzmiała taka prawda i szczerłość, mówiła z takim przejęciem i z tak głębokim przekonaniem o rzeczywistości zjawiska, że niesposób było posadzać ją o udawanie.

Jasia i Marysia nie wątpiły więc, że Bernadeta mówi prawdę. Ale dzieci ludzi ubogich są zwykle lękliwe; i to jest zrozumiałe, bo przeciwności życia, a często krzywdy i cierpienia czyhają na nie ze wszystkich stron. Nie więc dziwnego, że pierwszą ich myślą i pierwszym uczuciem był przestach.

— Może ci się ukazało coś złego, co chce nam zrobić krzywdę? Wiesz co, Bernadeto, lepiej już tu nie wracajmy.

Tak były przerażone i niespokojne, że Marysia zapomniała o tajemnicy zastrzeżonej przez Bernadetę i powróciwszy do domu, opowiedziała o wszystkim matce.

— To głupstwa i dzieciństwa — odpowiedziała Ludwika Soubirous. — Cóż to za historie opowiada mi twoja siostrzyczka, Bernadeto?

Dziewczynka powtórzyła więc jeszcze raz wszystko, co widziała. Ale matka wzruszyła ramionami:

— Przywidziało ci się po prostu, tam nikogo nie było i nikogo nie mogłaś widzieć. Pleciesz głupstwa.

Bernadeta nie dała się jednak przekonać.

— Tak czy owak — odpowiedziała jej matka — nie chcę, żebyś tam więcej chodziła, i pamiętaj, że zabraniam ci surowo.

Zakaz ten bardzo Bernadetę zasmucił, bo właśnie z chwilą, gdy widzenie znikło jej sprzed oczu, poczuła do niego niewypowiedzianą tęsknotę i najgorętszym jej pragnieniem było ujrzeć je znowu.

Ale cóż było począć wobec zakazu matki? Bernadeta spuściła główkę z rezygnacją i zamilkła.

W ciągu dni następnych: piątku i soboty, wspomnienie zjawiska nie opuszczało Bernadety ani na chwilę i było przedmiotem nieustannych jej rozmów z Marysią, Janką i kilkoma innymi dziećmi. W duszy Bernadety żyła wciąż widziana przez nią Postać w całej słodocy. W tej niewinnej dziecięcej duszy zrodziło się płomienne pragnienie, najgorętsza tęsknota, by znów ujrzeć „Panią“ niezrównanie piękną.

Tak nazywała ją Bernadeta w najprostszej wieśniaczej mowie — „Pani“ (*La Dame*). Gdy ją jednak pytano, jaka to była Pani, czy była podobna do którejś z tych, które widywano czy to w kościele, czy na ulicy, lub do osób znanych z portretów i sławnych ze swej piękności, Bernadeta uśmiechając się potrząsała główką:

— Nie, te wszystkie piękne panie nie dają żadnego wyobrażenia o Tamtej. „Tamtej“ piękno nie daje się wcale opisać ani wyrazić.

Bernadeta żyła tylko pragnieniem Jej ujżenia. A inne dzieci przejęte były bądź strachem, bądź ciekawością.

W niedzielę słońce wstało radosne zapowiadając śliczną, ciepłą pogodę. W Pirenejach nierzadko zdarzają się takie nagle wiosenne dnie, które tu zabłądziły wśród zimy,

Wracając po Mszy św. z kościoła, Bernadeta poprosiła po drodze Marysie i inne dzieci, aby uprosiły jej matkę o cofnięcie zakazu i pozwolenie na pójście do Groty.

— A jeśli tam jest coś złego?

Lecz Bernadeta zapewniała, że to niemożliwe, bo nigdy nie widziała wyrazu twarzy i spojrzenia tak cudownie dobrego.

— Na wszelki wypadek — odpowiedziały jej dzieci, które uczyły się już katechizmu i bardziej były oświecone od biednej pastuszki — trzeba wziąć ze sobą wodę święconą i pokropić zjawisko; jeśli to diabeł, to ucieknie. Więc pokropisz i powiesz tak: „Jeśli przybywasz w imieniu Boga, zbliż się; jeśli w imieniu szatana, zniknij.“

Nie była to wprawdzie zupełnie ścisła i dokładna formuła egzorcyzmu, ale mali teologowie, a raczej małe lurdzkie „teolożanki“, bo były to same dziewczynki, rozumowały w tej sprawie z rozwagą i trafnością doktorów Sorbony.

Zdecydowano tedy na owym dziecięcym „soborze“, zaopatrzyć się w wodę święconą. Zresztą, sama nawet Bernadeta uległa jakiejś obawie na skutek wszystkich tych rozmów.

Teraz chodziło tylko o uzyskanie pozwolenia matki. Cała gromadka dzieci zaczęła o nie prosić natarczywie zaraz po spożyciu południowego posiłku. Ludwika Soubirous początkowo opierała się, ale pod naciskiem prośb i przyrzeczeń, że zachowają tam wszelką ostrożność, w końcu uległa. Dzieci udały się więc najpierw do kościoła, pomodliły się krótko i napełniły święconą wodą buteleczkę, przyniesioną przez jedną z dziewczynek, i wkrótce wszystkie znalazły się przed Grota. Czekano jakiś czas w napięciu i skupieniu, lecz nic się jakoś nie działo.

— Kłękniemy — rzekła Bernadeta — i odmawiajmy różaniec.

Dzieci zatopiły się w modlitwie i tak minęło kilka chwil. Nagle Bernadeta zmienia się na twarzy, jakieś niezwykle wzruszenie maluje się w jej rysach, jej wzrok świeci dziwnym blaskiem, jakby się w nim odbijało jakieś nadziemskie, z nieba płynące światło.

— Patrzcie, patrzcie! — woła — oto Ona!

Lecz, niestety, wzrok innych dzieci nie doznał tego cudownego wyzwolenia z ziemskich okowów, nie dopuszczających widzenia postaci duchowych. Dziewczynki widziały tylko skałę, grota i gałęzie pnących się dzikich róż u podnóża skalistego zagłębienia, w którym przed oczyma Bernadety stanęła żywa Postać nieznanej Istoty.

Rozpromieniona twarzyczka pastuszki świadczyła aż nadto wyraźnie, że ona Postać tę widzi. Jedna z dziewczynek wsunęła więc butelkę z wodą święconą w jej ręce. Przypomniało to Bernadecie przyrzeczenie dane towarzyszkom. Wstała z klęczek i potrząsając buteleczką w kierunku zagłębienia skały, gdzie „Pani“ stała, skropiła ją wodą święconą.

— Jeśli przybywasz tu od Boga, zbliż się...

Na te słowa Postać skłoniła głowę potakującym ruchem i podeszła aż na sam brzeg skalnego otworu. Zdawała się odpowiadać pobłażliwym uśmiechem na te ostrożności, przedsięwzięte przez Bernadetę i na tę „broń wojenną“, w jaką towarzyszek zaopatrzyły ją „na wszelki przypadek“.

RZ. KAT. PARAFIA

NAJŚW. SERCA JEZUSA

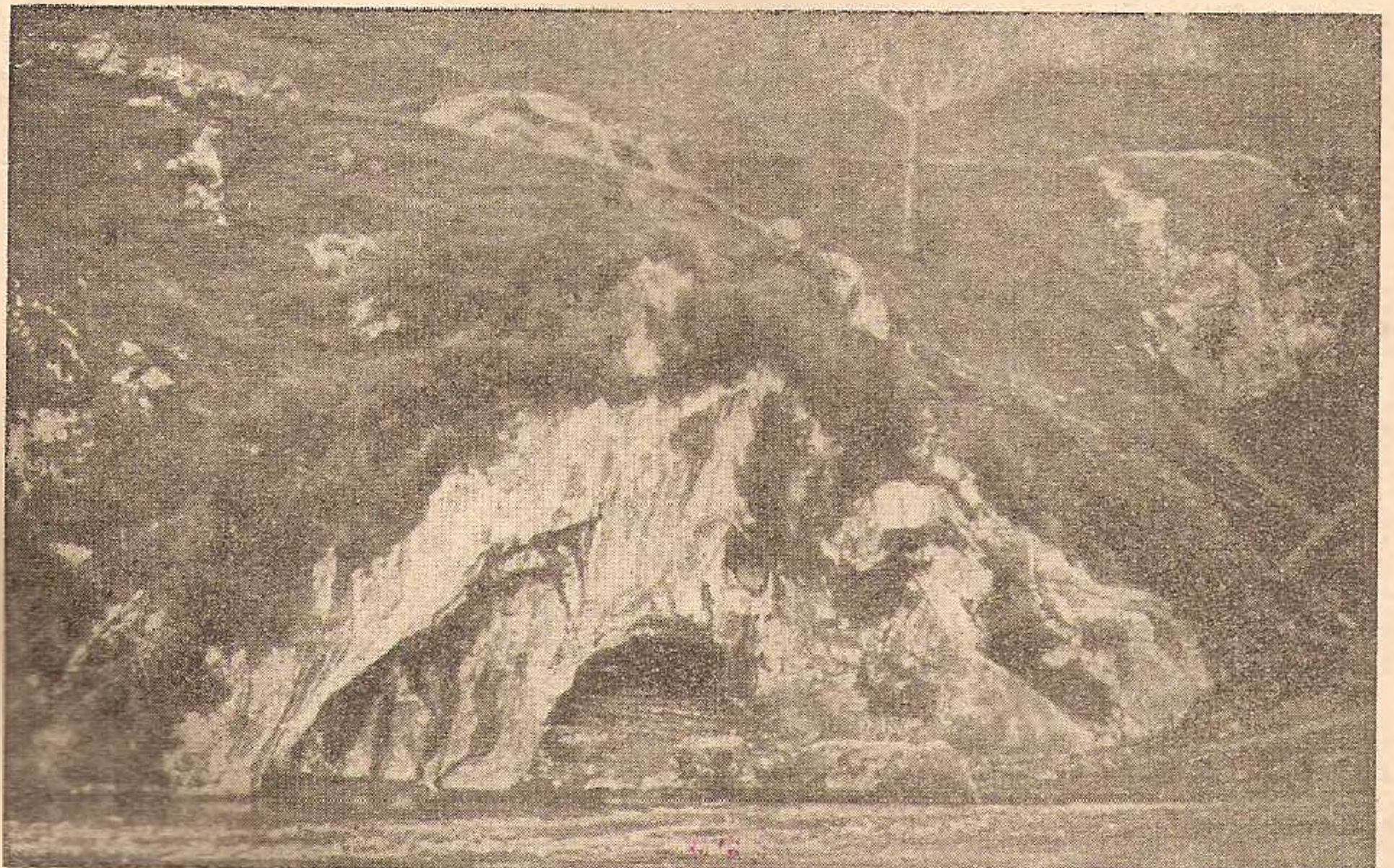
Radomsko

ul. Okrzei 2, Telef. 25-75

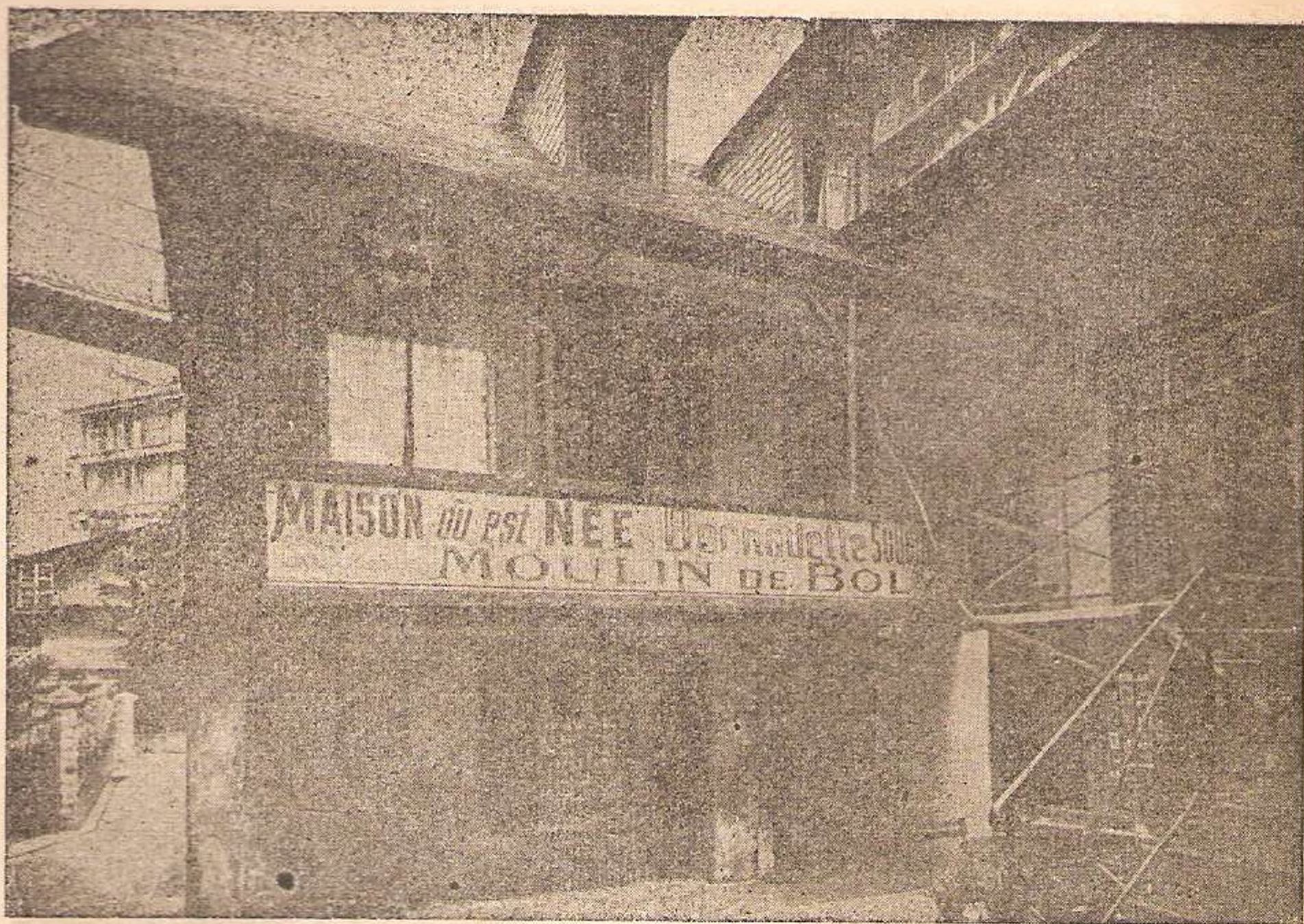
L. dz. 453



Lurd w czasie objawień



Grota w Masabielle dawniej



Młyn de Boly — tu urodziła się Bernadeta



Rodzice św. Bernadety

A gdy dziecko wymówiło Imię Boga, twarz „Pani“ większym blaskiem zajaśniała.

— Jeśli przybywasz od Boga, zbliż się... — powiedziała Bernadeta, lecz gdy spojrzała w to Oblicze jaśniejące chwałą, niewypowiedzianym pięknem i niebiańską, bezgraniczną dobrocią, dalsze słowa uwięzły jej w gardle. Nie śmiała, nie mogła mówić o szatanie. Te słowa, jakie jej poddano, wydały jej się zniewagą wobec Postaci, która przed nią stała w promieniach nadziemskiej dobroci i czystości. Wobec takiej Istoty imię szatana uleciało z myśli i z pamięci Bernadety, zanim warg dosięgło.

Padła na kolana i z oczyma wzniesionymi odmawiała różaniec, a Najśw. Panna zdawała się wsłuchiwać w tę modlitwę przesuwając mleczone paciorki własnego różańca.

Z ostatnią modlitwą Bernadety Zjawisko rozpląnęło się w światłości.

V

W MIEŚCIE ZAWRZAŁO

W powrotnej drodze do domu Bernadeta pełna była radości przeżywając w głębi duszy te niezwykle zdarzenia, jakie ją spotkały. Towarzyszkі odczuwały jakiś nieokreślony lęk, bo przemiana, jaką dostrzegły w wyrazie twarzy Bernadety, mówiła im jak najwyraźniej, że w jej widzeniu było coś nadprzyrodzonego. A leży to już w naturze ludzi zwykłych, że w pierwszej chwili przeraża ich wszystko, co sięga ponad granice przyrodzone. „Oddal się od nas, Panie, abyśmy nie umarli z przerażenia“ — mówili Żydzi w Starym Testamencie.

— Boimy się, Bernadeto, nie chodźmy tu już więcej. Może to, co widziałas, zjawia się, aby nam zrobić jakąś krzywdę.

Wróciły, jak to przyrzekły Ludwice Soubirous, na nieszpory. Po nabożeństwie śliczna pogoda wywabiała ludzi i grupkami wylegano na drogę, by użyć przechadzki za miastem. Opowiadanie dziewczynek biegło z ust do ust wśród spacerujących. Wieść więc o tych niezwykle rzeczach rozeszła się wkrótce po całym mieście.

O zdarzeniu, które poruszyło najpierw umysły kilkorga dzieci, opowiadano sobie teraz wszędzie; wiadomość o nim dotarła do rodzin robotniczych, dość licznych w Lurd i jego okolicy, do chat wiejskich, rozsianych dokoła miasta, a w mieście — do służących, do szwaczek, słowem — rozeszła się falą wśród biedoty i warstw ludowych, lecz — jak to zwykle bywa — ubarwiona i zmieniona przesadnymi dodatkami.

Siuchano, powtarzano, dyskutowano; jedni wierzyli, drudzy się wyśmiewali, jeszcze inni oburzali. Ludzie zamożni i tak zwani inteligenci, z kilkoma zaledwie wyjątkami, nie przywiązywali wagi do tych „bzdur“ i „głupiej gadaniny“.

Rodzice Bernadety, chociaż najzupełniej wierzyli w szczerść opowiadania dziecka, uważali ukazującą się jej Zjawę po prostu za przywidzenie.

— Ot, dzieciak, i tyle. Zdawało jej się, że coś widzi, ale przecież nic takiego widzieć nie mogła.

Niemniej jednak zastanawiała ich dokładność, z jaką Bernadeta powtarzała swe opowiadanie, wyrazistość Widzenia, jaka przebiegała się w jej słowach. Poruszeni niezwykłą obrazowością i żywością słów dziewczynki, czuli się chwilami zaniepokojeni i zachwiani w swym poglądzie na całe to zdarzenie. Chociaż postanowili zabronić jej ponownych wycieczek do Groty, zabrakło im do tego zakazu odwagi.

Ale Bernadeta i tak nie wybrała się tam aż do czwartku.

VI

A WIEŚCI SIĘ ROZCHODZIŁY

W ciągu pierwszych dni tygodnia kilkanaście osób, bliższych i dalszych znajomych, odwiedziło Ludwikę Soubirous, aby usłyszeć coś od Bernadety. Odpowiedzi dziecka były proste, wyraźne i stanowcze. Być może, że uległa złudzeniu, ale niesposób było wątpić o jej dobrej wierze. Prostota opowiadania, dziecięca szczerść bijąca z jej słów, a przy tym jakaś niezwykła powaga, czyniły głębokie wrażenie, wzbudzając wiarę nie tylko w szczerść słów, ale i w rzeczywistość faktu. Ktokolwiek słuchał opowiadania Bernadety, wychodził z głębokim przekonaniem, że w Grocie massabielskiej rzeczywiście zdarzyło się coś niezwykłego.

Ludzie już nie wątpili i nad tym się jedynie zastanawiali, co to mogło się Bernadecie ukazać. Czy był to jakiś dobry duch świetlany, czy anioł otchłani? A może jakaś dusza cierpiąca, która szukała modlitw dla swego wybawienia z czyśćca? Nie, nie, to najprawdopodobniej dusza takiej osoby (wymieniano nazwiska), która umarła cnotliwie i teraz ukazuje się w chwale. Słowem, przesądnych przypuszczeń było bez liku, a ulegały im nawet osoby spośród inteligencji.

— To najprawdopodobniej jakaś dusza czyśćcowa, co przyszła prosić o Msze św.

Tak orzekły pani Millet (czyt. Mile) i panna Antonina Peyret (czyt. Pejre) i poszły odwiedzić Bernadetę.

— Spytaj tej Pani — radziły dziewczynce — kim jest i czego pragnie. Niechaj ci to powie. Albo jeszcze lepiej, abys nie zrozumiała błędnie, poproś, żeby ci to wszystko napisała.

Bernadeta, która jak najgoręcej pragnęła powrócić do Groty, uzyskała pozwolenie rodziców i nazajutrz rano, zaraz po Mszy św., udała się tam w towarzystwie pani Millet i panny Peyret.

„OBIECUJĘ UCZYNIĆ CIĘ SZCZĘŚLIWĄ”

Roboty przy naprawie młyna pana de Laffitte były już ukończone i śluza była otwarta. O dostaniu się więc tą samą drogą co poprzednio nie mogło już być mowy i trzeba było wybrać inną, znacznie dłuższą i uciążliwszą drogę. Obie panie czuły się tym spacerem porządnie zmęczone. Natomiast Bernadetę, zawsze słabowitą i niewytrzymałą na zmęczenie, niosło coś jak na skrzydłach. Astma, która jej zawsze dokuczała zmuszając do wolnego kroku, całkowicie ustąpiła i dziewczynka szła tak żwawo, że panie ledwo mogły za nią nadążyć.

Droga, którą wypadało iść, wznosiła się najpierw łagodnie po skale, lecz potem trzeba było schodzić w dół po stromej pochyłości, dlatego stąpać należało teraz wolno i ostrożnie, bo spod nóg obsuwały się kamienie i skalne odłamki. Pani Millet i panna Peyret opowiadały później z niezwykłym zdziwieniem, że Bernadeta niemal biegła w dół, nie poślizgując się i nie potykając po staczających się kamieniach, gdy tymczasem one z wielkim trudem schodząc nie mogły za dziewczynką nadążyć. Toteż Bernadeta wyprzedzając je, przybyła prędzej do Groty i, jak zauważyły, klękła natychmiast i zaczęła odmawiać różaniec z oczami wzniesionymi ku zagłębieniu, w którym już dwukrotnie poprzednio widziała „Panią”.

Tymczasem pani Millet i panna Peyret zdążyły podejść do modlącej się już dziewczynki. W zagłębieniu nad Grotą widocznie nikogo jeszcze nie było, bo Bernadeta spokojnie i wyczekująco tam spoglądała. Nagle radosny okrzyk wyrwał się z jej ust. Dziewczynka ujrzała znaną jej już światłość, wyścielającą wnętrze zagłębienia, a w tej aureoli — cudowną, umiłowaną Postać. Zaledwie o kilka kroków ponad nią na skalnym wyskoku stała „Pani”, pełna niebiańskiej pogody i pochyliwszy swe oblicze nad dzieckiem, dała mu znak, by się zbliżyło.

Pani Millet i panna Peyret, słysząc okrzyk Bernadety, zauważyły jednocześnie ogromną zmianę na jej twarzy. Rysy twarzy dziecka przemienione w niebiańskim zachwycie promieniały w tej chwili wyrazem nadziemskiego szczęścia. Dziewczynka spostrzegła obie panie.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołała, wciąż wpatrzona w zjawisko — oto jest i każe mi się zbliżyć.

— Zapytaj, czy Jej nasza obecność nie gniewa. Jeśli tak, to odejdziemy.

Bernadeta pochyliła się bardziej ku „Pani”, a usta jej poruszyły się szeptem pytania. Po chwili, otrzymawszy widocznie odpowiedź, powiedziała:

— Nie; mogą tu panie zostać.

Obie kobiety ukłękły obok pastuszki i zapaliły poświęconą świecę, którą przyniosły.

Prawdopodobnie pierwszy raz od początku świata zabłysnął w tym górskim ustroniu taki płomyczek. Było coś tajemniczego i uroczystego w owej inauguracji świątyni wśród skalistego pustkowia. I jeśli Najświętsza Panna stanęła w nim rzeczywiście, to pokorny ten płomyk, zapalony przez dwie kobiety, już nie zgaśnie. Świecić tu będzie coraz potężniej przez długie wieki. Wysiłki niewiary nie zdołają zgasić go swym podmuchem i płonąć on będzie wiekuiście ku chwale Boga.

— Zbliź się do Niej, skoro tego żąda — odezwiała się do Bernadety pani Millet. — Zapytaj, kim jest i dlaczego przyszła. Może jest duszą z czyśćca, proszącą o pacierz? Może pragnie, by Msze św. na jej intencje odprawić? Masz tu papier i ołówek i poproś, żeby napisała, czego pragnie. Zapewnij ją, że jesteśmy gotowe uczynić wszystko, co jest potrzebne dla jej zbawienia.

Dziewczynka wzięła podany sobie papier i ołówek i zbliżała się nieśmiało ku Postaci, której macierzyńskie spojrzenie dodawało dziecku odwagi.

— Gdym tylko zrobiła pierwszy krok — mówiła potem Bernadeta — to „Pani“ spojrzała na mnie z jeszcze większą słodyczą i czułam, że Ona chce, abym szła, chociaż sama cofała się za każdym moim krokiem coraz głębiej w otwór, aż wreszcie znikła mi z oczu. I pomyślałam sobie, że poszła tamtędy do Groty, bo przecież przejście tam się zakręca. Więc weszłam, a tam z niszcy świecił już ten blask, co promienieje, jak się „Pani“ zbliża.

Bernadeta, widząc to, pobięła pod niszę obok Groty i w jej zagłębieniu, gdzie właśnie wiją się gałązki dzikiej róży, znów ujrziała „Panią“¹. Wspięła się na palce i drobną swą rączkę z papierem i ołówkiem wyciągnęła w górę, jak mogła; lecz, by sięgnąć do niszcy, i to było przy jej dziecięcym wzroście za mało. Obie panie, towarzyszące Bernadecie, podeszły ku niej i zatrzymały się w pewnym oddaleniu.

— O, Pani — odezwiała się pastuszka, wpatrzona w swe Widzenie — jeśli Pani ma mi coś do powiedzenia, to może będzie tak łaskawa napisać, o tutaj, kim Pani jest i czego Pani pragnie.

¹ Zeznania Bernadety i kilkudziesięciu świadków jej ekstazy znajdują się w protokółach komisji, która badała charakter widzeń Bernadety. Lekarze wyciągnęli stąd jednomyślny wniosek, że widzenia te nie były halucynacją. Ze jednak w owych czasach zjawiska natury mediumicznej nie były jeszcze tak znane jak obecnie, więc komisja nie brała wcale takiej możliwości pod uwagę. Pod koniec ubiegłego stulecia masoneria podjęła na nowo kampanię przeciw widzeniom Bernadety, utrzymując, że miały one charakter mediumiczny, to znaczy, że ukazująca się jej Postać Najśw. Panny mogła być zjawiskiem „materializacji myśli“. Otóż asystowałam parokrotnie przy doświadczeniach dokonywanych wspólnie przez prof. Ochorowicza i dra Rzezniewskiego, byłego asystenta Charcota. Oba twierdzili stanowczo, że zjawy mediumiczne, które Ochorowicz nazwał materializacją myśli, przenikają przez wszelkie ciała. Postać tego charakteru nie mogłaby żadną miarą zniknąć sprzed wzroku Bernadety, cofając się w głąb skały, bo przeniknęłaby przez grubość skalnej ściany podobnie jak przenikają radowe promienie alfa i gama przez wszystkie substancje z wyjątkiem ołowiu. (Przyp. tłum.).

Najświętsza Panna uśmiechnęła się z macierzyńską słodyczą na tę naiwną prośbę dziecka. Jej usta rozchyliły się lekko w tym samym uśmiechu i Bernadeta usłyszała słowa, które potem powtórzyła.

— *Pisanie tego, co ci chce powiedzieć, nie jest potrzebne, tylko bądź tak dobra i zechciej przychodzić tu przez piętnaście dni.*

— Przrzekam to Pani — odpowiedziała Bernadeta.

Proste słowa dziewczynki znów sprowadziły uśmiech zadowolenia na obliczu „Pani“, która uczyniła nad jej główką znak krzyża i na przyrzeczenie również przyrzeczeniem odpowiedzieć raczyła, mówiąc:

— *A Ja obiecuję uczynić cię szczęśliwą nie na tym świecie, ale na tamtym.*

Od dziecka żądała Królowa Niebios i Ziemi kilkunastu dni, wynagradzając za nie po królewsku — szczęśliwą wiecznością.

Bernadeta wpatrzona w Wizję cofała się ku swym dwóm towarzyszkom i zauważyła, że Najświętsza Panna, która wiodła za nią wzrokiem, teraz zatrzymała go na dłuższą chwilę na Antoninie Peyret, należącej do Stowarzyszenia Dzieci Maryi, spoglądając na nią z wyrazem wdzięku. Bernadeta powtarzała wciąż swym towarzyszkom, co widzi i słyszy.

— Teraz — zwróciła się do Antoniny — patrzy na panią.

Panna Peyret doznała na te słowa głębokiego wzruszenia i odtąd żyje jego wspomnieniem.

— Zapytaj Ja, Bernadeto, czy nie miałaby nic przeciwko temu, gdybyśmy obie towarzyszyły tu tobie za każdym razem przez te piętnaście dni.

Dziewczyna powtórzyła to niezwłocznie i usłyszała odpowiedź Najświętszej Panny:

— *Mogą tu z tobą przychodzić i one, i każdy inny. Pragnę widzieć ludzi w tym miejscu.*

Przy tych słowach Widzenie znikło sprzed oczu Bernadety zostawiając po sobie świetlistą jasność, która rozpraszała się powoli. I tego więc dnia, jak i dwa razy poprzednio, dziewczynka zauważyła pewien szczegół, który jej utkwil w pamięci i zdał jej się należeć do porządku rzeczy.

— Jak mi się Widzenie zaczyna — mówiła swym stylem i swym narzeczem — to zawsze najpierw jest światłość, a dopiero potem „Pani“. A jak Widzenie się kończy, to „Pani“ znika najpierw, a światłość dopiero potem.

VIII

URABIANIE OPINII

Powróciwszy do domu, Bernadeta zwierzyła się swym rodzicom z przyrzeczenia, jakie dała tajemniczej „Pani“, że przez piętnaście dni będzie przychodziła do Groty. Ze swej strony panie Millet i Antonina opowiadały o swych wrażeniach, o niezwyklej, nie dającej się opisać zmianie

w wyrazie twarzy Bernadety, gdy jej się Wizja ukazała i gdy ona z „Panią” rozmawiała. Była to zmiana tak nadzwyczajna i potężna, że one same niemal czuły obecność owej „Pani”.

Wiadomość o tym wszystkim rozeszła się szybko po miasteczku i okolicy, poruszając umysły w różnych kierunkach. Rozprawiano o tym na rynku, bo ów czwartek 18 lutego 1858 roku był właśnie dniem jarmarku w Lurd. Wieczorem o tym dziwnym zjawisku — prawdziwym według jednych, zmyślonym według drugich — wiedzano już w Bagnères, w Tarbes, w Cauterets, w Nay, w ogóle niemal w całym powiecie.

Nazajutrz czekało przed Grotą około sto osób już od wczesnego ranka, wyglądając przybycia Bernadety. W sobotę było ich blisko pięćset, a w niedzielę rano zebrał się już tłum kilkutysięczny.

Ale cóż tam widzieli? Cóż słyszeli ci wszyscy ludzie? — Nic. absolutnie nic, tylko biedną, małą dziewczynkę zatopioną w modlitwie, która utrzymywała, że coś widzi i coś słyszy. To olbrzymie zbiegowisko było doprawdy wielce dziwne — tak drobna przyczyna wywołała tak wielki skutek. Większość owego tłumu twierdziła, że nie można było oderwać wzroku od tego dziecka. Więc albo odbijał się w jej postaci ów z wyżyn górnych idący nań blask, albo Duch Boży, co porusza ludzkimi sercami, przeszedł po tych tłumach. *Spiritus, ubi vult, spirat*. Duch tchnie, gdzie chce.

Już nie tylko w powiecie, ale w całym okręgu ludność była poruszona jakby prądem elektrycznym. Wszystkich ogarnęło wrażenie wywołane... ale czym? Widokiem i słowami biednej, małej pastuszki?

W domach, w warsztatach, w sklepach, kawiarniach, na zebraniach, zarówno wśród osób świeckich, jak i wśród duchowieństwa, o niczym innym nie mówiono. Wszyscy rozprawiali z ciekawością i chęcią dowiedzenia się prawdy. Jedni byli wzruszeni widzeniem Bernadety i dziwnie ku niej pociągnięci, inni byli jej niechętni; ale wszyscy byli całą tą sprawą do głębi przejęci i wszyscy powtarzali: „Co to było?”

Instynkt ludu, nie czekając na wyjaśnienie, ani nawet na to, aby Wizja sama objawiła, kim jest, uprzedził Jej słowa.

— To chyba Przenajświętsza Paniienka ukazała się tej małej Soubirous — odzywały się zewsząd głosy w tłumnych zebraniach.

Ale Bernadeta nie umiała ani potwierdzić, ani zaprzeczyć — po prostu nie wiedziała, kim jest ta „Pani”. Skądże miała wiedzieć, skoro „Pani” jej nie powiedziała?

Odzywały się jednak też i głosy sceptyczne. Czy dochodziły do Bernadety? Może i dochodziły, ale cóż mógłby ten biedny „głupiutki” dzieciak odpowiedzieć owym „filozofom”, karmionym wolnomyślicielskimi gazetami, które w prasie przeważały? ¹

— To dziecko — mówiono — nie ma jeszcze kwalifikacji prawnych do składania zeznań i w sądzie nie mogłoby złożyć oświadczenia w najbar-

¹ Należy pamiętać, że była to epoka wielkich tryumfów materializmu w całej zachodniej Europie. (Przypisek tłumacza).

dziej nawet błahiej sprawie¹. A głupi lud chce wierzyć jego opowiadaniom, gdy chodzi o zdarzenie nieprawdopodobne i niemożliwe — o jakieś tam objawienie... Ha, ha, ha! ... niektórzy umieją sobie radzić! Przecież to jasne: po prostu historyjka z góry ułożona przez rodziców tej małej dla wyłudzenia pieniędzy.

— Nie, nie — odpowiadali inni. — Tę całą awanturę przygotowali raczej księża i ich klika. Nie trzeba być nawet jasnowidzem, aby przejrzeć na wylot tę całą intrygę.

Postanowiono tedy wśród lurdzkich wolnomyślicieli poznać Bernadetę, wziąć ją w krzyżowy ogień pytań i przyjrzeć się jej ekstazom. Niestety odpowiedzi dziewczynki były jasne, proste, naturalne. Niesposób było przyłapać ją na jakiegokolwiek sprzeczności i ludzie najbardziej uprzedzeni musieli w końcu przyznać, że z jej słów i zachowania się przebija najzupełniejsza szczerść i prawda.

— Widywaliśmy wszak w Paryżu najślawniejsze aktorki dramatyczne i żadna w swej grze nie potrafiła zdobyć się na taki wyraz prawdy jak ta mała o swej ekstazie.

Ale nie wszyscy wolnomyśliciele dali się tak łatwo zbić z tropu.

— Znamy doskonale podobne stany psychiczne — odpowiadali tamtym — i to jest już wyjaśnione przez medycynę. Ta mała jest zupełnie szczerą i prawdomówną, ale ulega halucynacjom (przywidzeniom). Jest najgłębiej przekonana, że widzi jakąś postać i słyszy jakieś słowa, lecz w rzeczywistości nic nie widzi i nie słyszy. Jej ekstazy są szczerze, ale są objawem chorobliwym, objawem nieprawidłowego działania centrów mózgowych.

Miejscowy dziennik „postępowy” „Le Lavedan” datowany 18 lutego 1858 r. opisał całe zdarzenie, zaczynając od tego, że „trzy dziewczynki zbierały gałęzie w pobliżu Groty, a ujrawszy nadchodzącego właściciela tego gruntu, uciekły i schowały się w Grocie”.

Artykuł rozpoczynał się więc od złośliwego urabiania opinii, że Bernadeta jest złodziejką kradnącą drzewo. Nie zdziwi to nikogo, kto zna metodę pisania dziejów przez wolnomyślicieli. Wszystko, co się w ich biednych głowach nie mieści, musi być nazwane bądź kłamstwem, bądź oszustwem, bądź kradzieżą.

W dalszym ciągu artykułu był opis zachowania się Bernadety, jej modlitwa i ekstaza: „Wzrok ma nieruchomo utkwiony w punkt, w którym wyobraża sobie, że widzi Matkę Boską. Cała ta awantura sprowadza co dzień do Groty nowych adeptów. Będziemy o niej czytelników naszych informowali w dalszym ciągu.”

O złej wierze Bernadety nie było mowy, albowiem już poprzednio uczciwsi zwolennicy wspomnianego dziennika stwierdzili szczerść zeznania dziewczynki. Toteż jego redaktor przyjął taktykę litowania się nad „chorym dzieckiem” i w dalszych swych artykułach nazywał ją stale „biedną wizjonerką”, ulegającą niewątpliwie atakom „katalepsji” (nerwo-

¹ Tak postanawiała ówczesna procedura sądowa, która dopiero w 20 lat później uległa zmianie.

wej choroby). Do halucynacji przybyła tedy katalepsja i wszystko zostało „wyjaśnione“. Lurdzkie „wielkie umysły“ wiedziały już wszystko z góry. A gdy proponowano tym „geniuszom“ wiedzy, aby jednak poszli do Groty i przyjrżeli się owym niezwykłym zjawiskom, temu powiewowi prawdy, jaki od postaci Bernadety udziela się zebrany tłumom, odpowiadali:

— Znamy, znamy te wszystkie objawy. Ta mała ulega chorobliwym przypadłościom, już rozpoznany przez medycynę i stan jej pozwala przewidywać, że za jakiś miesiąc nastąpi pomieszanie zmysłów i prawdopodobnie skończy się ogólnym paraliżem.

Najpoważniejszym i najbardziej dla swej wiedzy szanowanym lekarzem był w Lurd dr Dozous (czyt. Dozu). Lecz ten nieco inaczej ustosunkował się do całej sprawy.

— Zdarzenia tego rodzaju są dosyć rzadkie — mówił — toteż nie omieszkam skorzystać ze sposobności, aby ten przypadek zbadać bliżej. Zwolennicy bowiem zjawisk nadprzyrodzonych przeciwstawiają je wciąż medycynie. A więc skoro zdarza się okazja dokładniejszego zbadania tego zagadnienia, właśnie w interesie medycyny należy to uczynić.

Doktorowi Dozous postanowiło towarzyszyć jeszcze kilka osób spośród inteligencji, a między nimi mecenas Dufo (czyt. Difo) i prezes sądu Pougat (czyt. Puga).

Umówili się więc, że będą przez całe dwa tygodnie asystować ekstazom Bernadety, obserwując ją z bliska. Wskutek tego zjawisko nabrało dużego rozgłosu i przyciągało coraz liczniejszych obserwatorów.

IX

CO NA TO PROBOSZCZ?

Oczywiście, duchowieństwo nie mogło wobec tego wszystkiego pozostać obojętne. Ale kierując się wielkim taktem i jak najbardziej posuniętym obiektywizmem, przyjęło stanowisko pełne rezerwy. Jasne, że niezwykłość zdarzenia musiała budzić ciekawość duchowieństwa nie mniej niż wszystkich innych i księży niewątpliwie pragnęli poznać jego naturę. Miejscowi wolnomyśliciele widzieli z góry jedną tylko odpowiedź. Księża przewidywali możliwość wielu wyjaśnień. Mianowicie zjawisko mogło być, ich zdaniem, naturalne, a w takim razie źródło jego mogło leżeć równie dobrze w oszustwie, jak i w jakimś chorobliwym stanie Bernadety. Ale mogło też być i pochodzenia nadprzyrodzonego, w którym to przypadku należało rozstrzygnąć, czy się stoi wobec cudu Boskiego, czy wobec działań szatana.

Duchowieństwo brało pod uwagę wszystkie te cztery możliwości i postanowiło jak najstaranniej zbadać wszelkie okoliczności towarzyszące zdarzeniom, które miały się powtarzać codziennie przez dwa tygodnie. Lu-

dziom jednak nie łatwo jest zdobyć się na obiektywizm absolutny: toteż i księża nie byli całkowicie pozbawieni pewnych uprzedzeń. Dlatego do możliwości prawdziwego widzenia ze strony Bernadety odnosili się z bardzo daleko posuniętą ostrożnością.

Bernadeta, której imię stało się głośnie w całej okolicy, była całkowicie nie znana księżom z Lurd. Powróciła ona tu do swych rodziców zaledwie przed miesiącem i w parę dni po powrocie zaczęła uczęszczać na naukę katechizmu. A ks. Pomian, który wykładał wtedy katechizm dzieciom tej dzielnicy, nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Egzaminował ją może dwa lub trzy razy, lecz wśród znacznego grona dzieci nie przypominał sobie ani jej wyglądu, ani nazwiska.

Gdy w trzecim dniu widzeń Bernadety tłum ludzi zbiegł się do Groty i wiadomość o tym dotarła do ks. Pomiana, zapragnął poznać dziewczynkę bliżej i nazajutrz wywołał ją po nazwisku do wypytania z zadanej lekcji. Rozmawiał z nią dłużej, egzaminował gruntowniej, niż lekcja tego wymagała i przekonał się, że ma do czynienia z dzieckiem wyjątkowo mało na swój wiek orientującym się w sprawach religijnych.

Na czele parafii stał wtedy ks. proboszcz Peyramale (czyt. Pejramal), którego postać należy tu naszkicować. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, piastujący od dwóch lat urząd dziekana. Był trochę rubaszny, nie z braku wychowania, ale z natury. W umiłowaniu dobra i w piętnowaniu zła bywał nawet gwałtowny. Jego słowo, padając z ambony, było zawsze apostołskie, ale potrafiło też i grzmieć surowo.

Kto by znał proboszcza Peyramale wyłącznie tylko z tej strony, określiłby go może jako człowieka surowego, niewyrozumiałego, któremu obca była wszelka łagodność, a więc może i dobroć. Kto jednak widywał go przebiegającego ubogie dzielnice miasta w pocerowanej sutannie, w połatany obuwii, w wypłowiałym kapeluszu i był ciekawy poznać źródło tego niedbania o siebie, ten z łatwością mógł dowiedzieć się od biednych ludzi, że ks. Peyramale oddawał im wszystko, co posiadał. Oddawał ostatni grosz nawet tym, których gromił z ambony, jeśli się tylko dowiedział, że im bieda dokucza. Pod cerowaną sutanną tego surowego i bezkompromisowego człowieka biło serce wypełnione dobrocią.

Daremnie starał się ukrywać swe miłosierne uczynki, bo w małym mieście nic ukryć się nie da. Dobroć księdza Peyramale była więc wszystkim znana i kochano go powszechnie mimo surowości jego zasad i rubaszości słowa. Ba, nawet wolnomyśliciele lurdzcy mówili o nim, że to najlepszy i najzaczniejszy człowiek „pomimo że nosi sutannę, która mu przeszkadza patrzeć rozsądnie na świat i życie”.

Okazało się atoli, że ks. Peyramale patrzył na wszystko, a szczególnie na rozwój ówczesnych wydarzeń daleko rozsądniej, niż to wolnomyśliciele przewidywali. „Oho! — mówili — zaraz zleccą się tu klechy do Groty i halucynacje chorego dziecka okrzyczą za cud.” Ale tu stało się coś wręcz przeciwnego, bo ks. Peyramale, jako dziekan, zabronił podległym sobie kapłanom chodzić do Groty i zajmować się całą tą sprawą. Poprosił natomiast parę osób świeckich, znanych mu ze swej inteligencji, wykształce-

nia i spokojnych w ocenianiu zdarzeń, i polecił im, aby chodziły do Groty za każdym razem, gdy będzie tam Bernadeta. One to informowały księdza Peyramale o wszystkim, co widziały, a znowu ze swej strony były ciekawe, jakiego jest zdania ksiądz proboszcz.

— Hm... — odpowiedział im wreszcie — trudno tu cokolwiek twierdzić ze stanowczością. Ale jak dotąd cudowność tych zjawisk wydaje mi się wątpliwa. Jeśli to są cuda, Bóg sam tak pokieruje sprawą, że nam wszystko potwierdzi niezbitcie. Należy więc czekać, dopóki to nie nastąpi. A duchowieństwo nie powinno w żadnym razie towarzyszyć tłumom zbierającym się u Groty. Tłum bowiem skłonny do upatrywania cudu w tych zjawiskach, widząc księdza, gotów entuzjastycznie przy nim się zgrupować. I ksiądz mógłby ulec, bo i na nim widok Bernadety w ekstazie wywarłby pociągające wrażenie. Nam zaś, kapłanom, nie wolno w sprawach tak ważnych przyczyniać się nawet mimowolnie do błędnego ich tłumaczenia w jakimkolwiek kierunku.

Pomimo takich wyjaśnień sporo osób nalegało na księdza Peyramale, aby udał się z nimi do Groty. Odmówił jednak stanowczo.

— Nie. Muszę najpierw uważać, by te pielgrzymki nie doprowadziły do herezji, do jakichś szkodliwych, grzesznych przesądów i niepożądanych ekscesów. Gdyby się na to zanosilo, jest moim obowiązkiem zapobiec temu. Po takich szkodliwych owocach poznalibyśmy, że drzewo, które je rodzi, jest złe.

— Ależ na coś podobnego wcale się na zanoszą — uspokajano proboszcza. — Przeciwnie, tłum, który zbiera się u Groty, wyraża tam swoje uczucia zbiorowymi modłami do Matki Bożej.

— Więc zdarzenie — wyjaśniał dalej ks. Peyramale — cudowne czy niecudowne w swej postaci ma na razie wyraz dobry, bo modlitwę. Wobec tego należy spokojnie czekać, jak najskrupulatniej badać wszystkie okoliczności towarzyszące zjawiskom i zdać z nich sprawę właściwej władzy duchownej. Jeśli fakty pochodzą od Boga, to nie potrzebują niczyjej pomocy. Wszechmocny potrafi Sam usunąć wszelkie przeszkody i pokierować zdarzeniami według swych zamierzeń. Jeżeli zaś to, co się dzieje, nie jest dziełem Boga, to Bóg Sam jest w mocy nam wskazać, jak i kiedy mamy ludzi od zgubnych wpływów uchronić. Słowem — pozostawmy wszystko Opatrzności.

Te rozumne słowa proboszcza uzyskały pełną aprobatę jego bezpośredniego zwierzchnika, ks. biskupa Laurence (Lorans), rezydującego w Tarbes. W myśl tej aprobaty duchowieństwo całej diecezji zachowywało wobec zdarzeń jak najściślejszą bezstronność i powściągliwość. Licznym penitentom, którzy pytali w konfesjonale, co mają czynić, jak się zachowywać, chodzić czy nie chodzić do Groty, powtarzali zawsze jedno i to samo.

— A cóż robisz u Groty gdy tam chodzisz?

— Patrzę w tę stronę co i Bernadeta i modłę się do Przenajświętszej Panienki.

— Więc modlić się do Niej możesz zawsze i w każdym miejscu i nie ma w tym żadnego grzechu, jeśli się modlisz u Groty.

Stanowisko duchowieństwa było zatem ściśle wstrzemięźliwe, wskutek czego ludność nie mogła mieć od niego najmniejszej podniety do upatrywania w wydarzeniach nadprzyrodzonego źródła.

Już sama wstrzemięźliwość duchowieństwa powinna była jawnie wykazać, że w rozwoju tych wydarzeń działanie ludzkie nie grało żadnej roli i że przyczyny należało szukać gdzie indziej, to jest — wyżej.

X

KOMEDIA CZY HALUCYNACJE?

Widocznie Bóg tak chce, żeby Prawda przeszła przez próbę i zwyciężyła sama, bez ludzkiej pomocy. Powiedzmy przeciwnie: Prawdzie potrzebni są prześladowcy, aby ich ona pokonała swym blaskiem, choćby wrogowie używali podstępnych środków. Gdy Prawda przez próby te przechodzi, słabi drżą, bo się obawiają upadku Boskiego dzieła. *Quid timetis modicae fidei?* — „Czego się lekacie ludzie małej wiary?“ Wiedźcie o tym, że ci, co dziś zagrażają Prawdzie, stają się jej podporą na przyszłość.

Zapamiętali przeciwnicy Prawdy świadczą właśnie w obliczu wieków, że wielkie dzieło i głęboka w nie wiara nie zostały zbudowane cichaczem, lecz na oczach wrogów, by ci na wszystko patrzyli, wszystko widzieli i wszystko sprawdzali. Wrogowie mimo woli i wbrew swym zamiarom świadczą wobec pokoleń i wieków o Prawdzie cudu, skoro nie zdołały jej obalić wszystkie ich zjednoczone wysiłki. Świadczą, że na fundamentach tej Prawdy nie ma żadnej rysy, skoro badając je natarczywie przez lupę swej niechęci i nienawiści, nie zdołali wykryć najmniejszego zarysowania ani plamki.

Wrogowie Prawdy stają się wobec potomności świadkami najwiarogodniejszymi właśnie dlatego, że kontrolując najzawzięciej i z uprzedzeniem, powziętym z góry, utwierdzają to wszystko, co obalić pragnęli, a nie dali temu rady.

Dla prawdy zjawisk w Grocie lurdzkiej nie wystarczało wstrzemięźliwe stanowisko duchowieństwa; ona — dla swego utwierdzenia na wieki — szukała wrogów; a szukała ich wśród wielkich, możnych i uczonych, którzy by zbijaniem swym udowodnili boskość źródła owych zjawisk, przeciw którym tak zawzięcie podnosili głosy.

Gdy władza duchowna, idąc za rozumną radą proboszcza Peyramale, zachowywała wobec zdarzeń bezstronną powściągliwość, to władza świecka zaopiekowała się nimi ze szczególną troskliwością. Wieść o widzeniach Bernadety rozchodziła się z błyskawiczną szybkością i docierała coraz dalej w głąb kraju. Zaczęły napływać pielgrzymki coraz liczniejsze i coraz większe tłumy zbierały się u Groty.

Jakkolwiek spokój i porządek nie zostały ani na chwilę zakłócone, jednak owe pielgrzymki, owe tłumy modlące się w skupieniu, owo dziecko patrzące w ekstazie w niszę obok Groty na ukazującą się w niej „Panią” dziwnie jakoś niepokoiły gorliwą władzę świecką, opanowaną w swej większości przez wolnomyślicielstwo.

W imię wolności myślenia i wolności sumienia starano się zabronić ludziom modlić się tam, gdzie im to dogadza. W tym celu prokurator Dutour (Ditur), sędzia Duprat (Dipra), starosta, jego zastępca, komisarz policji i cały szereg miejscowych dygnitarzy zaczęli dzwonić na alarm. Jak to? w dziewiętnastym wieku, wśród postępu i nauki zjawia się nagle Cud nie pytając nikogo o pozwolenie i nie uzyskawszy upoważnienia? Niektórzy uważali to za niewybaczalny zamach na cywilizację i na bezpieczeństwo państwa. O! — należy jak najprędzej zrobić z tym porządek.

Wszystkim owym panom nie o to bynajmniej chodziło, czy zjawiska zachodzące w Grocie miały źródło nadprzyrodzone. To zagadnienie było dla nich z góry rozstrzygnięte, ponieważ cudów w ogóle nie uznawali. Chodziło im jedynie o pobożny odruch tłumów spowodowany widzeniami Bernadety. Obawiali się takiego odruchu i pragnęli położyć mu kres, a komisarz policji Jacomet (czyt. Żakome) widział tu ponadto sposobność do wykazania swej energii jako też popisania się zawodową zdolnością w wykrywaniu oszustw i nadużyć. W jego bowiem przekonaniu nie ulegało wątpliwości, że widzenia Bernadety są komedią ułożoną przez nią i jej rodziców w celach zysku.

Chodziło o zdemaskowanie tej „komedii” i właśnie nadarzała się ku temu wyborna sposobność. Był to szósty dzień widzeń Bernadety, niedziela 21 lutego. Już od wschodu słońca zaczęły gromadzić się tłumy przed Grota, oczekując przyjscia pastuszki. Zjawiała się niebawem w swym białym kapturku, a jej matka i siostra podążały za nią. Wczoraj widziały ją po raz pierwszy w ekstazie i to wystarczyło, by uwierzyły, że Bernadeta nie wmawia w siebie widzeń chorobliwie, ale że naprawdę widzi ową „Panią”, o której później opowiada.

Na widok nadchodzącej dziewczynki tłum rozstępował się, czyniąc jej miejsce. A ona szła do Groty jak zwykle swym naturalnym drobnym krokiem. Nie było w jej zachowaniu się ani zażenowania, ani jakiegś specjalnej pewności siebie czy czegoś podobnego. A przecież jedno lub drugie byłoby zrozumiałe u trzynastoletniego dziecka, które się stało „bohaterką dnia”. Byłoby naturalne, gdyby ta nagła popularność dziewczynki miała swe źródło w niej samej tylko, w jej talencie, zdolnościach czy oszukańczym sprycie. Gdyby źródło to było czysto ludzkie i naturalne, wówczas nie potrafiłaby ona pozostać naturalną. Natomiast Bernadeta „ważnością swej roli” bynajmniej nie była przejęta; przejmowała ją jedynie radość na myśl, że za chwilę ujrzy „Panią”, i to jedynie pochłaniało w owej chwili jej uwagę.

Weszła pod sklepienie Groty, uklękła w swym zwykłym miejscu naprzeciw zagłębienia i — jak co dzień — zaczęła odmawiać koronkę. Po chwili wzniosła oczy w górę ku zagłębieniu. Twarzyczka jej lekko pobladła, oczy zajaśniały niezwykłym blaskiem, a rysy opromieniły się wyra-

zem niewypowiedzianego, nadziemskiego szczęścia. Ludzie, którzy to widzieli, a którzy żyją dotąd¹, dziś jeszcze opowiadają z przejęciem o głębokim wrażeniu, jakie im pozostawił widok Bernadety.

Rzecz szczególna! Bernadeta pomimo ekstazy, którą przeżywała, zachowywała zupełną świadomość otaczających ją rzeczy. Zdarzyło się tego dnia właśnie, że zapalona świeca, którą trzymała, zgasła. Bernadeta spostrzegła to niezwłocznie i nie odwracając oczu od stojącej przed nią Postaci Bożej Matki, wyciągnęła rękę w stronę najbliższej stojącej osoby i potraszając świecą dawała znak, aby ją zapalono.

Przez otwór w Grocie obok zagłębienia, w którym Najświętsza Panna stała przed Bernadetą, zwisało parę gałązek dzikiej róży. Ktoś z obecnych chciał to laską odsunąć, aby lepiej widzieć pastuszkę. Lecz ona pomimo swej ekstazy spostrzegła ten ruch i powstrzymała go gestem.

— Przeleżałam się — mówiła potem naiwnie — aby ten człowiek nie dotknął niechcący stóp „Pani“ i nie uczynił Jej przypadkiem jakiej krzywdy.

W najbliższym sąsiedztwie klęczącej Bernadety zajmowały miejsce zawsze te osoby, którym zależało przede wszystkim na dokonywaniu obserwacji nad nią i nad jej stanem ekstazy. Obserwatorem najbardziej spośród nich skrupulatnym, którego zjawisko interesowało wyłącznie z punktu widzenia przyrodniczo-naukowego, był wspomniany już poprzednio dr Dozous. Z całym naciskiem wypada tu zaznaczyć, że chociaż był on człowiekiem niereligijnym, jednak nigdy nie występował przeciw uczuciom religijnym innych osób. Nigdy do niczego nie uprzedzał się z góry i we wszystkich okolicznościach zachowywał stanowisko obiektywne.

Tego właśnie dnia stał dr Dozous w Grocie tuż obok Bernadety. Mógł z łatwością zapalić jej świecę, lecz nie zrobił tego umyślnie i pozostawił to komu innemu, aby móc bez przerwy Bernadetę obserwować.

— Jej stan jest niezwykle — opowiadał później. — To nie jest katalipsja, którą znamionuje pewien rodzaj ogólnego zeszywnienia. Ruchy Bernadety pozostają swobodne. Nie jest to również owa ekstaza ludzi ulegających halucynacjom. Takiemu bowiem typowi ekstazy towarzyszy utrata świadomości rzeczy zewnętrznych, a Bernadeta świadomości tej nie traci. Podczas gdy mój sąsiad zapalał jej gromnicę, ująłem ją za puls. Był zupełnie równy i regularny, i niczym nie zdradzał stanu anormalnego. Wszelkie chorobliwe podniecenie wypada więc wyłączyć z tego zjawiska. Jest ono istotnie niezwykle i niezrozumiałe. Mógłbym tu podejrzewać świadomą komedię, ale tylko wtedy, gdybym miał przed sobą osobę dorosłą i znakomicie wyszkoloną aktorkę dramatyczną. Dziewczynka w wieku Bernadety i tak niewykształcona zmieszałaby się najniewątpliwiej i wypadłaby ze swej roli, czując, że badam jej puls i przytrzymuję ją za rękę dłużej niż była tego potrzeba dla zapalenia świecy. Ogarnąłby ją niepokój i puls musiałby tętno przyspieszyć, co w tym wypadku nie miało miejsca. Zatem komedię też należy wyłączyć.

¹ Autor pisał tę książkę w 11 lat po owych zdarzeniach. (Przyp. tłum.).

Tak mówił dr Dozous wszystkim, którzy go wypytывali. Ale wypytывano także i Bernadetę. Zwróciło to bowiem uwagę, że po chwili, gdy doktor puścił jej rękę, posunęła się nieco w bok na kolanach, zmieniając trochę kierunek wzroku i równocześnie smutek odbił się w jej źrenicach, a usta coś szeptały.

Na pytanie, dlaczego się poruszyła i zasmuciła, Bernadeta odpowiedziała:

— Bo „Pani“ cofnęła się trochę i widziałam, jak z ogromnym smutkiem rozglądała się we wszystkie strony. Więc Ją zapytałam: „Co Pani jest, co się stało? Może Pani chce czegoś ode mnie?“

— A coż ci „Pani“ odpowiedziała?

— Powiedziała: „Trzeba modlić się za grzeszników.“

Bernadetę ogarnął niewypowiedziany smutek i zauważyła ból we wzroku „Pani“ w chwili, kiedy wodziła nim dookoła po ludziach i okolicy. W myśl usłyszanych słów zaczęła więc pastuszka gorąco się modlić za grzeszników, a „Pani“ podniosła tymczasem wzrok ku Niebu, gdzie w Sercu swego Syna czytała nieprzebrane skarby Boskiego miłosierdzia, i smutek uleciał z Jej niebiańskiego Oblicza.

Bernadeta nie miała pewności, czy to jest Matka Boska, bo wciąż jeszcze nie wiedziała, kto jej się ukazuje. Widziała tylko, że uмиłowana przez nią Postać już nie spogląda smutnie, dlatego radość opromieniła jej dziecinną twarzyczkę tak niezwykle, że wszyscy obecni wprost oczu od niej nie mogli oderwać. Szczęście Bernadety odbiło się i w ich twarzach.

A jeden z górali przybyłych do Groty mówił:

— O, Bernadeta widzi, niewątpliwie widzi Przenajświętszą Pannę, tak jak u nas basturgejski szczyt¹ widzi słońce.

— Co przez to chcecie powiedzieć? — pytano górala nie rozumiejąc jego słów.

— A to widzicie — odpowiada góral — my mieszkamy w dolinie u podnóża tej góry, w takim wąwozie, gdzie zimą zawsze jest cień, a słońce oświeca tylko szczyt Basturgery, który od jego blasku promienieje. Patrząc na ten szczyt, mówimy, oto Basturger widzi słońce. Nam się ono nie pokazuje, ale po blasku Basturgery poznajemy, że ono jest tam na niebie i że się Basturgerze ukazuje. Tak samo ze szczęścia, które opromienia twarz Bernadety, wiemy, że jej się ukazuje to nasze Słońce najdroższe, jakim jest Przenajświętsza Panienska.

Tak prosty góral tłumaczył rzecz ludziom, którzy po nieszpórach zebrali się przed kościołem, aby jeszcze raz zobaczyć tego dnia Bernadetę, co klęczała przed ołtarzem. Wśród tłumu oczekującego jej wujścia z kościoła był jeden z przodowników policji z posterunkowym i gdy się Bernadeta ukazała, podszedł do niej szybko i rzekł.

— W imieniu prawa zatrzymuję cię.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała zdziwiona dziewczynka.

— Mam rozkaz zatrzymania cię i odprowadzenia do pana komisarza. Proszę iść ze mną.

¹ La Basturgère (La Bastirzer) — jeden z wyższych szczytów w Pirenejach.

W KOMISARIACIE

Po tłumie przeszedł pomruk i stawał się coraz groźniejszy. Wszyscy ci ludzie widzieli przed kilku godzinami to skromne dziecko oświecone blaskiem szczęścia spływającego nań z wyżyn. Mała Bernadeta stanowiła dla nich w tej chwili rodzaj świętości. I chciano ją oto teraz sponiewierać aresztując brutalnie. Kto wie, jakby się to wszystko skończyło. Ale na szczęście jeden z księży wychodził właśnie z kościoła i widząc groźną postawę tłumu, niezwłocznie uspokoił ludzi.

— Uspokójcie się, nie sprzeciwiajcie się władzy. Ten przodownik spełnia rozkaz, jaki otrzymał, i nie należy mu w tym przeszkadzać.

Tłum uspokoił się, ale podążył za Bernadetą, która spokojnie i obojętnie poprowadziła policjanta. Komisariat był niedaleko. Przodownik otworzył drzwi i znikł za nimi wraz z Bernadetą, a obawiając się widocznie wtargnięcia idących za nim ludzi, zamknął je za sobą na zasuwę.

I oto Bernadeta stanęła w kancelarii przed komisarzem. Człowiek, który z racji swego zawodu styka się nieustannie z wyrzutkami społeczeństwa, skłonny jest węszyć wszędzie podstęp i oszustwo. Pan Jacomet odrzucał więc z góry przypuszczenia halucynacji. Zresztą utwierdziła go w tym opinia dra Dozous, który zdażył mu ją przedstawić. W prawdziwość znowu widzenia i w nadprzyrodzone jego źródło Jacomet nie wierzył; należał bowiem do wybitniejszych wolnomyślicieli w mieście.

Cóż za wspaniała gratka! Teraz ma możność wykazać, jakimi to drogami powstają „te wszystkie legendy o cudach“! A triumf wykwalifikowanego policjanta nad małą dziewczynką nie był przecie trudny. Oto za chwilę przyzna mu się dziecko do całego oszustwa pod wpływem przestachu, gdy się tylko zacznie gmatwać w sieci pytań i odpowiedzi. Pan komisarz miał przecież już w tym kierunku swój system i wyrobione doświadczenie.

Gdy dziewczynka stanęła przed nim, utkwiał w nią swój badawczy a przenikliwy wzrok, którego niezawodny wpływ miał już nieraz sposobność poznać przy badaniu rozmaitych włóczęgów, oszustów czy złodziejów. Rzadko który z nich potrafił opierać się dłużej jego świdrującemu spojrzeniu.

Pan Jacomet postanowił spróbować najpierw łagodności. Niezwykłe, jak na niego, uprzejmie i serdecznie zaprosił Bernadetę, by usiadła.

— No, cóż mi powiesz, malutka? Podobno widzisz w Grocie jakąś piękną Panią? Powiedz mi coś o tym.

W chwili, gdy to mówił, otworzyły się boczne drzwi i wszedł p. Estrade (czyt. Estrad), naczelnik miejscowego urzędu skarbowego. Był to jeden z wyższych urzędników, a przy tym jeden z najinteligentniejszych ludzi w mieście. Mieszkał w tym samym domu o piętro wyżej, a słysząc gwar

przed domem, wyjrzał przez okno i dowiedział się od ludzi zebranych u wejścia o sprowadzeniu Bernadety do komisariatu. Przyszedł więc wiedziony ciekawością, bo jak wszyscy w mieście, wiedział o zdarzeniach w Grocie i miał co do nich taki sam pogląd, jak p. Jacomet. Nie wątpił też, że Bernadeta załamie się w czasie śledztwa i miał ochotę być tego świadkiem. Mrugnął zatem porozumiewawczo na komisarza i po przywitaniu się z nim usiadł na uboczu. Stało się więc tak, że śledztwo miało w osobie pana Estrade świadka całkowicie niezależnego.

Wypada mi tu podkreślić lojalność i bezstronność tego świadka. Zasługuje ona na zaznaczenie z tej racji, że pan Estrade należał również do zdecydowanych wolnomyślicieli. Więc z góry powzięte uprzedzenie przeciw Bernadecie byłoby z jego strony poniekąd naturalne. Pan Estrade awansował w ciągu lat dziesięciu i jest obecnie w Bordeaux (czyt. Bordo) prezesem tamtejszej izby skarbowej. Przypomina on sobie wszystko jak najdokładniej, a jego pamięci i uprzejmości zawdzięczam możliwość opowiedzenia całej sceny śledztwa w komisariacie.

Bernadeta nie podejrzewała bynajmniej podstępu w serdecznym tonie pytania, jakie komisarz do niej skierował, i jak najchętniej zaczęła mu opowiadać o swych widzeniach. Pan Jacomet przerywał jej opowiadanie częstymi pytaniami o różne szczegóły, a jego pióro szybko biegło po papierze, notując słowa Bernadety. Nagle przerwał pisanie, zmienił ton głosu i wyraz twarzy, wstał i krzyknął ostro:

— Kłamiesz! Wszystkich oszukujesz! Jeśli nie powiesz natychmiast całej prawdy, każe cię aresztować.

Ta niespodziewana zmiana tonu bardziej Bernadetę zdziwiła niż przeraziła, a komisarz doznał zawodu, bo przypuszczał, że dziewczynka się zmiesza. Odpowiedziała bowiem z całym spokojem:

— Pan komisarz zaaresztuje mnie, jeśli zechce, ale przecież ja nie mogę nic innego powiedzieć, jak to, co mówiłam, bo to jest prawda.

Komisarz patrząc na Bernadetę ocenił momentalnie wprawnym okiem, że jego groźba nie zdoła odnieść oczekiwanego skutku. Musiał widocznie nabrać przekonania, że ma do czynienia z jakimś dzieckiem niezwykłym. Usiadł i na razie nie znalazł innej odpowiedzi, jak:

— Zobaczymy!

Pan Estrade, niemy świadek tej sceny, był nie tylko zdziwiony spokojem i skromną godnością, z jaką ta mała, prosta dziewczynka odpowiadała na groźbę, ale i niezmiernie zafrasowany siłą wiary Bernadety w prawdę swoich słów.

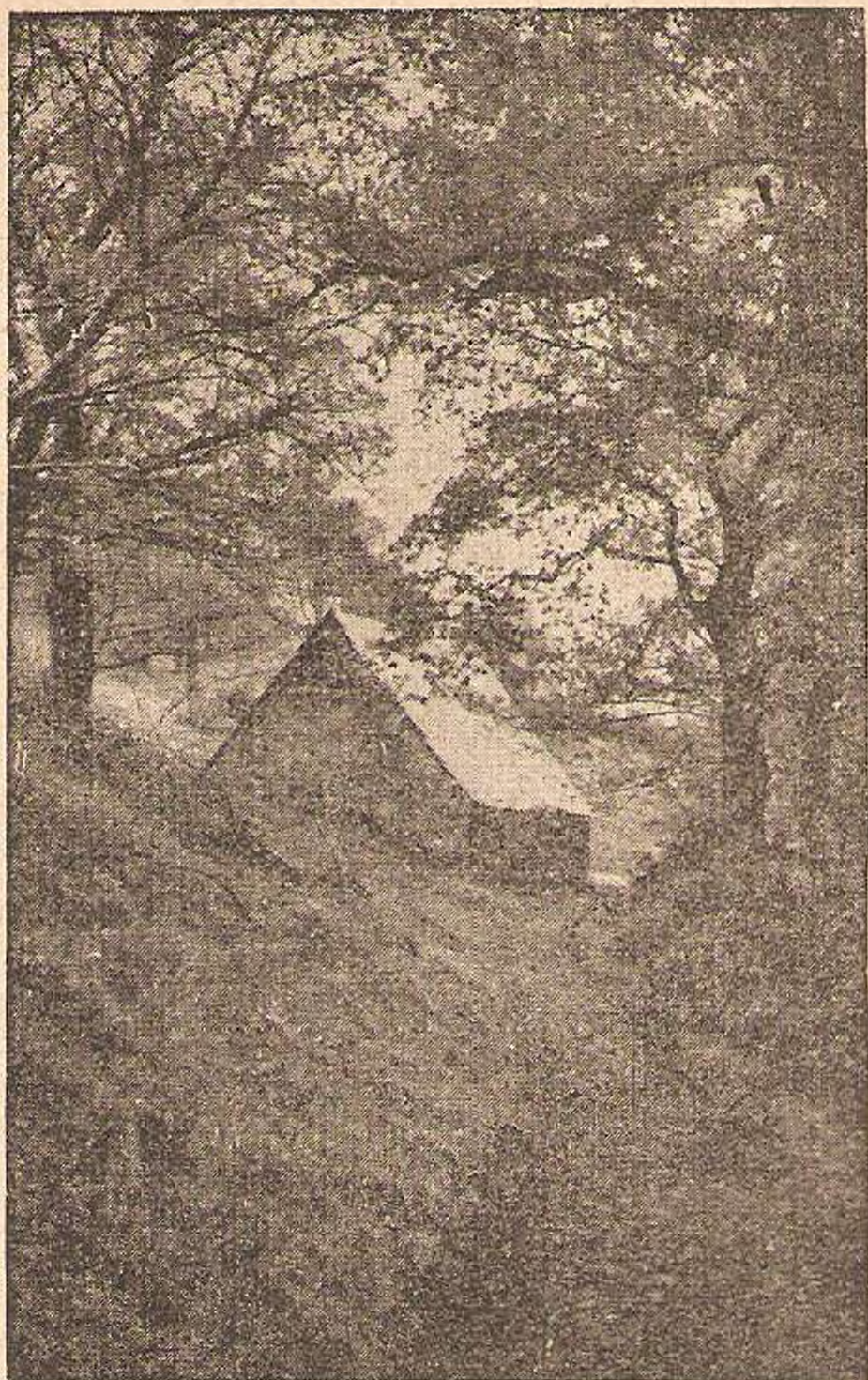
Tymczasem komisarz przeglądał notatki spisane podczas rozmowy z Bernadetą i najwidoczniej szukał w nich sprzeczności, na których by mógł dziewczynkę przyłapać, bo coś w nich podkreślał z zadowoloną miną. Wreszcie odezwał się:

— A no, dobrze, spiszemy protokół.

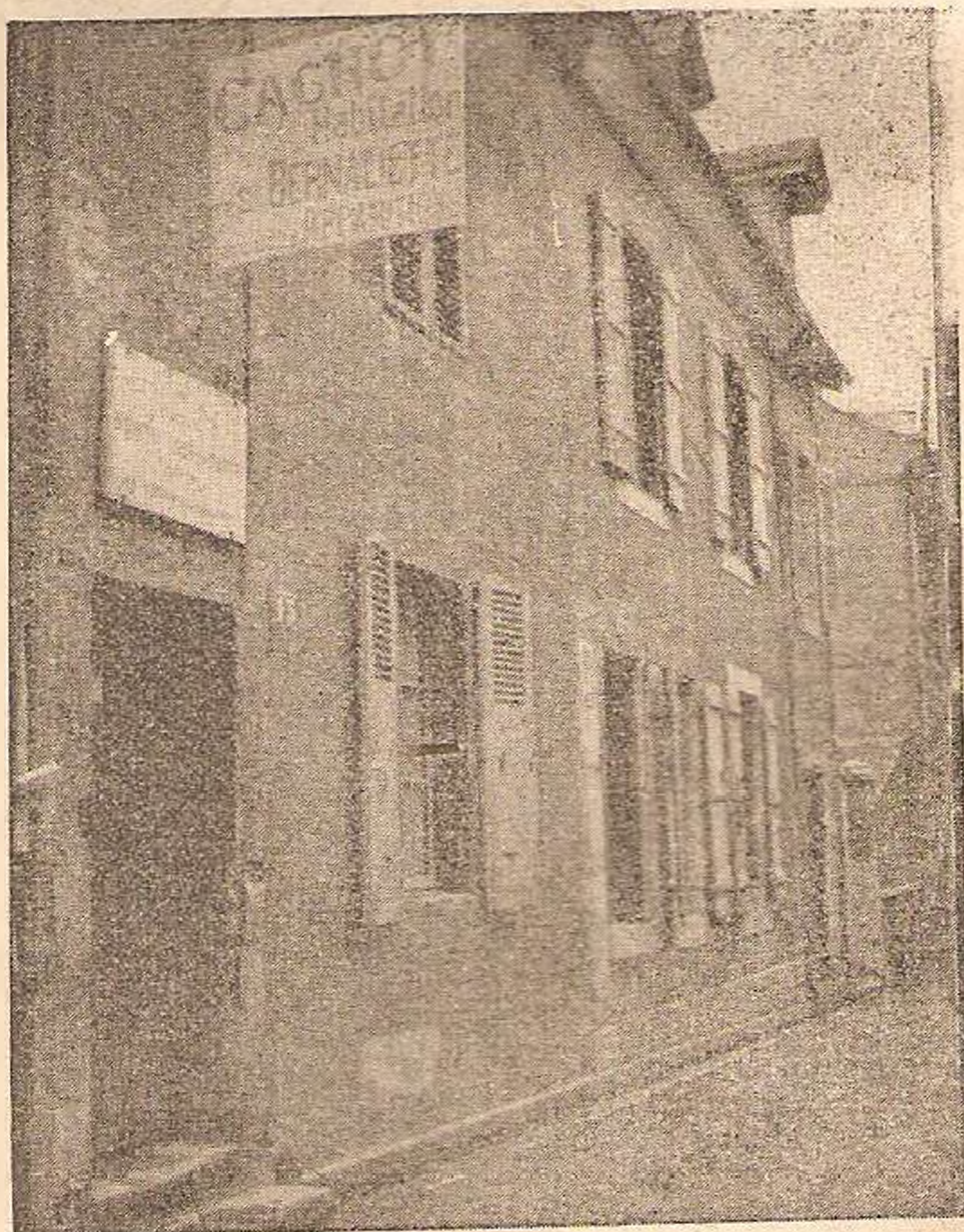
I wzięwszy papier zaczął pisać, odczytując głośno to, co pisze i pytając Bernadetę po każdym zdaniu:



Sw. Bernadeta Soubirous (portret autent.)



Owczarnia w Bartres —
tu zaganiała owce



„Cachot“ — tu Bernadeta
mieszkała w czasie objawień

— Wszak mówiłaś tak, prawda?

Bernadeta bądź potwierdzała, bądź też przeczyła:

— Nie, tak nie powiedziałam, tylko tak — i powtarzała z zadziwiającą dokładnością pierwotne swoje słowa, zmienione przez komisarza.

— Jak to? Przecież notowałem, gdy mówiłaś. Zresztą, mówiłaś to samo różnym osobom. Wiem o tym bardzo dobrze.

— Nie, panie komisarzu. Ani panu, ani nikomu tego nie mówiłam i mówić nie mogłam, bo to nie jest prawda.

Pan Estrade zapamiętał sobie skrupulatnie ścisłość, z jaką Bernadeta prostowała „pomyłki” pana Jacomet. Każde widzenie wbiło się w jej pamięć z taką wyrazistością, że nie było najmniejszych wahań w jej odpowiedziach. Uderzyło to pana Estrade tym bardziej, że Bernadeta była bardzo nieśmiała, zwłaszcza wobec obcych. Gdy jednak chodziło o prawdę i rzeczywistość jej widzeń, to odpowiedzi jej nabierały niepospolitej siły, i to tym większej, że były połączone z pokorą i skromnością. W cieniutkim i cichym głosiku słabowitej dziewczynki brzmiała nuta olbrzymiej miłości dla „Pani”. Najdrobniejszy szczegół tej umiłowanej Postaci był dla Bernadety świętością i nie mogła się zgodzić na opis niezgodny z prawdą.

— Nie, suknia nie była różowa. Była biała jak śnieg. Nie, wstażka na biodrach nie była srebrzysta, lecz błękitna jak niebo. Nie, nie mogłam mówić, że „Pani” bywa ubrana rozmaicie, bo Ją zawsze w tych samych szatach widuję.

Komisarz był zmuszony ustąpić i pisać ściśle to, co mówiła Bernadeta. Skończywszy pisanie zamknął sprawę ponowną groźbą:

— Jeśli będziesz w dalszym ciągu chodziła do Groty, to stanowczo każę cię aresztować. Więc wybieraj: albo więzienie, albo przyrzekniesz mi natychmiast, że nigdy więcej do Groty nie pójdziesz.

— Tego przyrzec nie mogę, bo przyrzekłam „Pani”, że będę tam chodziła. I zresztą, jak tylko zbliża się chwila, w której mam iść, to coś woła mnie tam mocno, że iść muszę koniecznie.

Przez cały czas tego śledztwa dochodził z ulicy gwar ludzi zgromadzonych przed komisariatem i właśnie w tej chwili wzmógł się nagle, a do drzwi zaczęto się dobijać.

— Cicho tam! Czego tu chcecie? — wrzasnął komisarz, uchylając drzwi. Ale silny napór tłumu rozwarł je całkowicie i naprzeciw pana Jacomet stanął Soubirous.

— Czego tu chcecie? — wrzasnął nań ostro komisarz.

— Przyszedłem po moją córkę — odpowiedział wieśniak spokojnie, ale stanowczo. Opuściła go jednak pewność siebie, gdy wartujący w przedpokoju przodownik zamknął ponownie na zasuwę drzwi w sieni, a komisarz kazał mu iść za sobą do kancelarii. Soubirous kręcił czapkę w rękach, spoglądając to na komisarza, to na Bernadetę, trochę onieśmielony i zalekniony.

Pan Jacomet czuł się z tej strony panem sytuacji, ale jednocześnie do uszu jego dolatywał wzmagający się gwar. I zrozumiał, że sytuacji tej

nie należało przedłużać. Odezwał się więc tonem na poły groźnym, a na poły pojednawczym:

— Ostrzegam was, Soubirous, że wasza mała weszła na niebezpieczną drogę. Swoim postępowaniem i podejrzanymi praktykami w Grocie wywołuje zbiegowiska. To może zaprowadzić ją do więzienia i nie tylko ją, ale i was. Musicie przyrzec mi jak najsolennie, że nigdy więcej nie pozwolicie jej do tej Groty chodzić. Tylko pod tym warunkiem nie ukarzę jej tym razem, lecz będę nieugięty, jeśli się to jeszcze raz powtórzy, a pamiętajcie, że pan prokurator nie lubi żartować.

— Ha! co robić! — odpowiedział wystraszony wieśniak — zakazę jej chodzić, skoro taki nakaz pana komisarza. Matka też jej zabroni. A Bernadeta — to dobre i posłuszne dziecko. Bez naszego pozwolenia nie pójdzie.

To zapewnienie wystarczyło panu Jacomet do wyjścia z sytuacji „z honorem”. Kazał więc Bernadetę i jej ojca wyprowadzić.

— Co za niewzruszona pewność w zeznaniach tej małej — zauważył pan Estrade po ich wyjściu.

— Tak, tak, niezwykle upór w kłamstwie u tak młodego dziecka — zakonkludował p. Jacomet.

— Źle mnie pan zrozumiał. Ja nie to chciałem powiedzieć. W zeznaniach tej małej zastanowił mnie niezwykle akcent prawdy. Ani jednym słowem, ani jednym gestem nie zadała kłamu swoim twierdzeniom. Nie zmieniła ich ani na jotę przez cały czas śledztwa!

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się komisarz — to właśnie dowód, że swoją bajkę zawczasu doskonale wykuła na pamięć.

— Nie, drogi panie. Na mym urzędzie, jako poborca podatkowy, nie rzadziej od pana spotykam się z kłamliwymi zeznaniami i nie gorzej od pana nauczyłem się świdrować w nich do dna. Nie ulega to dla mnie najmniejszej wątpliwości, że ta mała Bernadeta jest szczerze przekonana, iż widziała rzeczywiście to, o czym tak szczegółowo opowiada.

Zarówno jeden, jak drugi byli wolnomyślicielami i ani jeden, ani drugi nie wierzyli w możliwość i prawdziwość cudownych objawień. Ale zachodziła pewna różnica w ustosunkowaniu się ich obu do Bernadety. Pan Estrade nie wątpił ani na chwilę o szczerości i dobrej wierze tego dziecka. Pan Jacomet uważał ją za wyrafinowaną komediantkę.

Ta trzynasto- czy czternastoletnia „komediantka” odniosła jednak na śledztwie zwycięstwo nad pewnym siebie komisarzem policji, skoro nie udało mu się przyłapać jej na kłamstwie ani zastraszyć. Ta porażka musiała go niewątpliwie drażnić. Pocieszał się jednak tym, że na razie wygrał wymógłszy na ojcu Bernadety przyrzeczenie, że jej zabroni chodzić do Groty.

Franciszek Soubirous był wprawdzie poczciwym człowiekiem i wierzącym katolikiem, ale nieoświecony, biedny i bezradny, nie zdawał sobie nawet sprawy, czy pan komisarz nie przekracza swej władzy zakazując Bernadecie modlić się w Grocie. Czuł się bezradny, prawdopodobnie wie-

rrvi. że widzenia Bernadety są prawdziwe, i może obawiał się w duszy obrócić „Panią”, jeśli swemu dziecku zakaze „chodzić do Niej”. Ale obawa widzenia i prześladowań przemogła.

— Widzisz sama, że to się źle skończy. Trudno, cóż robić nam biednym! Trzeba słuchać! Więc przyrzeknij mi, że już do Groty nie pójdziesz.

Tak zakończył rozmowę swą z Bernadetą, gdy powrócił z komisariatu do domu.

— Co ja pocznę, ojczulku, co pocznę, kiedy ja wiem, że nie będę miała siły dotrzymać takiego przyrzeczenia ani usłuchać zakazu.

— Jak to, ty, zawsze takie dobre i posłuszne dziecko, chciałabyś teraz zrobić coś, czego ci rodzice zakazują? — dorzuciła matka.

— Nie, mamó, nie chciałabym. Ale... bo to widzicie, ja nawet nie umiem tego dobrze wypowiedzieć... Jak ja mam iść do Groty, to ja nie dlatego chcę, żebym tak chcieć miała przeciw waszej woli, ale że mnie tam coś wola tak silnie, tak silnie, że to jest chyba silniejsze i droższe od wszystkiego na świecie.

Zamyślili się stroskani rodzice nad słowami Bernadety, których nie rozumieli. Zamyśliła się i ona, i dodała wreszcie smutno:

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby was usłuchać.

Niedziela, która tak radośnie zaczęła się dla małej Bernadety w Grocie, kończyła się bolesną rozterką.

XII

W OGNIU DRWIN

Nazajutrz o świcie — było to 22 lutego — tłum zebrany przed Grotą daremnie oczekiwał przybycia Bernadety, która o tej porze miewała tam widzenia. Rodzice zatrzymali ją w domu i wysłali potem prosto do szkoły.

Siostry zakonne, które szkołę tę prowadziły, nie miały nigdy dotąd możliwości widzieć Bernadety w Grocie i w ekstatycznym jej uniesieniu dostrzec odzwierciedlenia jej widzeń. W tych bowiem godzinach zatrzymywały je różne obowiązki, jakie klasztor na nie nakładał. Zresztą jest rzeczą powszechnie wiadomą, że o ile lud jest bardzo skłonny do dawania wiary wszelkim widzeniom, o jakich zasłyszysz, o tyle w środowisku księży, zakonników i zakonnic wiadomości takie przyjmowane są raczej z niedowierzaniem. Na pozór wydawać się to może dziwne, ale wstrzemięźliwość ta jest zupełnie zrozumiała. Kościół bowiem przez dziewiętnaście wieków swego istnienia na ziemi badał już niezliczoną ilość zjawisk pozornie nadprzyrodzonych, które okazały się w ogromnej przewadze halucynacjami, a niekiedy i świadomym oszustwem ludzi pragnących zwrócić na siebie uwagę.

Pogłoski krążące już po całej okolicy o widzeniach Bernadety dotarły oczywiście do kół duchowieństwa, ale częściowo puszczono je tam mimo uszu, a częściowo budziły one niezadowolenie ze zbytnej pochopności ludzi do wierzenia w rzeczy nie sprawdzone i prawdopodobnie nie wspólnego z religią nie mające. Boć i któż to miał być ową postacią, którą ta mała pastuszka nazywała „Panią“?

Siostry zakonne odnosiły się więc do widzeń Bernadety sceptycznie i gdy zjawiała się w szkole, zbурczały ją nawet trochę i ze swej strony poparły zakaz chodzenia do Groty, jaki otrzymała od rodziców. Jedna z sióstr wyłajała ją nawet surowo.

— Jesteś złym dzieckiem. Oto mamy Wielki Post, a ty się bawisz w jakąś grzeszną maskaradę.

Bernadeta struchlała i zalała się łzami, a że dzieci często bywają okrutne, więc wśród koleżanek nie brakło i takich, które zamiast ją uspokoić, dokuczały jej i drwiły. Bóg chciał widocznie doświadczyć Bernadetę. Zlewając na nią radość i szczęście dni poprzednich, zesłał jej oto nagle ból — gniew siostry, którą poważała, drwiny koleżanek, uczucie osamotnienia i upokorzenia. Po dniach radosnych siła cierpienia była tym większa.

Ta dobra, poczciwa dziewczeczka w krótkim swym życiu doznawała nie raz bólu fizycznego, ale z bólem duszy jeszcze się nigdy nie zetknęła. Pierwszy raz go doznała i nie pojmowała, dlaczego i za co tak cierpi. Przecież nikogo nie okłamała, nikomu nie chciała zrobić krzywdy... Widocznie musiała popełnić jakiś straszny grzech... ale nie wie jaki?

Tylko „Pani“ potrafiłaby jej to powiedzieć i tylko Jej jednej mogłaby się Bernadeta pożalić, bo wszyscy się od biedaczki odwrócili, a Ona z pewnością się nie odwróci. Bernadeta to czuje, wie o tym dobrze. Ale cóż? przyrzekła rodzicom, że nie pójdzie do Groty. Więc smutna, zboląła wychodzi ze szkoły i skręca w lewo.

Ta droga do domu była dalsza. Ale Bernadeta umyślnie ją wybrała. Skręcając bowiem w prawo, miałaby bliżej, ale byłoby to jednocześnie i w kierunku Groty, a Bernadeta chciała uniknąć tej pokusy, aby być rodzicom posłuszną. Szła więc obroną ścieżką smutna, coraz bardziej zmęczona i... oto nagle ujrzała Grotę.

Ze wszystkich sił chciała zawrócić, lecz jakaś moc ciągnęła ją naprzód przed siebie.

„Czułam bardzo wyraźnie, jakby mnie coś pchało łagodnie, ale bardzo silnie i w żaden sposób nie mogłam się odwrócić.“ Takimi słowami opowiadała to potem Bernadeta swym rodzicom, gdy powróciła do domu.

Nie rozumiało dziecko tego cudownego zrządzenia Opatrzności, które powiodło ją do Groty, chroniąc ją jednocześnie od świadomego nieposłuszeństwa woli rodziców. Tłum, który oczekiwał tam od rana, znacznie się już był zmniejszył. Jednakże klęczało jeszcze kilkadziesiąt osób, modląc się u wejścia do Groty. Zauważono zbliżającą się Bernadetę i kilka osób usunęło się, by ułatwić jej przejście.

Dziewczynka uklekła niezwłocznie na swym zwykłym miejscu, zaczęła modlić się żarliwie. Upłynęło kilka minut, kwadrans, pół godziny... ale

obecni żadnej zmiany w rysach Bernadety ani w jej spojrzeniu nie dostrzegali. Jakoś nie pojawiło się tym razem owo niezwykle nadziemskie rozpromienienie, które od rozmodlonej pastuszki wiało na wszystkich obecnych.

Cudowna Wizja nie ukazała się Bernadecie. Niebo zdawało się być dnia tego równie dla niej surowe i nieczułe jak ziemia. Wobec jej modłów i cudowne widzenie pozostało równie milczące jak skalny granit, na którym klęczała. Ze wszystkich prób i umartwień, które od wczoraj dotykały Bernadetę, ten zawód był dla niej próbą najokrutniejszą.

— Dlaczego nie przyszłaś, Pani moja? Dlaczego mnie opuszczasz? — płakało drżąc biedne dziecko.

Istotnie. Wszystko, nawet Cudowna Wizja zdawała się opuszczać ją, jakby przyznając słuszność tym wszystkim, którzy od wczoraj wyrządzali jej krzywdę.

Ludzie zebrani przed Grotą czuli się zawiedzeni. Spoglądali na Bernadetę jakby z wyrzutem i zarzucali ją różnymi pytaniami.

— Nic dziś nie widziałam — odpowiadało im dziecko ze łzami w oczach. — „Pani“ nie przyszła.

W tej chwili znalazło się też kilku niedowiarków, spośród tych, którzy nie dawniej jak wczoraj bronili gorąco twierdzeń Bernadety.

— Powinnaś wreszcie zrozumieć, że to, coś widziała, było tylko halucynacją — mówili jedni.

— Tak, tak, ta twoja Pani to tylko przywidzenie. Bo i czemuż nie ukazała ci się dzisiaj? — dodawali drudzy już trochę złośliwiej.

— Komisarz policji wiedział, co robi — odezwał się ktoś trzeci. — Jak nastraszył dziewczynę, to ozdrowiała.

Wreszcie żal się zrobiło pastuszki jakiemuś starszemu jegomościowi i spróbował pocieszyć ją po swojemu.

— Nie ma co płakać, maleńka, że się ta cała historia okazała przywidzeniem. Lepiej, że wcześniej niż później.

— O, nie, proszę pana! To nie było przywidzenie i ja nie dlatego płaczę. Tylko widocznie musiałam „Panią“ czymś rozgniewać i to mnie tak strasznie martwi.

Z tym smutkiem w duszy wracała Bernadeta do domu, łamiąc sobie daremnie biedną główkę nad tym, czym mogłaby „Panią“ obrazić i jak Ją przebłagać. Wszystko, co zaszło, opowiedziała rodzicom jak najdokładniej, a ci widząc, że Bernadeta jeszcze ich nigdy nie okłamała, bardzo się zaniepokoiili opowiadaniem o tym jej niezwykłym zbłądzeniu z drogi i o tej sile, która wbrew jej woli pchała ją ku Grocie. Wiadomości te w połączeniu z zawodem, jakiego Bernadeta doznała u Groty, zaniepokoiły Franciszka Soubirous. Pomyślał sobie, że swoim zakazem sprzeciwia się może woli Boskiej. Bał się komisarza, ale jako szczerzy katolik bał się przede wszystkim grzechu.

— Więc słuchaj, córeczko — powiedział — skoro tak, to chodź sobie do Groty. Już ci nie zabraniam.

Bernadeta rzuciła się ojcu na szyję pełna wdzięczności.

KOMISARZ SIĘ WŚCIEKA

Wszystkie te wieści rozeszły się po mieście niezwłocznie i komisarz Jacomet był już o nich powiadomiony wieczorem ze wszystkimi szczegółami. A że godzina nie była jeszcze zbyt późna, więc kazał niezwłocznie sprowadzić do swej kancelarii oboje Soubirous razem z Bernadeta.

— Nie usłuchaliście mego rozkazu i okłamaliście mnie — wrzasnął. — A w dodatku dowiaduję się, żeście wasz zakaz ojcowski, dany wczoraj tej smarkatej, dziś cofnęli. Jakżeście śmieli — krzyczał coraz głośniej, waląc pięścią w stół.

Ale Soubirous nie przelakł się tym razem, pomimo że sprzyjającego tłumu nie było pod oknami. Odwagi dodało mu wewnętrzne przekonanie, że postępuje zgodnie z wolą Boską.

— Panie komisarzu, jestem prosty człowiek i nie śmiałbym się z panem sprzeczać o rzeczy, których nie znam. Ale dziecko moje znam i wiem, że ono nigdy nie kłamie. Najlepszy tego dowód, że natychmiast po powrocie do domu powiedziała sama, że była w Grocie pomimo mego zakazu. Jeśli ją tam woła Pan Bóg albo Przenajświętsza Panna, albo jaki święty, to jakże ja się mam temu sprzeciwić? Niechże się pan komisarz zastanowi, że przecież Pan Bóg mógłby mnie skarać za to! Zresztą — zwrócił się do Bernadety — powiedziałaś mi, że ci się już nic w Grocie nie pokazało, więc może już nie ma po co tam chodzić?

— Nie, ojculku, muszę, bo przyrzekłam Pani, że będę przychodziła codziennie jeszcze przez piętnaście dni.

— To wszystko są głupie gadania — krzyknął komisarz — każę was wszystkich zaaresztować, jeśli ta dziewczyna nie przestanie wywoływać zbiegowisk swymi małpiarstwami!

— Pan komisarz gniewa się na mnie niesłusznie — odpowiedziała skromnie Bernadeta. — Przecież ja chodzę pomodlić się w Grocie sama i nikogo tam nie wzywam. A jeśli tam tyle ludzi przychodzi, to przecież nie moja wina. To pewno dlatego, że ludzie mówili, iż to Przenajświętsza Panna. Ale ja naprawdę nie wiem, kto to jest, bo mi ta Pani nic nie powiedziała.

Komisarz, przywykły do wykretnych odpowiedzi niemal wszystkich tych, których z racji swych obowiązków badał, a nie zdając sobie sprawy, że wszedł na błędną drogę, nie mógł pojąć przyczyny swej bezsilności. Nie mógł się w żaden sposób zdecydować na pozostawienie rzeczy ich naturalnemu biegowi, a nie wiedział, jak wybrnąć z fałszywej sytuacji. Popatrzył jeszcze raz groźnie na trójkę „przestępców“ i wreszcie kazał im wracać do domu żegnając ich groźbą:

— Zobaczycie, co was jutro czeka.

Bedąc pewnym, że uzyska od prokuratora upoważnienie do ich aresztowania, udał się doń niezwłocznie.

Prokurator Dutour (czyt. Ditur) był również wrogiem wszystkiego, co nazywał „przesądem“ i „zabobonem“, ale w całym arsenale kodeksu nie mógł znaleźć ani jednego paragrafu, który by upoważniał do traktowania Bernadety jako przestępczyni. Nie zapraszała do Groty nikogo; nie ciągnęła ze swych „widzeń“ żadnych zysków, chodziła modlić się na teren pusty, nie tamowała tam swą obecnością żadnego ruchu. Teren ten należał do gminy, a gmina nie protestowała i skargi nie wniosła; ani Bernadeta, ani Wizja, która się jej ukazywała, nie przemawiały do tłumów, nie wygłaszały mów podburzających... bo w ogóle nikt tam nic nie wygłaszał. Zarzucać Bernadecie, że rozsiewa pogłoski fałszywe — też nie było można, bo ani razu twierdzeń swych nie zmieniła, a twierdzić, że ma widzenia treści nie sprzeciwiającej się ani religii, ani rządowi — było jej wolno.

Panu Dutour mogło być osobiście nieprzyjemne, ale nie mógł nic na to poradzić. Oddać mu trzeba tę sprawiedliwość, że zbyt był lojalny, aby się uciekać do wykretnych kruczków. Pozostawało więc tylko, bądź zwrócić się po instrukcje do wyższej magistratury, bądź czekać, aż widzenia Bernadety nie spowodują jakiej wrzawy.

XIV

JESTEM, PRZYRZEKAM!

Już o świcie dnia następnego zbierać się zaczęli ludzie przed Grotą, oczekując Bernadety i zadając sobie pytanie, czy przyjdzie po doznanym wczoraj zawodzie. Pastuszka ukazała się wkrótce i uklękła na zwykłym swym miejscu. Zaledwie zaczęła się modlić, radość opromieniła jej mizerną twarzyczkę, a potem odmalowało się na niej szczęście tak niezwykle, że widocznie „Pani“ musiała czymś sownie wynagrodzić Bernadecie jej wczorajszy ból. Taki domysł krążył szeptem z ust do ust pośród zebranego tłumu.

W oczach pastuszki wzniesionych ku niebu błyszczały łzy szczęścia, a wargi to poruszały się cichym szeptem, to pozostawały rozchylone w bezruchu; rozmawiała z „Panią“ zapatrzona w Jej cudną, nadziemską postać. Pani natychmiast po ukazaniu się odezwała się do pastuszki:

— Bernadeto!

— Jestem — odpowiedziała dziewczynka chyląc się do świętych, ukochanych stóp.

— Chcę powiedzieć coś wyłącznie dla ciebie, co tylko ciebie dotyczy i co jest tajemnicą. Czy przyrzekasz mi, że nie powtórzysz tego nigdy nikomu na tym świecie?

— Przyrzekam!

Wpatrzony w Bernadetę tłum rozumiał, że z ust Istoty, przez nią tylko widzianej, padać musiały jakieś słowa, których pastuszka z wielką słuchała uwagą, bo znieruchomiła w niemym zachwycie z dłońmi wzniesionymi ruchem przyrzeczenia.

Co z ust Matki Bożej pod pieczęcią tajemnicy usłyszała, tego oczywiście nikt się od Bernadety nie dowiedział i nikt nie śmiał dociekać. Ale poza tym powtórzyła ona zebranyom wszystko dokładnie, dziwiąc się tylko, że nikt nie widział i nie słyszał, „bo przecież Pani stała na skalnym wysskoku tak jasna, tak wyraźna, a mówiła głosem tak czystym, dźwięcznym i słodkim“.

Że nie słyszano tych słów, które były tajemnicą, to Bernadety nie dziwiło, „bo Pani nie chciała, aby Ją wtedy słyszano“. Ale potem mówiła jeszcze dalej, a Bernadeta słowa te powtórzyła:

— *A teraz, córeczko moja, idź i powiedz księżom, że chcę, aby mi tu wzniesiono kaplicę.*

Przy tych słowach miała „Pani“ takie spojrzenie i taki ruch swej liliowej dłoni, jakby przyrzekała, że będzie z tej kaplicy rozsiewać niezliczone łaski.

Po tych słowach Widzenie znikło, a wraz z nim znikł z twarzyczki Bernadety wyraz ekstatycznego uniesienia. Wtedy otoczono ją i zaczęto zarzucać pytaniami. Jedni zbliżali się do niej z ciekawością bądź chłodną i naukową, bądź złośliwie sceptyczną; inni ze czcią i uwielbieniem. Nie brakło i takich, którzy klękali przed małą pastuszką i całowali brzeg jej pocerowanej ubogiej sukienki. Wtedy dziewczynka chowała twarz w dłonie, blagając z płaczem, aby jej nie wyrządzano takiej krzywdy. Było rzeczywiście zadziwiające, że wszystkie te oznaki czci, wszystkie te tłumy, dla których Bernadeta była przedmiotem podziwu i uwielbienia, że wszystko to nie zbalamuciło i nie spaczyło ani umysłu, ani charakteru tak młodego dziecka ze środowiska prostego ludu. Pozostawała wciąż tą samą skromną pastuszką, prostą i naturalną.

Rozmowy swoje z „Panią“ opowiadała niezbyt chętnie, nie chępiła się nimi, nie dostrzegała w nich nic nadprzyrodzonego, jakby myśląc, że każdego mogło spotkać to samo, a powtarzała je bez uniesień, bez cienia tej ekstazy, w jaką wpadała podczas widzeń. Słowem, nie były to barwne opowiadania, lecz krótkie i spokojne relacje w prostych słowach. A zdobyć się na nie mogła tylko wtedy, gdy ją pytano, jak „Pani“ wygląda i jakim mówi głosem. Porównać Jej piękności nie potrafiła z niczyją, bo to była „zupełnie inna piękność“, a dźwięk Jej głosu był „zupełnie inną melodią niż wszystkie, jakie się słyszy“. I mała Bernadeta tyle tylko potrafiła powiedzieć, że „to można zobaczyć i usłyszeć, ale porównać i wypowiedzieć tego niesposób“.

Ta prosta pastuszka nie zdawała sobie sprawy, że wyraziła w tych słowach psychologiczną prawdę, bo my przecież wszystko tylko drogą porównań poznajemy i określamy. Więc z kimże porównać Istotę, która była *j e d y n ą* na ziemi i *j e d y n ą* jest w świecie nadziemskim. I ta oto

Królowa niebios i ziemi wybrała spośród wszystkich ludzi jakieś małe, pokorne i jeszcze „głupiutkie“ biedactwo na swoją ambasadorkę, która księżom zanieść miała Jej wszechkrólewską wolę! Co więcej, między promiennym Majestatem Tej, która była Matką Boga, a prostą pastuszką nawiązana została nie jakiejś tajemnicy. A nie ma silniejszego łącznika dwóch istot jak wspólna, im tylko znana, tajemnica. Łaską takiego właśnie łącznika obdarzona została przez Przenajświętszą Pannę mała Bernadeta¹.

XV

„IDŹ, POWIEDZ KSIĘŻOM...”

Prosto z Groty, nie zjadłszy jeszcze w domu ранnego śniadania, śpieszyła Bernadeta spełnić misję poleconą jej przez Świętą Matkę Boga.

Ks. Peyramale tylko co odprawił był Mszę św. i zasiadał właśnie do rannej kawy, gdy Bernadeta zastukała do drzwi plebanii. Ksiądz proboszcz dotychczas nie znał Bernadety. Ktoś z parafian pokazał mu ją bawiącą się z dziećmi przed paru dniami, opowiadając o jej widzeniach. Więc przypomniał ją sobie, gdy go przywitała, i zapytał:

— Czy to ty jesteś Bernadeta Soubirous, córką młynarza?

Ks. Peyramale był prawdziwym ojcem dla swych parafian i odnosił się do nich zawsze z wielką serdecznością i dobrocią. Ale tym razem ton jego był trochę suchy, bo mu się cała sprawa owych widzeń Bernadety, sprowadzających tłumy ludzi do Groty, zaczynała nie podobać.

— Tak, to ja, proszę księdza dobrodzieja.

— No, więc o cóż ci chodzi?

— Przynoszę polecenie od tej Pani, która mi się pokazuje w Massabielskiej Grocie, i która...

— Aha — przerwał jej ksiądz — opowiadasz ludziom o jakichś widzeniach i wszyscy biegają do tej Groty, żeby ci się przypatrzeć. Powiedz mi, co te wszystkie historie mają znaczyć? Strzeliło ci do głowy, że coś tam widzisz, ale gdzie są tego dowody?

¹ Ówczesny proboszcz lurdzkiej parafii, ks. Peyramale, badając sprawę widzeń Bernadety jako jeden z członków Komisji Biskupiej powiedział, że jeśli Przenajświętsza Panna raczyła wznieść Bernadetę za życia tak wysoko ku sobie, aby jej powierzyć wyłącznie dla niej przeznaczoną tajemnicę, to Bernadeta jest chyba niewątpliwie świętą. Ten pogląd proboszcza nie został wprawdzie przytoczony przez autora niniejszej książki, ale podaje go ks. Berenger (Beranże), który w 60 lat później prześledził szczegółowo akta Komisji. Okazało się, że ks. Peyramale miał tu odczucie racjonalności, którą potwierdził Ojciec święty kanonizując Bernadetę. (Przypisek tłumacza).

Surowość słów i suchość głosu proboszcza, zwykle tak dla wszystkich dobrego, zasmuciła bardzo i trochę przeraziła Bernadete. Więc ze ściśniętym sercem, ale jednak bez leku opowiedziała wszystko jasno i zwięźle swoim cienkim głosikiem i ludowym narzeczem.

Sługa Boży słuchał nie spuszczając z dziewczynki swego mądrego i głębokiego wzroku. Do prawdziwości jej widzeń odnosił się wprawdzie z pewnym uprzedzeniem, bo jako kapłan i teolog wiedział, że Przenajświętsza Panna jeszcze się nikomu dotąd w ten sposób nie ukazała. Długa praktyka kapłańska nauczyła go jednak spoglądać w głąb dusz ludzkich. Więc od razu spostrzegł, że Bernadeta mówi szczerze i że w najlepszej wierze może się jej zdawać, że coś widzi. Ale jaki jest charakter tych jej widzeń i czy nie są one dla jej duszy zgubne? Należało to zbadać i w razie potrzeby złym skutkom zapobiec.

— Więc powiadasz, że nie znasz imienia tej Pani?

— Nie znam, proszę księdza proboszcza, nie powiedziała mi, kim jest.

— Mówiono mi, że ci, którzy wierzą twym opowiadaniom, wyobrażają sobie, że to jest Najświętsza Maryja Panna. Ale czy ty wiesz — dodał trochę gromiąco — że jeśli kłamliwie twierdzisz, jakoby ci się Przenajświętsza Panna ukazywała w Grocie, to grozi ci, że możesz nigdy nie ujrzeć Jej w niebie, bo miejsce twoje będzie na zawsze w piekle.

— Ja nie wiem, czy to Przenajświętsza Panienska — odpowiedziała Bernadeta, nie zalekniona wzmianką o piekle — ale tę Panią to widzę tak jasno i wyraźnie jak teraz księdza dobrodzieja i mówi Ona do mnie tak samo głośno i wyraźnie... tylko bardzo słodko... i nie gniewa się. A dziś powiedziała, że chce, aby Jej tam wzniesiono kaplicę.

Ksiądz przyglądał się Bernadecie i jej spokojny, a pełny wiary w to, co mówi, wyraz twarzy zastanawiał go coraz bardziej. Żądał, by mu powtórzyła jeszcze raz całe zdanie ściśle tak, jak je usłyszała.

— Więc jak to było?

— Powierzywszy mi tajemnicę, która mnie tylko dotyczy i której zdradzić nie mogę, powiedziała mi Pani: „A teraz, córeczko Moja, idź i powiedz księżom, że chcę, aby mi tu wzniesiono kaplicę.”

Ksiądz Peyramale głęboko się zamyślił: „A jeśli to prawda rzeczywista?... boć wszystko jest możliwe, jeśli Bóg zechce”. I ta myśl, że Przenajświętsza Panna kieruje kroki swej wysłanniczki do niego, skromnego, nieznanego księdza, nappełniła go dziwnym niepokojem. Ale któż zareczy, że ta mała, najlepszej wiary dziewczynka, nie jest igraszką jakiejś omyłki, jakiejś halucynacji, której nie jest zdolna odróżnić od rzeczywistości? Więc znów zwrócił się do Bernadety:

— Jeśli ta Pani, o której mówisz, jest naprawdę Królową niebios, to uczynię wszystko, by wznieść Jej kaplicę. Ale nie wiem, kim jest ta Pani i czy ma do takich żądań prawo. Poproś Ją więc, aby mi zechciała czymś

namacalnym okazać swoją moc. I spojrzawszy w okno, dodał: — O wiesz, zima, wszelka roślinność śpi. Mówiłaś mi, że u stóp tej Pani wije się w miejscu, gdzie Ona zwykła stawać, gałąź dzikiej róży. Poproś Ją, by kazała tej gałęzi zakwitnąć teraz, w lutym.

Pogłaskał dziewczynkę po głowie i pożegnał.

XVI

„POKUTY, POKUTY, POKUTY”!

W małym miasteczku wszystkie wiadomości rozchodzą się z błyskawiczną szybkością. O bytności Bernadety na plebanii wiedzieli już wszyscy w ciągu kilku godzin i domyślali się, że poszła tam po to, aby zanieść proboszczowi zlecenie, które rano otrzymała od „Pani”. Więc jutro przyniesie Jej Bernadeta odpowiedź księdza Peyramale. Oczywiście, wzbudzało to powszechną ciekawość, toteż nazajutrz tłum, oczekujący przed Grotą przybycia Bernadety, był liczniejszy niż dotychczas i znalazło się w nim sporo osób spośród miejscowej inteligencji i środowiska urzędniczego, których większość należała do wolnomysłicieli. Obecny był też i p. Estrade, który, jak wiadomo, nie wątpił wprawdzie o szczerości Bernadety, ale jako zdecydowany ateista poczytywał jej widzenia za chorobliwe halucynacje. Opisuując w kilka dni później bytność swoją w Grocie, tak się p. Estrade wyraża:

„Poszedłem przez ciekawość, aby się przyjrzeć nie tylko halucynacyjnej wizjonerce, ale i bezmyślności ludzi otumanionych wychowaniem w zabobonach katolicyzmu. A miałem tu na myśli nie tylko lud prosty, lecz i osoby ze sfer oświeconych, które entuzjazmowały się widzeniami tej małej chłopki i zwiększały liczebność tłumu, zbierającego się co rano przed Massabielską Grotą i oczekującego jej tam już od wczesnego świtu. Wstałem więc umyślnie bardzo wcześnie i przed przybyciem Bernadety zdołałem jeszcze przedostać się jak najbliżej tego miejsca, gdzie ona zawsze klękała. Stałem niemal tuż przy niej. Tłum odnosił się do niej z jakimś zabobonnym szacunkiem, pozostawiając jej wygodne, szerokie przejście. Bernadeta szła ruchem naturalnym, na nikogo nie spoglądając i bez najmniejszej sztuczności w swym zachowaniu. Szła tak, jak się wśród tłumu idzie przez kościół, by stanąć bliżej ołtarza i jak przed ołtarzem uklękała na swym miejscu. Wydobyła swój różaniec i bez sztuczności, przesuwając paciorki, spokojnie zaczęła się modlić. W zachowaniu jej nie było nic szczególnego, ale po chwili oczy jej zabłysły jakimś niezwykłym blaskiem i wzrok nabrał wyrazu tak wymownego, że niesposób było wątpić, że Bernadeta coś widzi i ogarnia ją uczucie jakiegoś wielkiego szczęścia. Temu spojrzeniu nie towarzyszył uśmiech, ale jakby zapowiedź uśmiechu.

Był to wyraz twarzy, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziałem. Bernadeta w zagłębienie Groty wpatrywała się łagodnie, błogo, a przy tym tak silnie, że oczy wszystkich obecnych pociągnięte zostały w tym samym kierunku. Przyszedłem po to, aby obserwować Bernadetę, i w nią się wpatrywałem, a jednak opanowało mnie coś takiego, że musiałem wzrok od niej odwrócić i wraz ze wszystkimi spojrzeć tam gdzie ona. Nie zobaczyłem nic prócz pustego otworu w martwej skale, po której wilo się parę gałęzi dzikiej róży. A jednak ogarnęło mnie nieokreślone uczucie jakiejś tajemniczej obecności. Jestem człowiekiem myślącym trzeźwo i realnie, mistycyzm mnie się nie ima. Otóż, aby pozostać uczciwym i lojalnym wobec samego siebie, muszę stwierdzić z całą stanowczością, że wszystkie moje poglądy filozoficzne i cały pozytywizm moich rozumowań musiał ustąpić wobec ogarniającego mnie przemożnego uczucia obecności jakiejś tajemniczej Istoty. To nie było uczucie, z którego złudności zdajemy sobie sprawę z chwilą gdy mija, lecz głębokie przekonanie, że Grotę wypełniała obecność jakiejś Istoty boskiej. I nie wstydzę się przyznać, że mi to przekonanie pozostało. Tej Istoty nie widziałem, ale Bernadeta, na którą wtedy patrzyłem, była tak inna niż owa znana mi mała pastuszka i tak potężna w swym rozpromienieniu, że jest wprost niemożliwe, aby ono swe źródło mogło mieć w człowieku w tym ziemskim życiu. Bernadeta — powtarzam to raz jeszcze — była w chwili swej mistycznej ekstazy niezaprzeczalnym świadectwem rzeczywistej obecności Istoty, którą widziała, co też udzielało się wszystkim obecnym. W jej oczach, wpatrzonych w zagłębienie Groty, odbijał się blask wielokroć silniejszy od słabego oświetlenia tej niszy.“

Tak pisał wolnomyśliciel i ateista o widzeniach Bernadety w kilka dni po swojej bytności w Grocie. W dalszym zaś ciągu swego opisu dodaje:

„Gdybym się nie obawiał, iż posadzą mnie o przesadę, to powiedziałbym, że Bernadeta robiła w swej ekstazie wrażenie anioła z nieba, co przynosi nam obraz panującego tam szczęścia. Jej twarzyczka wyrażała obok błogości jakąś inteligencję dalej sięgającą od naszej, jakąś świadomość wyższą od naszej. Obserwowałem krytycznie wszystkie jej ruchy, bardzo zresztą spokojne. W czasie swego widzenia to poruszała wargami, to znów nadsluchiwała: prowadziła widocznie rozmowę. A prowadziła ją bardzo naturalnie i bez egzaltacji, ale w nastroju jakimś nieskończenie głębokim, bo z wyrazem jakiejś radosnej i niezmiernie głębokiej pokory. Rozmawiając z Istotą, którą widziała, czyniła od czasu do czasu znak krzyża, a wszystkie jej ruchy i gesty były niezwykle harmonijne i szlachetne. Przyglądając się im uważnie, przyszło mi na myśl, że jeśli w niebie aniołowie lub święci czynią znaki krzyża, to Bernadeta w ekstazie czyni je w sposób im podobny. W pewnej chwili Bernadeta podeszła na kolanach w głąb Groty powtarzając równocześnie trzykrotnie: Pokuty! Pokuty! Pokuty! Po chwili podniosła się z klęczek i wyszła z Groty.“

NARAZ WYTRYSNĘŁO ŹRÓDŁO

— No i cóż? — zapytał proboszcz, gdy Bernadeta przyszła do niego prosto z Groty. — Widziałaś Ją? i co ci powiedziała?

— Widziałam, proszę księdza dobrodzieja, i powiedziałam: Ksiądz proboszcz bardzo prosi o jakiś znak, na przykład, żeby Pani była łaskawa kazać zakwitnąć tej dzikiej róży, która jest pod Pani stopami, bo moje słowa nie wystarczają księżom za dowód. Pani się uśmiechnęła, ale nic nie odpowiedziała. Potem posmutniała, kazała mi zmówić pacierz za grzeszników i pójść do wnętrza Groty. Przez ten czas Pani powiedziała trzy razy słowo „Pokuty!” i ja, posuwając się w głąb Groty, trzy razy to powtórzyłam, bo mi się zdawało, że ta Pani tak chciała. Jak już doszłam do końca, to Pani powiedziała mi jeszcze jedną rzecz w tajemnicy, którą mam zachować dla siebie, i potem znikła.

— A po co ta Pani kazała ci iść w głąb Groty? Czyś tam coś widziała lub coś znalazła?

— Dopóki „Pani” jest, to ja tylko w Nią patrzę, więc dopiero jak Pani znikła, rozejrzałam się dookoła w głębi groty, ale nie widziałam nic prócz kawałków skały, takich samych jak w całej grocie i paru kępek zeschłej trawy, bo tam wszędzie taki suchy skalisty proch i nic nie rośnie.

Po odejściu Bernadety głowił się biedny ksiądz Peyramale, co miały oznaczać opowiedziane przez nią zdarzenia, o ile jej wizje były rzeczywistością i czy była to Postać Bożej Matki. Nie wolno mu było uwierzyć w to lekkomyślnie, ale i z góry nie powinien był też odrzucać możliwości takiej rzeczywistości.

Aby się więc upewnić, szukał ks. Peyramale jakiejś oznaki, pragnął jakiegoś cudu, choćby tak drobnego, jak rozkwit owej dzikiej róży spod śniegu. Ale tego dowodu nie otrzymał. Odpowiedzią na jego prośbę był tylko uśmiech „Pani”... A jeśli Ona jest rzeczywiście Najśw. Panną?... Czy nie był to może królewski uśmiech pobłażania wobec oczekiwań takiego dowodu, który nie jest godzien Jej Majestatu? I przerażenie ogarnęło biednego księdza:

— *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* (moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina!).

Powstał z klęczek i znów oddał się rozmyślaniom: „Wszak po uśmiechu w obliczu Najświętszej Panny dostrzegła Bernadeta smutek i usłyszała z Jej ust nakaz modlitwy za grzeszników i pokuty. Tak, grzechy ludzkie wciąż pełzają po ziemi i zasmucają Najświętszą Pannę. Jej wyraz bóleści i wyrzeczone słowa nie były więc dla księdza Peyramale zagadkowe.

Ale nie pojmował rozkazu danego Bernadecie, aby poszła w głąb Groty pod skalistą ścianę. Rozkaz Bogarodzicy nie mógł być bez znaczenia. Sło-

wa wypowiedziane z tej Wyżyny muszą mieć swoją wagę, muszą zawierać jakąś wskazówkę dla ludzi.

Ale jaką wskazówkę, tego w owej chwili ks. Peyramale nie mógł jeszcze wiedzieć ani zrozumieć. Dopiero za kilka dni następnych stało mu się to jasne. I wtedy dopiero pojął, że słusznie bił się w piersi, że śmiesznie mały był ów znak kwiatu dzikiej róży, o który prosił. Najświętsza Panna, rozkazując Bernadecie posunąć się do skalnej ściany, oznaczyła tym rozkazem miejsce, gdzie się za Jej sprawą cud większy dokona. I nie kwiat znikomy, lecz znak trwały pozostanie, niosąc ludziom przez całe ich pokolenia niewyczerpane łaski Bogarodzicy. Z chwilą, gdy Synagoga sądząc, że uśmierca Jezusa, zabiła sama siebie — łaska, którą Bóg kazał Mojżeszowi uderzyć w skalę, by trysło z niej źródło, przeszła w dziedzictwo chrześcijańskiego ludu ¹.

Sprawy te miały się ujawnić nieco później. Tymczasem zaś, choć korzył się ks. Peyramale w przeczuciu możliwej pomyłki, jednak jasny jego umysł pojmował, że należy się też liczyć z możliwością pomyłki w kierunku przeciwnym; bo gdzież dowód niewątpliwy, że widzenia Bernadety nie są halucynacją? Zdobycie takiego dowodu było obowiązkiem, dlatego postanowił czekać, dopóki Opatrzność tego nie dostarczy.

Tymczasem coraz większa liczba osób interesowała się widzeniami Bernadety. Zaczęto chodzić do jej rodziców i tam ją wypytywać. Przybywali ludzie z dalszej nawet okolicy i niejednen spośród wolnomyślicieli został mocno zachwiany w swym niedowiarstwie, zwłaszcza gdy rozmowa z pastuszką zachęciła go, by pójść do Grotty i przyglądnąć się jej widzeniom. Pan Jacomet niepokoił się widząc, jak tą drogą coraz więcej lurdzkich wolnomyślicieli „wykoleja“ się, podobnie jak p. Estrade.

Pewnego dnia zjawił się w ubogim mieszkaniu rodziców Bernadety jakiś elegancki pan, wysłuchał z wielkim przejęciem odpowiedzi dziewczynki, wypytał Franciszka Soubirous i jego żony o różne szczegóły ich życia, rozculił się bardzo ich ubóstwem, które wyzierało ze wszystkich kątów i wyjąwszy dobrze wypchaną sakiewkę położył na stole.

— Pozwól mi — powiedział zwracając się do Bernadety — abym ci zostawił mały upominek. — I wysypał na stół kilkanaście luidorów ².

Pastuszka oblała się rumieńcem wstydu, lzy zakręciły się jej w oczach i odsuwając złote monety odpowiedziała:

¹ Cały ten ustęp wyjęty jest ze zwierzeń ks. Peyramale zakomunikowanych Veuillotowi.

² Luidor — złota ówczesna moneta francuska.

— Proszę, zabierz pan to z powrotem. Przecież ja u pana nic nie pracowałam, więc za cóż mi pan płaci?

— Toteż daję to dla twoich rodziców, moje dziecko, którzy jak widzę są biedni. Jesteś dobrą córeczką, więc nie przeszkodzisz mi, abym im pomógł.

— Nie, panie — odezwali się rodzice — nic nie przyjmiemy, ani my, ani Bernadeta.

Nieznajomy, zawstydzony i mocno niezadowolony, zmuszony był zabrać swoje luidory.

Nazajutrz p. Jacomet był w bardzo złym humorze i nikt nie mógł dociec dlaczego, a tylko p. Estrade na schodach wiodących do komisariatu, minął się z owym nieznany filantropem. Sporo czasu upłynęło, zanim p. Jacomet przyznał się panu Estrade do swego podstępu. Należało, jak twierdził, do jego obowiązków, aby zdemaskować Bernadetę, jeśli jest oszustką.

— Ale mogła przecież przyjąć ofiarowaną pomoc, nie dowodząc tym jeszcze bynajmniej, że jest oszustką — odparł p. Estrade.

— Więc czemu nie przyjęła i odrzuciła niespodziane dla niej szczęście?

— Bo ja, drogi panie, inne większe szczęście oczekuje i radzę panu szczerze, abyś wszelkich z nią walk zaniechał, bo ona zwycięży.

— Niech się pan o mnie nie obawia. Wiem, co robię i mam za sobą całą wyższą władzę.

— Więc mogę pana zapewnić, że mała Bernadeta ma też swoją Protektorę, wobec której każda władza na ziemi jest mniej niż pyłkiem.

Taka oto zmiana zaszła w duszy pana Estrade, zanim był jeszcze świadkiem tego, co nazajutrz w Grocie widziało wraz z nim kilkaset osób, które się tam zebrały, oczekując przybycia Bernadety.

To, co się odbywało dotychczas między nią a „Panią“, jak Ją wciąż nazywała, poznawali obecni zawsze z jej ruchów i z tego, co im o swym widzeniu opowiadała. Było jednak tym razem jeszcze coś więcej, bo pierwszy widomy cud, który pozostał i trwać będzie na zawsze dla powszechnej wiadomości.

Przenajśw. Panna ukazawszy się dnia tego (25 lutego) Bernadecie, powiedziała jej słowa przeznaczone wyłącznie dla niej i dodała. — *To jest ostatnia z trzech tajemnic, które ciebie tylko dotyczą i które tylko dla siebie masz zachować.*

„Pani“ popatrzała potem na pastuszkę, uśmiechnęła się i powiedziała:

— *A teraz idź do źródła, napij się z niego i obmyj się w nim.*

Bernadeta, usłyszawszy słowo „źródło“, rozejrzała się dookoła, bo przecież nie było żadnego źródła w Grocie. Zamykała ją martwa skała, której szczeliny wypełniał suchy pył, ścieląc się po całym gruncie Groty. Tylko powiew idący od Gawy wnosił tam trochę świeżości, dzięki czemu gdzieś tam wyrastały drobne kępy mizernej, karłowatej trawy. Pastuszka nie widząc żadnego źródła, sądziła, że „Pani“ miała może na myśli Gawę

i zaczęła posuwać się na kolanach w stronę rzeczulki, zwracając wciąż rozpromienione oczy ku umiłowanej Postaci. Ale Ta zatrzymała ją ruchem dłoni:

— *Nie, nie w tę stronę. Nie powiedziałam, abys napila się wody z Gawy, ale ze źródła. Ono jest tu.*

I królewską swą dłonią, z której łaski spływają na ludzkość, wskazała to samo miejsce, do którego wczorajszy Jej rozkaz skierował Bernadetę.

Bernadeta zawróciła więc i poczołgała się w owym kierunku na klęczkach. Nie było tu jednak ani śladu jakiegokolwiek źródła, a tylko mała kępka doryny¹. Pastuszka zaczęła wygrzebywać rączkami skalisty piasek opodal tej kępy. Gdy ją pytano, dlaczego to robiła, nie potrafiła tego wyjaśnić.

— Nie wiem — odpowiedziała — zdawało mi się, że „Pani“ tak chce. Ale Ona mi tego nie powiedziała, tylko czułam, że tak mam zrobić.

Tłum zebrany przed Grotą patrzył na to grzebanie w piasku z zaciekawieniem, z jakimś niepokojem i zbliżał się coraz więcej do Bernadety, która co chwila podnosiła główkę ku swemu Widzeniu i znów grzebała, aż utworzył się dołek głębokości kilku centymetrów, jak mała czarka do mleka. Wtedy dno owej czarki zaczęło nagle wilgotnieć. Wydobywała się zeń jakby rosa coraz gęstszymi kroplami i wkrótce całe zagłębienie wypełniła woda, która zaczęła zeń wypływać, tocząc się powoli wąską wstęgą po pochyłości gruntu w stronę Gawy.

Gdy tylko wygrzebany dołek wypełnił się wodą, Bernadeta, zaczerpnawszy jej dłonią, napila się, a potem obmyła w niej swą drobną twarzyczkę, rozpromienioną i zawsze zwróconą ku zagłębieniu obok Groty, dopóki Postać, widziana tylko przez nią, nie znikła. Wtedy powstała z klęczek i skierowała się ku wyjściu.

— Święta! Święta! — podniosły się okrzyki z tłumu. Zaczęto rzucać się przed nią na kolana, wyciągać do niej ręce, całować jej połataną sukienkę. Biedne dziecko, onieśmielone, przerażone, chowając twarzyczkę w dłonie, prosiło płacząc, aby jej nie krzywdzić i nie sprowadzić na nią gniewu „Pani“ za to, że słuchać musi takich wyrazów. Przecież to grzech, żeby ją tak nazywać! Ona tylko grzebała w ziemi, a tego cudu, że stamtąd źródło wytrysło, dokonała „Pani“.

Ale w tłumie było też i kilku wolnomyślnych niedowiarków:

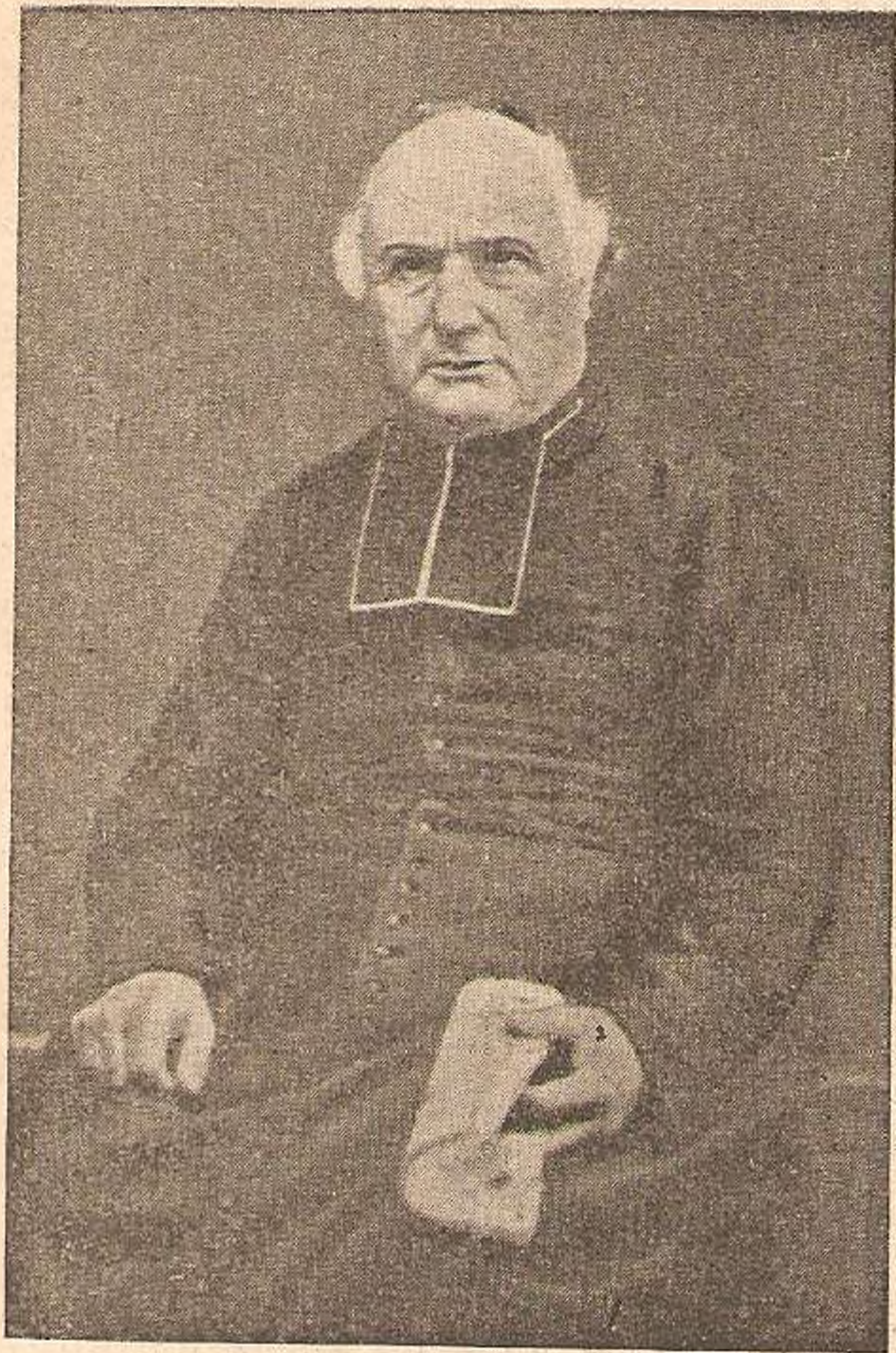
— To woda ze stopniałego śniegu — mówili — która tam przesiąkła jakąś szczeliną skalną, bo od tłumu ludzi w grocie temperatura się podniosła. Zobaczymy, co będzie jutro.

Tymczasem wąski strumyk, który początkowo całkowicie wsiąkał w suchy grunt, zaczął powoli żłobić sobie w nim koryto, bo jednocześnie z dołka wygrzebanego przez Bernadetę woda wydobywała się coraz silniejszym

¹ Jest to gatunek roślin trawiastych, rosnących na gruntach skalistych.



Pierwsze objawienie się Niepokalanej



Proboszcz Peyramale



Biskup Laurence

strumieniem. I ten, spływając ku wyjściu Groty w stronę Gawy, aby dotrzeć po paru dniach do jej brzegów, natrafił po drodze na małe zagłębienie, znajdujące się w pobliżu samego wytrysku. Pogłębiono je potem stopniowo i wycembrowano, tworząc basenik wielkości małej wanienki. Ale to należy już do historii późniejszych wysiłków ludzkich, dokonanych ku czci Tej, której dziełem był cud Źródła.

XVIII

PIERWSZE UZDROWIENIE

Ongiś, kierując ręką Mojżesza, sprawił Bóg, że za dotknięciem laski trysnęło ze skały źródło. Teraz wytrysło ono za sprawą Przenajświętszej Panny. I tak właśnie zrozumiał to cały lud okoliczny, choć jeszcze nikt nie wiedział, kim była owa Postać, ukazująca się Bernadecie. Nikt nie mógł wiedzieć, bo się Bernadecie jeszcze nie zwierzyła, a jednak wszyscy Jej Imię przeczuli.

Cudowne wytrysnięcie źródła miało miejsce 25 lutego rano, w czwartek. W najbliższym mieście powiatowym Tarbes był to dzień wielkiego targu, na który pośpieszyli też i ludzie z Lurd. Przyniesiona przez naocznych świadków wiadomość rozeszła się tegoż wieczoru za pośrednictwem ludzi obecnych na jarmarku po różnych wsiach i miasteczkach. Skutek był taki, że następnego dnia o świcie zebrał się przed skałą Massabielską u wejścia do Groty tłum wielotysięczny, zalegając łąkę po obu brzegach Gawy.

Okrzyki: „Święta! Święta!“ podniosły się natychmiast, jak tylko ujrzała nadchodzącą. Bernadeta słysząc podobne owacje stanęła jak wryta. Nie śmiała iść dalej. Czuła się zasmucona i upokorzona, że nadają jej to miano, do jakiego nie ma prawa. Miejscowi ludzie, którzy już wiedzieli, jaką przykrość sprawia to małej pastuszce, uspokoili szybko tłum i Bernadeta znalazła się po chwili na zwykłym swym miejscu. Jej ekstaza trwała jednak tym razem krócej niż dni poprzednich.

Zgodnie z przyrzeczeniem danym „Pani“ chodziła pastuszka co dzień rano do Groty i co dzień widzenia się powtarzały. Trwały one to dłużej, to krócej. Ale widocznie nie otrzymywała już Bernadeta żadnych od swej „Pani“ zleceń, bo się w plebanii nie zjawiała. Tymczasem kilkutysięczny tłum asystował codziennie jej widzeniom. Było tam coraz więcej osób z inteligencji miejscowej i okolicznej. Obserwowano z przejęciem wszystkie ekstazy Bernadety, które czyniły na każdym głębokie wrażenie. A z ciekawością i podziwem oglądano źródło tryskające coraz silniejszym strumieniem, który wyłobił już sobie wyraźne korytko i spływał obficie do Gawy.

Lud czerpał tę wodę dzbankami, zabierał do domu, i nie księża, którzy od całej tej sprawy stronili, ale lud zawyrokował z góry, że własności owej wody muszą być cudowne. Zaczęło to krążyć z ust do ust już na drugi dzień po wytryśnięciu źródła i doszło do wiadomości pewnego rzemieślnika, nazwiskiem Ludwik Bourriette (czyt. Buriet). Był to już starszy człowiek, z zawodu rzeźbiarz nagrobków.

Kiedys przy rozsadzaniu marmurowego bloku dynamitem uległ wypadkowi. Wybuch uszkodził mu prawe oko, na które zaniewidział. Przy wizjach Bernadety nie był nigdy obecny, ponieważ zaziębiwszy się leżał od dwóch tygodni w łóżku. Kazał sobie jednak o tym wszystkim opowiadać, bardzo się tym przejmował i od pierwszej chwili wierzył głęboko, że Istotą, która się Bernadecie ukazuje, jest Przenajświętsza Panna.

— To nie może być — mówił w swojej prostocie — jakaś zwyczajna Święta, bo żadna nie byłaby taka piękna, ani nie miałaby takich szat, jak o tym opowiada Bernadeta.

Dowiedziawszy się więc o wytryśnięciu źródła, nie wątpił, że woda, która się pojawiła na sprawą Matki Bożej, musi mieć własności cudowne. Posłał więc niezwłocznie swoją córkę, aby mu jej przyniosła. Okaleczonym okiem nie tylko nie widział, ale i ból stale w nim odczuwał, co bardzo mu dokuczało.

Otrzymawszy wodę pomodlił się gorąco, po czym zaczął nią oko przemywać i krzyknął natychmiast w uniesieniu:

— Widzę! Widzę! ozdrowiałem! Dzięki Ci, Matko Przenajświętsza! — I wyskoczywszy z łóżka, rzucił się na kolana.

Bourriette nagle czuł się ogólnie uzdrowionym. Więc zaraz nazajutrz udał się do Groty, gdzie w czasie ekstazy Bernadety modlił się gorąco. Wracając do domu spotkał na rynku doktora Dezous, który po wypadku z dynamitem, leczył go na okaleczone oko bezskutecznie.

— Panie doktorze, ozdrowiałem! — powitawszy go odezwał się radośnie Bourriette — widzę już na oboje oczu!

— Co też opowiadacie! Przecież wasze kalectwo jest niestety nieuleczalne. Takiego wyleczenia nie było jeszcze w medycynie.

— Toteż nie medycyna mnie uleczyła, ale Przenajświętsza Panna z Groty.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Że Bernadeta podlega jakimś ekstazom niewyjaśnionego pochodzenia, temu nie przeczę i o żadne udawanie jej nie posądzam. Ale żeby woda płynąca z Groty miała nagle usuwać cierpienia nieuleczalne, to nie jest rzeczą możliwą. Opowiadacie bajki.

Mówiąc to wyjął z kieszeni notatnik i coś w nim ołówkiem napisał, po czym zasłoniwszy ręką lewe, zdrowe oko Bourriette'a, podsunął mu notes pod prawe.

— No — powiedział — przeczytajcie.

Bourriette okiem wczoraj jeszcze martwym przeczytał recytując głośno: „Bourriette cierpi na amaurozę nieuleczalną, na którą nie ma sposobu, aby ją usunąć.“

Gdyby piorun uderzył u stóp doktora Dozous, nie uczyniłby na nim większego wrażenia niż głos Bourriette'a, odczytującego słowa napisane w dodatku dosyć bladym ołówkiem.

Dr Dozous zawsze dotychczas twierdził, że to tylko jest rzeczywistością, o czym przekonać się można doświadczalnie lub udowodnić matematycznie. Był ateistą, ale nie należał do tego obozu wolnomyślicieli, którzy starają się wiarę innych zniszczyć i walczą z Kościołem. Był prawdziwym człowiekiem nauki, a więc sumiennym i niezarozumiałym. Toteż po ponownym zbadaniu wzroku Bourriette'a w swym gabinecie lekarskim nie wahał się zakonkludować.

— Tak, to uleczenie nie daje się wytłumaczyć naukowo. Jest ono sprzeczne z prawami przyrody i nie mogę zaprzeczyć, że jest cudem.

Później powołana została pod zwierzchnictwem biskupa Laurence (czyt. Lorans) specjalna komisja do badania charakteru uzdrowień. Między innymi został przez nią zaproszony dr Vergez (Verże)¹, profesor uniwersytetu w Montpellier, który podobnie jak dr Dozous uznał uleczenie Bourriette'a za zjawisko nadprzyrodzone. Opinie obu lekarzy przez nich podpisane figurują w dokumentach Komisji. Cudowność uzdrowienia była tym widoczniejsza, że wewnętrzne uszkodzenie gałki ocznej pozostało i zdaniem lekarzy jest nie do pojęcia, aby przy takim uszkodzeniu można było widzieć.

Bourriette był pierwszym, którego uleczyła woda z Groty. Miało to miejsce zaraz nazajutrz po wytrysnięciu Źródła. W ciągu paru następnych dni Maria Daube (czyt. Dob), Bernard Soubie (Subi), Fabian Baron (Barą) i Joanna Crassus (Krasi), sparaliżowani, zostali przez Najśw. Panne uzdrowieni, odzyskując od razu pełną swobodę ruchów. Protokoły lekarskie, znajdujące się w aktach Komisji Biskupiej, stwierdziły nadprzyrodzony charakter tych uzdrowień.

Wieści te rozchodziły się po okolicy i sprowadzały do Lurd coraz większe tłumy. W tydzień po wytrysnięciu Źródła dochodziły one już do piętnastu tysięcy. Zbierano się nie tylko o świcie podczas widzeń Bernadety, ale i wieczorami po pracy. Ludzie przychodzili wtedy ze świecami, toteż Grota jarzyła się tysiącami płomyków.

¹ Dr Vergez objął katedrę w Montpellier dopiero w październiku. Za czasów widzeń Bernadety był jeszcze lekarzem w Lurd i wspólnie z doktorem Dozous miał Bourriette'a w kuracji.

ZAGADKA ŹRÓDŁA

O tej samej wieczornej porze zapalały się w mieście światła w kawiarniach i w klubie. Tu dźwięki wyuzdanego kan kana¹, a o parę kilometrów dalej rozbrzmiewały w Grocie nabożne pieśni. Przy stolikach miejscowi filozofowie radzili i wolnomyślicielski sanhedryn wydawał wyroki.

— Źródło? Ależ nigdy go tam nie było i nie ma. Ot, zwykła kałuża utworzyła się w dołku, wygrzebanym przez tę głupią dziewczynę; woda z topniejącego śniegu nacieka jakąś szczeliną.

— No, oczywiście. To zupełnie naturalne. Wyschnie za parę dni i ciemny tłum otrzeźwieje.

— Opowiadają jednak, że strumień wciąż rośnie — odważył się ktoś wtrącić.

— Et, powtarza pan brednie dewotek. Byłem tam i widziałem. Nie ma żadnego strumienia; spływa trochę błota po pochyłości, bo się ociepliło.

Takie poglądy wyraziła nawet miejscowa gazeta „L'Ere Impériale“ nosząca charakter prasy na poły oficjalnej, a na poły brukowej. Gdy jednak w 6 tygodni później wydział inżynierii okręgowej sprawdził, że wydajność Źródła przekracza 100.000 litrów na dobę i gdy już zaczęto mówić o wzniesieniu tam kaplicy, ta sama gazeta pod datą 10 kwietnia napisała:

„Skoro chodzi o wybudowanie świątyni, to można by wymyślić jakąś inną ku temu przyczynę niż brednie halucynującej dziewczyny i inne miejsce, niż bagno, które jej służy do umywania się.“

Ale to miało miejsce później, a tymczasem byliśmy jeszcze w końcu lutego. Bernadeta chodziła codziennie raniutko do Groty. Tłumy asystujące jej ekstazom mimo swej liczebności i drażnienia ich uczuć przez bluźnierstwa miejscowych wolnomyślicieli zachowywały wzorowy porządek i spokój.

Wolnomyślicielski zaś obóz był w Lurd i okolicy nie tylko liczny, ale i bardzo wpływowy. Należały doń bowiem osobistości piastujące poważne stanowiska urzędowe oraz niemało adwokatów, lekarzy, nauczycieli gimnazjalnych i zamożnych przemysłowców. Dziwiono się też niepomierzenie w klubie, który był ośrodkiem tego obozu, że pod wpływem cudownych zdarzeń zaczęli odpadać od niego ludzie właśnie najbardziej wykształceni i poważni, jak dr Dozous, p. Estrade, dowódca miejscowego garnizonu pułkownik de Laffitte i kilku innych.

Pod wpływem nalegań pana Jacomet, któremu to wszystko nie dawało spokoju, została Bernadeta wezwana przez prokuratora. Zachowała się w jego kancelarii równie spokojnie jak poprzednio w komisariacie i odpowiedzi jej były równie stanowcze i niezmiennie, jak te, które poprzednio dawała panu Jacomet. Starano się wydobyć od niej odpowiedź, kto jej kazał grzebać w tym miejscu, gdzie wytrysło źródło; kto ją do tego namó-

¹ Swobodny taniec francuski.

wił; ile jej za to zapłacono itd. Ale dziecko nie zmieszało się ani na chwilę. Z odpowiedzi jej była prawda i szczerść tak silnie, że prokurator zakładował wreszcie:

— Nie, ta mała nie kłamie. To są halucynacje, ale nie komedie, odgrywane świadomie. A wytrysk Źródła to po prostu zbieg okoliczności. I nie zmienił stanowiska, na którym zgodnie z kodeksem stanął był poprzednio.

Zdarzenia zachodzące w Lurd poruszyły ludzi w całej okolicy. Zajęte nimi były wszystkie umysły, zaludniły się drogi i ścieżki, wiodące do Lurd i do Groty, ale spokój i porządek panował wzorowy. Nad jego zachowaniem czuwała bez rozporządzeń władz jakaś wyższa od nich siła, nakazująca powagę i skupienie.

Nacisk wywierany na prokuratora musiał więc na razie pozostać bez wpływu. Spróbowano tedy wyrzucić go na mera¹ miasta, pana Lacadé (czyt. Lakade). Ale i to nie odniosło skutku; mer odpowiedział bowiem, że nie ma podstaw do zakazywania pielgrzymek, dopóki spokój jest zachowany.

— Będę mógł wprowadzić sprzeciwić się im, aby zapobiec szerzeniu się zabobonu, ale to może nastąpić dopiero wtedy, gdy się w tej sprawie wypowie duchowieństwo.

Tymczasem jednak duchowieństwo wcale się tą sprawą nie zajmowało i wśród tłumu, który się zbierał u Groty, nie było nigdy ani jednego księdza. Ta obojętność była jednak tylko pozorna. Proboszcz Peyramale zwrócił się bowiem do swej władzy, jak się tylko rozeszła wieść o wytrysnięciu Źródła i cudownym uzdrowieniu Bourriette'a. Ale biskup Laurence rezydujący w Tarbes zdecydował, aby księża choćby samą tylko obecnością swoją nie dawali pozorów aprobaty uniesieniom religijnym tłumu, dopóki cudowność zjawisk nie zostanie stwierdzona niezbicie. Nie widywano więc u Groty ani sióstr zakonnych, ani księży. Natomiast żołnierze miejscowego garnizonu, poruszeni rozchodzącymi się wieściami, poprosili dowódcę o pozwolenie chodzenia do Groty, a ten udzielił im go bardzo chętnie.

Pierwszy raz ujrzano przed Grotą dwa szeregi mundurów w dniu 2 marca. Tego właśnie dnia ekstaza Bernadety trwała dłużej niż zwykle, a osoby bliżej niej stojące usłyszały wyraźnie, jak wyszeptała: „Dobrze, proszę Pani, pójdę natychmiast i powtórzę.”

Było to nowe zlecenie dla proboszcza. Bernadeta prosto z Groty poszła więc do niego i powtórzyła:

— Ta Pani powiedziała: „*Pragnę, żeby tu przychodziły procesje.*”

Zdaje się, że od chwili wytrysnięcia Źródła i uzdrowienia Bourriette'a ks. Peyramale, podobnie jak jego parafianie, nie miał najmniejszej wątpliwości, kim jest „Pani”. Toteż z całą szczerścią odpowiedział Bernadecie, że jej wierzy, ale bez pozwolenia biskupa nie może nic w tej sprawie przedsięwziąć, a widząc, że dziewczynkę odpowiedź ta zasmuciła, dodał:

— Pani wie o tym, więc bądź spokojna, że nie będzie się gniewała.

¹ Stanowisko odpowiadające wtedy funkcjom starosty i burmistrza jednocześnie.

UZDROWIENIA NA OCZACH TŁUMÓW

Ks. Peyramale udał się ponownie do swego biskupa w Tarbes, gdzie dokładnie zreferował całą sprawę. Biskup Laurence polecił dostarczyć sobie szczegółowych informacji o wszystkich dalszych zdarzeniach, by na ich podstawie przystąpić do gruntownego zbadania całej sprawy. Nie taił jednak, że odnosi się do niej sceptycznie; wiedział bowiem z długiej swej praktyki, jak często ludzie w najlepszej wierze ulegają złudzeniom, a zwłaszcza gdy chodzi o dzieci, bo ich żywa wyobraźnia skłonna jest do przywidzeń.

Tarbes było siedzibą nie tylko biskupa diecezjalnego, ale i prefektury. Toteż gdy proboszcz Lurd posyłał tam swoje raporty biskupowi, p. Jacomet składał również ze swej strony raporty prefektowi¹, panu Massy. Nie tylko więc wyższa władza duchowna, ale i wyższa władza świecka miała odtąd zwróconą uwagę na wydarzenia lurdzkie, a mnożyły się one z każdym dniem. Znoszono do Groty wota, ozdabiano jej wnętrze, oświetlano ją dzień i noc lampami i świecami, a pielgrzymki napływające z coraz dalszych okolic nieustannie obozowały dookoła Groty.

Wśród opowieści krążących o widzianych tam cudach było niewątpliwie sporo faktów przesadzonych lub wprost fantastycznych, które tworzyła wyobraźnia rozegzaltowanego ludu. Niesposób jednak zaprzeczyć zjawiskom nadprzyrodzonym, których świadkami byli ludzie wykształceni, trzeźwo myślący i nieskłonni do egzaltacji — ba, zdecydowani nawet wolnomyśliciele i sceptycy, których wiodła do Groty zwykła ciekawość.

Jednym z cudów stwierdzonych taką właśnie drogą było uzdrowienie synka pani Ducouts (czyt. Diku). Biedactwo, mając blisko 3 lata, pozostawało wciąż w łóżku od urodzenia. Był to rodzaj paraliżu. Dr Vergez, który miał dziecko w swej opiece lekarskiej, stosował tu wszelkie środki, jakimi tylko wiedza medyczna rozporządzała, ale wysiłki jego pozostały daremne. W połowie lutego, wtedy właśnie, gdy rozpoczynały się widzenia Bernadety, stan dziecka uległ znacznemu pogorszeniu. Nawiedził je nagły upadek sił, co postępowało coraz szybciej. Matka nie była jeszcze w Grocie, bo ani na krok nie odstępowała dziecka. Opowiadano jej wprawdzie o wizjach Bernadety, o wytrysnięciu źródła, o uzdrowieniu Bourriette'a, ale mało na to wszystko zwracała uwagi, mając umysł zajęty wyłącznie dzieckiem. Ale gdy jego stan wciąż się pogarszał, wezwała znów doktora Vergeza. Lekarz, zbadawszy chłopczyka, smutno pochylił głowę, a na zapytanie matki, co robić, jakie mu dawać lekarstwa, jakie stosować środki, odpowiedział tylko bezradnym rozłożeniem rąk.

— Jak to? Więc nie ma ratunku!

— Niestety, żadnego... Tu zbliża się już koniec.

¹ Stanowisko prefekta odpowiada u nas mniej więcej stanowisku wojewody. ponieważ bezpośrednim zwierzchnikiem prefekta jest minister spraw wewnętrznych.

Nieszczęśliwa kobieta jak w obłędzie porwała dziecko w ramiona, otuliła je szalem i biegła ku wyjściu.

— Co pani robi? Dokąd pani ucieka? — zawołał przerażony lekarz.

— Do Groty! Do Groty! Jego uratuje Najświętsza Panna. — I wybiegła.

Dr Vergez podążył za nią. Widzenia Bernadety, o których oczywiście słyszał, uważał za halucynacje, a na opowieści o cudach wzruszał ramionami. Podobne halucynacje mieli, jego zdaniem, ludzie przed dziewiętnastu wiekami, kiedy uwierzyli w Zmartwychwstanie. Do Groty poszedł więc tylko z ciekawości i może z jakiejś litości dla biednej matki opanowanej rozpaczą.

„Po drodze próbowałem ją wstrzymać — pisał później w liście do swej siostry, mieszkającej w Marsylii — ale nie słyszała nawet, co do niej mówiłem. Przez całą drogę bez ustanku odmawiała litanie, z jej słowami na ustach wbiegła do Groty i wciąż modląc się zanurzyła dziecko w zimnej wodzie źródła. Choć było już po południu, ale i o tej porze znajdowało się tam jeszcze około tysiąca osób klęczących, zatopionych w modlitwie, a kilkadziesiąt przyglądało się świeżemu widowisku. Ktoś spośród widzów daremnie odciągał nieszczęśliwą kobietę od źródła perswadując jej, że zabija własne dziecko, które już dobry kwadrans trzymała w mroźnej kąpieli.“

„Przyznaję — pisze dalej — że jako lekarz popełniłem zbrodnię przez swą bierność w tak ważnej chwili. Powinienem był przemocą wyrwać dziecko z wody. Przypatrywałem się jak otumaniony całej scenie. Gdy matka wreszcie dziecko wydobyła, było zupełnie sine, ale oddychało jeszcze. «Umrze, zanim je matka doniesie do domu» powiedział ktoś obok mnie. Obejrzałem się i ze zdziwieniem poznałem dra Peyrusa, psychiatrę.

— Cóż kolega tu robi?

— Przywiodła mnie tu ciekawość zawodowa. Bo wszystko, co się tu od dwóch tygodni dzieje, to jakieś typowe zjawiska hipnozy zbiorowej.

Gawędząc zawróciliśmy ku miastu. Nazajutrz, choć nie wezwany, czułem się w obowiązku zająć do tej biednej pani Ducouts. Nie byłem ani pijany, ani zhipnotyzowany, a jednak uszczypnąłem się i przetarłem oczy, aby się upewnić, że nie śnię. Dziecko bowiem nie tylko żyło, ale siedząc w kącie na podłodze, bawiło się jakimś pajacem i gdy mnie zobaczyło, podniosło się na nóżki o własnych siłach.“

„Opisuję ci to — kończył dr Vergez swój list — jako człowiek nawrócony. Zarówno teoria medycyny, jak jej praktyka stwierdza, że kąpiel w wodzie dosłownie lodowatej trwająca, jak w tym wypadku, powyżej kwadransa, jest bezwarunkowo zabójcza. Otóż nie zabiła ona dziecka, ale je uleczyła i to bez żadnej stopniowej rekonwalescencji, błyskawicznie. Tak, to jest cud dokonany jednym tylko słowem wypowiedzianym w niebie: „Powstań, a chodź.“

Taki jest list, który do swej siostry napisał dr Vergez w kilka dni po fakcie jako naoczny świadek. Natychmiast po bytności swej u pani Du-

couts sprowadził do niej doktorów Peyrusa i Dozousa, i we trzech zbadali dziecko. Później, wymieniając nazwiska tych dwóch swoich kolegów, stwierdził dr Vergez nadprzyrodzony charakter uzdrowienia małego Ducoutsa w oficjalnym protokole złożonym Komisji Biskupiej, kładąc swój podpis już jako profesor uniwersytetu w Montpellier, gdzie jesienią tegoż roku objął katedrę fizjologii. Należy tu dodać, że dr Peyrus był potem jeszcze raz w Grocie w czasie widzeń Bernadety i pogląd swój co do hipnozy zbiorowej zmienił.

Z każdym dniem mnożyły się wydarzenia cudownych uzdrowień. Ludzie z dalekich okolic, którzy skutkiem obłożnej choroby i braku środków na przyjazd nie mogli przybyć do Groty sami, prosili o przysłanie im wody z cudownego Źródła i po jej użyciu cudownie wracało im zdrowie. Paralitycy odzyskiwali swobodę ruchów, ślepi i głusi — wzrok i słuch. Wśród zaś tych przypadków, zbadanych i stwierdzonych przez lekarzy, zdarzył się jeden zasługujący na szczególną uwagę.

Błażej Maumus (Momi), właściciel jednego z zajazdów i restauracji w Lurd, uskarżał się od pewnego czasu na ból stawu kiściowego. Wkrótce utworzył się guz, zaczął ropieć i obrzydliwa narośl rozprzestrzeniała się powoli coraz dalej po zewnętrznej powierzchni dłoni. Dr Dozous wspólnie z chirurgiem zaproszonym z Tarbes orzekli na konsultacji, że jest to rak i że nie zwlekając należy rękę amputować. Przerażony tą perspektywą Maumus rozplakał się.

— Panie doktorze — zapytał łkając — a może nie trzeba? Może wystarczy woda z Groty?

— Ha, spróbuj pan — odpowiedział dr Dozous z pewnym powątpiewaniem — widziałem rzeczywiście kilka uzdrowień, ale w pańskim przypadku wątpię, aby to mogło pomóc.

Maumus pobiegł niezwłocznie do Groty, zanurzył rękę w Źródle, potem na noc owinał ją kompresem namoczonym w wodzie z Groty. Ale nazajutrz ręka wyglądała raczej gorzej niż poprzednio. Zrozpaczony widmem amputacji nie mógł usiedzieć w domu, pobiegł do pani Ducouts i opowiedział jej swoją biedę:

— Przenajświętsza Panna uzdrowiła pani dziecko, a mnie Jej woda nie chce pomóc. Poradź mi pani, co począć, żeby doznać Jej łaski.

Ale pani Ducouts nie wiedziała, co mu na to poradzić.

— Może pan nie masz dosyć głębokiej wiary, może nie jesteś dobrym katolikiem, może czymś Boga obraziłeś.

Maumus wyszedł od pani Ducouts strapiony i zagłębił się w myślach nad sobą. „Tak, ona ma słuszość — nie byłem dobrym katolikiem, myślałem tylko o swej restauracji, o zbijaniu pieniędzy, myśl moja nie zwracała się ku Bogu. Ileż to już niedziel nie byłem na Mszy św.? A już rok minął odkąd nie byłem u spowiedzi... teraz właśnie jest Wielki Post...” I sam nie wiedział, jak rozmyślenia poprowadziły go do kościoła. Świątynia była pusta. Uklęknął i zaczął się modlić, wtem posłyszał jakieś kro-

ki. To ksiądz Peyramale przechodził boczną nawą z zakrystianem, dając mu jakieś wskazówki. Maumus podszedł do księdza, powitał i poprosił o spowiedź.

Nazajutrz przy pierwszej Mszy św. był u Komunii, po czym udał się do Groty. Tłum był tam jak co dnia wielotysięczny, ale Bernadety nie było.

— Już dziś nie przyjdzie — mówiono. — Jest tu zawsze o świcie, a to już przecież blisko dziewiąta.

Tymczasem właśnie tego jednego dnia Bernadeta przyszła o porze tak wyjątkowo późnej. Maumus widząc ją nadchodzącą rzucił się przed pastuszką na kolana.

— Bernadeto — zawołał — ty jedna, ty jedna możesz to u Niej wybłagać.

Dziewczynka, którą zawsze przerażały wszelkie oznaki okazywanej jej czci, tym razem zatrzymała się i rzekła:

— Wstań pan czym prędzej, o co chodzi, o co mam się modlić?

Maumus podążył za Bernadetą do Groty i po drodze wszystko jej opowiedział. Dziewczynka słuchała, ale urywki zdań słyszeli też i zebrani ludzie, których mijali. I gdy w kilka chwil potem wpatrywali się w pastuszkę olśnioną blaskiem „Pani“, która się jej ukazała, w jej naiwny, dziecięcy ruch główką w stronę klęczącego Maumusa, zaczęto szeptać w tłumie.

— O patrzcie, pokazuje go Przenajświętszej Pannie, wstawia się za nim.

A Maumus zanurzył wtedy rękę w Źródle. I nie tylko on, lecz i kilka osób, które z bliska przyglądały się cudownemu zdarzeniu, widziało, jak sina narośl na ręce Maumusa stopniowo bladła, kurczyła się i wreszcie znikła.

Maumus wyjął z wody gładką, zdrową dłoń, rzucił się krzyżem na ziemię i łkał. Jednym ze świadków tego zdarzenia był pan Estrade, a protokół, stwierdzający charakter choroby i fakt jej uleczenia „zupełnie dla wiedzy medycznej niepojęty“, podpisał dr Dozous, który również wówczas był w Grocie wśród tłumu.

Gdy Bernadeta wychodziła z Groty, tłum porwało uniesienie nie dające się opisać. Wracała do miasta tym razem z panią Millet, która wypytywała ją po drodze o szczegóły dzisiejszego widzenia, a że Bernadeta opowiadając wciąż mówiła „Pani“, więc p. Millet zapytała:

— Dlaczego ty Ją zawsze tak nazywasz, skoro to jest przecież Przenajświętsza Panna?

— Wszyscy to mówią, ale ja boję się tak myśleć, bo i na obrazie w kościele i na tych obrazach, które mamy w domu, Najświętsza Panna inaczej wygląda. Więc naprawdę nie wiem, kim jest ta Pani.

— A może by Ją samą o to zapytać? Może to lepiej, niż żebyś pozostawała w niepewności.

— Dobrze — odpowiedziała Bernadeta — jutro zapytam.

„JESTEM NIEPOKALANE POCZĘCIE“

Rozmowa ta miała miejsce we czwartek 4 marca i widocznie pani Millet komuś powtórzyła, że Bernadeta poprosi jutro „Panią“, aby objawiła, kim jest. Wiadomość ta bowiem przebiegła szybko z ust do ust i nazajutrz o świcie wiedział już o niej cały tłum, oczekujący przed Grotą przyjscia pastuszki. Szybkość, z jaką rozchodziły się wszelkie wiadomości dotyczące Bernadety, jej widzeń i cudów, powtarzających się w Grocie, dowodzi, jak głęboko były tym wszystkim przejęte umysły tamtejszej ludności.

Nikt wprawdzie nie wątpił, że „Pani“ jest Najświętszą Panną, ale oczekiwanie, że oto za chwilę pastuszka usłyszy to z Jej własnych ust, przejmowało wszystkich do głębi. Bernadeta uklękła na zwykłym miejscu i jak zawsze zaczęła odmawiać różaniec. Lecz chwile mijały, a na jej bladej twarzyczce nie malował się ów zachwyt i rozpromienienie, które dotychczas oznajmiały pojawienie się „Pani“. Tym razem nie ukazała się dziewczątka.

Tak samo było i dni następnych. Wielu zaczęło przypuszczać, że może Bernadeta obraziła Najświętszą Pannę samym zamiarem pytania, jakie zamierzała Jej zadać. Ale Bernadeta, choć jeszcze dziecko, lepiej od nich rozumiała, bo twierdziła, że to niemożliwe.

— Nie, Pani jest tak anielsko dobra, iż na pewno nie obraziła Jej moja nieświadomość. Bo to chyba nic złego, że Ją chcę zapytać.

Choć z natury skromna i nieśmiała, jak zawsze, nie chciała jednak zbyt-
nio ufać własnemu rozumowaniu i skorzystawszy ze spotkania ks. Proboszcza, opowiedziała mu to wszystko, pytając, czy nie błądzi.

— Przeciwnie — uspokoił ją ks. Peyramale. — Kto pyta, ten ustrzega się błędów. Więc tak jak miałaś zamiar, zapytaj „Panią“, kim jest. Nie wątpię, że zechce cię objaśnić, a wtedy przyniesiesz mi Jej odpowiedź.

Lecz dzień za dniem upływał, a Bernadeta widzeń nie miała. Tłumy zbierały się codziennie u Groty i z uwagą wpatrywały się w twarzyczkę modlącej się tam Bernadety. Ale dopiero w czwartek 25 marca ujrzano u niej wyraz ogromnej radości, radości większej jeszcze, niż widywano poprzednio. I nic dziwnego, bo jak to Bernadeta później powiedziała: „Pani“ nigdy jeszcze nie uśmiechała się do niej tak słodko, nigdy jeszcze blask, który Ją otaczał, nie był tak piękny jak tym razem. Biel i błękit Jej szat, liliowa delikatność Jej stóp ozdobionych cudownymi różami, to wszystko było niezrównane i olśniewało pastuszkę dnia tego silniej niż kiedykolwiek. Z całej Postaci „Pani“ biła niewypowiedziana błogość i bezgraniczne szczęście, gdy odpowiadając na pytanie Bernadety spoglądała w górę, gdy wzniosła ku niebu dziękczynne dłonie, w których błyszczał różaniec z krzyżem lśniącym promieniami słońca; wówczas wyjawiała dziewczynce swe Imię.

— Powiedziała? Powtórz! powtórz, Bernadeto! — proszono ją ze wszystkich stron.

— Trzy razy Ją pytałam: „O, Pani, proszę Cię, racz być tak łaskawą i powiedzieć mi, kim jesteś i jakie jest Twe Imię?”

Za pierwszym razem nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się z taką słodyczą i bezgraniczną dobrocią, że ośmielona tym Bernadeta zapytała po raz drugi. I tym razem zamiast odpowiedzi obdarzyła pastuszkę podobnym macierzyńskim uśmiechem, wyciągając zarazem dłonie nad ziemią, jakby chciała udzielić błogosławieństwa. Dopiero za trzecim razem na ponowne zapytanie wzniosła ku niebu swe przeczyste dłonie na znak uwielbienia Boga Najwyższego i równocześnie odpowiedziała:

— *Ja jestem Niepokalane Poczęcie*¹.

Więc przeczucie, jakie zrodziło się w duszy ludu od pierwszej chwili objawień, nie było zawodne. Przenajświętsza Panna potwierdziła jego słusność własnymi słowami. Ale czemu na to potwierdzenie kazała czekać tak długo?

Zuchwalstwem byłoby stawiać takie pytanie, gdy je dyktowała prosta ciekawość. Lecz sam Bóg chce, aby ludzie pytali Go w swej nieświadomości o rzeczy wielkie, a On im zawsze ustami Swego Kościoła odpowie. I tam znajdziemy też odpowiedź na nasze pytanie.

Oto, dla oznajmienia kim jest, wybrała Najświętsza Panna dzień 25 marca, w którym wszystkie świątynie chrześcijańskie rozbrzmiewają uwielbieniem na cześć Zwiastowania. Wszak sama już treść tych słów, które z rozkazu Bożego Anioł przyniósł Maryi, mówi dostatecznie, że Bóg stworzył Ją nietkniętą piętnem grzechu pierworodnego, bo Łaski Pełną i godną Macierzyństwa Bożego.

Dzień, w którym Kościół powszechny u wszystkich swych ołtarzy rozslanych po ziemi czci Zwiastowanie ustami kapłanów, obrała Przenajświętsza Panna, by własnymi ustami potwierdzić prawdę słów Ewangelii.

Tych słów Bernadeta nie rozumiała. I nic dziwnego, bo dopiero od kilku tygodni zaczęła uczyć się katechizmu. Nie wiedziała, co one znaczą i aby ich nie zapomnieć, idąc z Groty do księdza Peyramale, powtarzała przez całą drogę: „*Immaculada Councepciou, Immaculada Councepciou*”².

Ksiądz usłyszawszy z ust Bernadety te słowa, jakimi zakończyła swe opowiadanie, zapytał umyślnie:

— A cóż to ma znaczyć?

— Nie wiem. Tak mi „Pani” powiedziała, gdy Ją zapytałam, kim jest i jakie Jej imię. Więc to chyba Jej Imię. A ludzie w Grocie mówili, że to znaczy Najświętsza Panna... Tylko że...

— Ze co?

¹ Bernadeta zwracała się zawsze do Najświętszej Panny w swym narzeczu, jakim mówi lud tamtejszy. I Najświętsza Panna w tym samym narzeczu jej odpowiedziała.

² Autor, podając Jej słowa w poprawnej francuszczyźnie: „Je suis l’Immaculée Conception”, przytacza jednocześnie brzmienie w narzeczu, tak jak je Bernadeta słyszała i powtórzyła: „*Qué soy er’ Immaculada Councepciou.*”

— Że przecież Najświętszej Panience na imię jest Maryja... więc ja sama nie wiem... Ale czuję, że to musi być Ona, bo była taka cudowna, taka cudowna i tak bezgranicznie dobra, jak na mnie patrzyła, że cudniejszym i lepszym, i świętszym chyba już nikt być nie może.

— Tak, drogie dziecko, nikt z ludzi, ani z tych, co byli, ani z tych, co będą.

Ksiądz Peyramale głęboko wzruszyło opowiadanie Bernadety. Utwierdziło go ono bowiem w przekonaniu, że widzenia pastuszki nie są halucynacją. Albowiem halucynacja przynieść nam może bądź dźwięki fantastyczne, pozbawione znaczenia, bądź takie tylko słowa, które znamy i rozumiemy. A Bernadeta usłyszanych słów nie rozumiała.

Wieść o tym, że Najświętsza Panna wyjawiała Bernadecie swe Imię i że wobec tego nie ma już wątpliwości, kto się pastuszcze objawia, rozeszła się tak szybko, że odbiła się echem nawet w dziennikach paryskich. O widzeniach Bernadety zaczęto mówić w całej Francji, jak również i za granicą. Prasa stojąca na gruncie katolickim pisała o nich z rezerwą, ponieważ Kościół nie wypowiedział jeszcze swego zdania. Natomiast w dziennikach hołdujących prądom wolnomyślicielskim rozpisywano się bardzo szeroko o „halucynacjach” jakiejś dziewczyny z Lurd, które ściągają do Groty wielotysięczne tłumy, fanatyzując lud i szerząc zabobon“. Jedno z owych pism dodało nawet perfidnie, że miejscowe duchowieństwo, tolerując podobne zbiegowiska, kompromituje powagę religii.

Artykuł ten miał skutek dwojaki. Ściągał najpierw do Lurd z różnych miast dziennikarzy, ciekawych sensacji i zarazem nasunął prefektowi z Tarbes, stale podniecanemu przez raporty p. Jacomet, projekt, by zwrócić się do ministerstwa wyznań w sprawie ratowania „powagi religii“, o czym głośno piszą dzienniki: niech ministerstwo urzędowo odniesie się do ks. biskupa Laurence’a, aby ten poważnie rozpatrzył sprawę lurdzką. Prefekt przesłał doniesienia swoje ministrowi, czekając co do dalszych rozporządzeń jego odpowiedzi.

XXII

WSTĘP ZABRONIONY!

Tymczasem widzenia Bernadety od owego dnia, w którym Imię Najświętszej Panny z ust Jej usłyszała, znów ustały i dopiero 7 kwietnia w środę po Wielkanocy tłum, zebrany przed Grotą, zauważył na twarzy Bernadety znane rozpromienienie znamionujące ukazanie się Najświętszej Panny.

Ściany zagłębienia przy Grocie, w którym dane było pastuszcze oglądać Postać Bożej Matki, zatłoczone były od dawna niezliczonymi wotami,

haftami, koronkami, wiankami — co świadczyło o oznakach czci, hołdu i oddania się Tej, która przemożną swą opieką darzy łaskami ludzi i kości cierpienia. Jej stopa, dotknąwszy skalnego obrzeża, uczyniła z tej wnęki ołtarz, a pobożność ludzka przystroiła je w odpowiednią szatę i zapalała tam codziennie ogromną ilość świec.

Zatykano je wprost w ziemię, w prawo i lewo ku niszy skalnej, zaczynając od miejsca, gdzie zawsze klękała Bernadeta. Tego dnia właśnie zatknięto je zbyt blisko pastuszki. Gdy Bernadeta, modląc się w ekstatycznym uniesieniu, wyciągnęła dłonie ku Niepokalanej, palce jej prawej ręki natrafiły wprost na płomień świecy.

Ku zdumieniu patrzących Bernadeta nie cofnęła dłoni. Spostrzegł to pierwszy dr Dozous i z obiektywnym spokojem badającego przyrodnika wyciągnął zegarek. Zjawisko trwało 16 minut, zjawisko doprawdy niezwykle. Chude paluszki rozmodlonego dziewczątka tkwiły przez cały ten czas w płomieniu, który przedostawał się między nimi i świecił ku chwale Przenajświętszej Panny. A Maryja nakazała temu płomieniowi wzniesioną ku Sobie drobną dłoń uszanować.

Świadcami tego niezwykłego cudu byli nie tylko tak zwani ludzie prości, którym według zdania wolnomyślicieli można łatwo takie rzeczy wmówić, ale i szereg osób spośród inteligencji. Mianowicie: dr Dozous, p. Fourcade (Furkad), nauczyciel gimnazjalny z Tarbes, sędzia Martinou (Martinu), p. Estrade, naczelnik urzędu skarbowego, dwie panny Tardhivail (Tardiwaj), córki redaktora jednego z pism paryskich, oraz przybyły również z Paryża dziennikarz Grabat.

Po upływie 16 minut Bernadeta, cofnąwszy dłonie, zaczęła przesuwając paciorki różańca. Wtedy p. Grabat, porozumiewszy się spojrzeniem z doktorem Dozous podsunął nieznacznie świecę pod dłoń pastuszki. Bernadeta cofnęła ją momentalnie z lekkim okrzykiem bólu, a spostrzegłszy, że uczyniono to umyślnie, dodała zwracając się do pana Grabata:

— Jakże tak można, przecież pan mnie parzy.

Lecz gdy znów zwróciła oczy ku umiłowanej Postaci, wyraz szczęścia natychmiast powrócił na jej twarzyczkę. Po ekstazie, obejrzano natychmiast ręce Bernadety. Na palcach, co przed chwilą tkwiły w płomieniu świecy, nie było nawet śladu zaczerwienienia, ale za to pozostał wyraźny ślad na brzegu dłoni, gdzie oparzył ją p. Grabat.

W kilka miesięcy potem Komisja Biskupia cały ten fakt szczegółowo rozpatrywała.

— Zjawiska takie — zauważył wówczas jeden z prałatów — stwierdziła przecież nauka u ludzi zahipnotyzowanych, którzy w tym stanie nie odczuwają bólu. Fakirzy indyjscy wprowadzają się sami w stan hipnozy i na ten czas zanurzają ostrza sztyletów głęboko w ciało swoje nie tylko bez bólu, ale nawet bez krwawienia.

— Wasza wielbność ma słuszość — odparł dr Dozous, do którego powyższe słowa były poniekąd zwrócone jako do jednego z lekarzy biorących udział w Komisji — hipnoza sprowadza nie tylko znieczulenie, ale

może nawet sprowadzić skurez naczyń krwionośnych i tkanek mięśniowych, co nie dopuszcza krwawienia. W tym wypadku niemożliwe było wszakże, aby stan hipnozy uodpornił ciało na chemiczne i fizyczne działanie płomienia. Bernadeta trzymała palce w płomieniu przez 16 minut, jak to sam stwierdziłem. Był to czas wystarczający już nie tylko do upieczenia, ale nawet do zwęglenia tak cienkiej warstwy ciała i temu żadna hipnoza nie mogłaby zapobiec. Tymczasem nawet naskórek nie uległ najmniejszemu obrażeniu. Zjawisko takie przeczy wszelkim prawom i siłom przyrody, bo nie może być wyjaśnione żadnym ich działaniem.

Bardzo charakterystyczny jest ten dialog. Oto ksiądz, aby nie uznać zbyt pochopnie cudu, staje w obronie sceptycyzmu przyrodniczego, a znowu lekarz-przyrodnik daje jako fachowiec znakomitą odprawę przeciwnikowi.

Ale to miało miejsce dopiero w listopadzie. Powróćmy więc do kolejności wydarzeń. Po tym ostatnim objawieniu, jakie Bernadeta miała 7 kwietnia, ustały one znów na czas dłuższy. Tymczasem gorliwość pana Jacomet i prefekta Massy nie ustawała. Zwrócenie się tego ostatniego do ministerstwa spowodowało wkrótce, że minister Rouland (Rulan) napisał niebawem do ks. biskupa Laurence'a list urzędowy, zwracający uwagę na tłumne manifestacje „nacechowane mistycznym fanatyzmem”, które mogą doprowadzić do zakłócenia porządku publicznego, a które „prawdopodobnie Jego Ekscelencja uznałby też za zagrażające powadze religii, gdyby był o nich należycie poinformowany”.

List ten w tak dyplomatycznej formie napisany był co najmniej niewłaściwy. Człowiek świecki, choćby nawet na stanowisku ministra, pouczający biskupa o tym, co zagraża lub nie zagraża powadze religii, jest zjawiskiem dosyć niezwykłym i składa dowód, że mu nie brak tupetu.

Ks. biskup odpisał, że został właśnie poinformowany o zbieraniu się u Groty ludności, która tam w skupieniu i z zachowaniem przykładowej powagi odmawia modlitwy i oddaje cześć Najświętszej Pannie pobożnymi pieśniami. To wszystko odbywa się na pustkowiu i nie tamuje ruchu. Dlaczego zaś modły na takim miejscu miałyby zagrażać porządkowi publicznemu, o tym ks. biskup wyrokować nie śmie, bo nie uważa siebie za upoważnionego do dyskutowania z panem ministrem w sprawach dotyczących administracji państwowej.

Podrażniony tą nauczka minister postanowił się zemścić i napisał list do pana Massy, pozostawiając mu w granicach przepisów prawnych wolną rękę do przedsięwzięcia środków zabezpieczających spokój i porządek.

Zaczęły się tedy represje. Że jednak trzeba było przystąpić do nich na podstawach prawnych, a spokojne i godne zachowanie się ludności takich podstaw nie stwarzało, więc postanowiono szukać ich w chemicznej analizie wody z Groty. Pan prefekt polecił zająć się tą sprawą panu Jacomet. A ten zaraz znalazł chętnego chemika, pana Latour (czyt. Latur), starego bywalca wolnomyślicielskiego klubu rozrywkowego.

Jakie były kwalifikacje naukowe pana Latour, tego nikt dobrze nie wiedział. Ale posiadał on swoje laboratorium chemiczne, gdzie dokonywał

rozmaitych doświadczeń. Dokonana przez niego analiza wody z Groty została podana w oficjalnym dziale miejscowej gazety „L'Ere Impériale“.

Jak wiadomo, każda woda rzeczna, studzienna czy źródłana zawiera różne rozpuszczone w sobie substancje. Są to przeważnie siarczany, chlorki, fosforany, węglany wapnia, magnezu, sodu, glinu i żelaza, których ilość ogólna prawie nigdy nie przekracza $\frac{3}{4}$ grama w litrze. Te same składniki w różnych proporcjach tworzą też podstawę wód mineralnych. Tylko ilość ich jest znacznie większa, bo dochodzi od 6 do 12 gramów w litrze.

Otóż p. Latour wszystkie te składniki w analizie swej wymienił, ale ilości ich nie podał. Natomiast zawyrokował gołosłownie, że woda z Groty jest mineralna, prawdopodobnie posiada własności lecznicze; a gazeta dodała, że tym należy tłumaczyć różne uzdrowienia, jakie nastąpiły po jej użyciu. Nie było wprawdzie jeszcze takiej wody mineralnej ani takich leków, które by przywracały zdrowie nagle w ciągu kilku minut lub jednej nocy, lecz dla redakcyjnych filozofów wolnomyślicielskiego pisma był to szczególnie niegodny zastanawiania się nad nim. Natomiast dbałość o dobro obywateli kazała im zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo używania tej wody, zanim nie zostanie dokładnie zbadana przez lekarzy, jaki jest jej wpływ na organizm ludzki.

Tego tylko trzeba było panu Massy. I zaraz, opierając się na „głosach prasy wyrażającej opinię ogółu“, wydał rozporządzenia, aby wstęp do Groty zagrozić, a wszystkie znajdujące się tam „przedmioty“ złożyć w komisariacie, skąd właściciele będą je mogli sobie odebrać.

Pan Jacomet wykonał to zlecenie niezwłocznie z wielką gorliwością. Zabarykadowano nie tylko Grote, ale i z obu stron drogę do niej wiodącą, a wszystkie wota przewieziono do komisariatu. Tłumy ludzi przyglądały się wszystkim tym robotom w przygnębieniu. Obawiając się oporu ze strony ludności ustawiono u Groty oddział wojska. Przy ładowaniu wotów na wóz doszłoby może i do zaburzeń, gdyby nie głos młodej kobiety Adeli Letoubié (Letubie), cudownie uzdrowionej w wigilię tego dnia.

— Słuchajcie — odezwała się do obecnych — nie pójdziemy do komisariatu po te przedmioty, bo to nie nasza własność, lecz Najświętszej Panny i Ona sama każe je tu przynieść z powrotem tym, co je zabierają.

Adela Letoubié była prostą wieśniaczką, ale jej słowa zrobiły wrażenie na zebranych, wskutek czego zachowano idealny spokój. Ta prorocza zapowiedź była wpływem głębokiej wiary owej kobiety i rzeczywiście w niedalekiej przyszłości miała się sprawdzić. Tymczasem środki przedsięwzięte przez p. Jacomet nie odniosły pożądanego skutku. Ludność wprawdzie nie mogła teraz zbierać się bezpośrednio u Groty, ponieważ droga do niej została zagrodzona, jednak gromadziła się na drugim brzegu Gawy naprzeciwko Groty. I tam około tysiąca osób, wpatrzonych w Grote, klęcząc śpiewało codziennie nabożne pieśni ku czci Matki Najśw. Niepokalanej.

Pomimo nakładanych kar ludzie przekradali się i do Groty poprzez bariery, by stamtąd zaczerpnąć wody z cudownego Źródła dla chorych. Za-

Żłopotany pan Jacomet poruszył raz tę sprawę na jakimś prywatnym zebraniu z drem Vergez.

— I pan, i dr Dozous, i inni lekarze powinni by tu użyć swego wpływu, i pomóc nam w zwalczaniu ciemnoty.

— Bardzo żałuję... ale nie mogę wpływać wbrew własnemu przekonaniu opartemu na bezstronnej obserwacji.

— Jak to? Więc pan doktor jest zdania, że ta woda zdolna jest rzeczywiście i rany goić, i wzrok przywracać, i paraliż usuwać? Ha, ha, ha! — śmiał się pan Jacomet. — I jakże się nazywa owa lecznicza substancja tryskająca z Massabielskiej Groty? Bo pan Latour nie mógł jakoś jej znaleźć analizując tę wodę.

Ironia pana Jacomet nie zmieszała jednak doktora Vergeza, który odpowiedział na nią z powagą:

— Ta substancja nazywa się Łaską i Wola Boga.

Rozmowa ta toczyła się w obecności pana Estrade, którego stanowisko było od władz administracyjnych niezależne. On też bynajmniej nie ukrywał swych poglądów na zarządzenia prefekta i komisarza. Potępiał je otwarcie, albowiem wiedział dobrze, że to wszystko jest sprawką pana Jacomet i że nie wynikało to bynajmniej z poczucia obowiązków jego urzędu, jaki piastował, lecz że przeciwnie — p. Jacomet chce tu dogodzić swemu wolnomyślicielstwu, które stało się u niego namiętnością.

— Ha, cóż począć — odpowiedział p. Jacomet doktorowi — skoro ze strony ludzi nauki nie znajdę poparcia w zwalczaniu szkodliwych zabobonów, będę więc zmuszony stosować kary surowsze niż dotąd.

— Z tym, co pan nazywa zabobonem — odezwał się p. Estrade — nie walczą ludzie nauki, tylko niedouki, a pańskie kary może utrudnią ludziom czerpanie wody z Groty, lecz nie zapobiegają jej sile uzdrawiania.

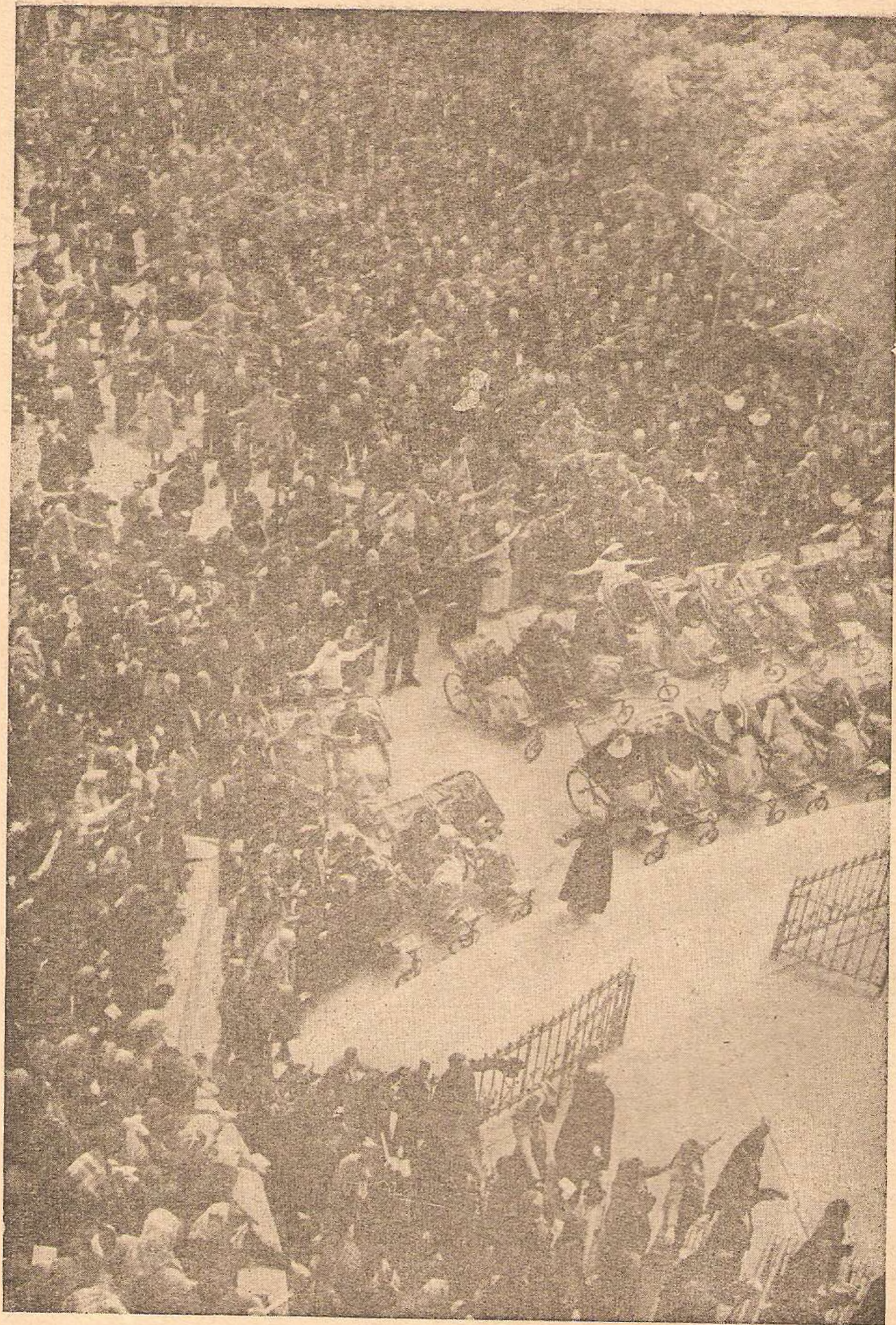
Pan Jacomet poczuł się dotknięty do żywego i postanowił się zemścić. Ale nie mając możliwości wywarcia zemsty na panu Estrade, zwrócił ją przeciw Bernadecie. Bo i któż był przyczyną wszystkiego, jeśli nie ona? Pan Jacomet zdawał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy ta pastuszka nie została przez niego pokonana. W swoim czasie zagroził jej aresztem, jeśli się ośmieli chodzić nadal do Groty, a ona jednak chodziła i nie miał możliwości ani jej tego zakazać, ani jej ukarać. Już wtedy skompromitował się wobec p. Estrade, który w dodatku zadrwił sobie dziś z niego. O! Bernadeta zapłaci za to wszystko!

Okoliczności zdawały się temu sprzyjać. Dużo osób odwiedzało pastuszkę nie tylko z ludu, lecz spośród inteligencji. Uważano ją za świętą. Przybywali ludzie z odległych nawet okolic prosząc, aby się za nich modliła. Niemało było wśród nich ludzi zamożnych, nawet bardzo bogatych, którzy chcieli składać jej dary, czy w postaci biżuterii, czy w okazałych kwotach pieniężnych. Ale Bernadeta nigdy nic przyjąć nie chciała.

— Więc przyjmij nie dla siebie — proszono ją — rozdasz to biednym lub zakupisz Mszę św. na naszą intencję.



Na miejscu objawień stanęła bazylika



Do Lurd ciągną pielgrzymki w modlitwie i pokucie

— Dlaczego ja? — pytała pastuszką — przecież pani może sama to uczynić.

Wreszcie zjawił się jakiś bardzo elegancki pan, powiedział, że przybywa z Lionu, że jest do głębi przejęty wszystkim, co słyszał o cudach i o wizerzeniach Bernadety, i prosił ją, by mu szczegółowo o nich opowiedziała. Bernadeta takim prośbom nie odmawiała, byle nie kazano jej mówić o samej sobie i nie nazywano jej świętą.

Nieznajomy wzruszył się bardzo jej opowiadaniem i zaproponował jej rodzicom, że ją przyjmie za własne dziecko, był bowiem bezdzietnym wdowcem. Chciał nawet pozostawić ją przy nich i ofiarować im 100 tysięcy franków na jej wychowanie i kształcenie. Ale i Bernadeta, i oboje Soubirous stanowczo odmówili. Dobroczyńca wyszedł tak strapiony tą odmową, że nie poznał pana Lacadé, mera miasta, który właśnie wtedy przechodził. Ale p. Lacadé poznał w owym „bogaczu z Lionu“ jednego z urzędników prefektury w Tarbes. Nadzieja przyłapania Bernadety lub jej rodziców na wyciąganiu korzyści ze zdarzeń zachodzących w Grocie — zawiodła.

A zdarzenia te nie ustawały pomimo zabarykadowania Groty i wciąż się mnożyły wypadki uzdrowienia wodą zdobywaną pomimo czujności straży. Jeden z takich cudów był dla pana Jacomet szczególnie niemiły, ponieważ doznał go jego własny siostrzeniec. Stryjeczna siostra pana komisarza poślubiła pana Busquet (Biske), rolnika z okolicy Nay w Pirenejach. Ci oboje ludzie byli religijni i tak też wychowali swego syna Henryka. Chłopiec był od urodzenia chorowity i ulegał różnym cierpieniom na tle skrofulicznym. W dwunastym roku życia utworzyła mu się na szyi ropiejąca rana, a najrozmaitsze kuracje stosowane przez dra Souberville (Suberwil), który go od dwóch lat leczył, nic nie pomagały. Rana wciąż się powiększała, sięgając do policzka i w dół niemal do pachy. Wreszcie pojawiła się gorączka i przykuła chłopca do łóżka. Którejś nocy zawołał przez sen:

— Mamo już mi lepiej, już jestem zdrów.

— Co chłopczyno? co? — zerwała się doń matka przerażona jego majaczeniem. Lecz Henryś spał i dopiero po chwili rozbudził się całkowicie.

— Ach nic. Szkoda. To był tylko sen.

— Jaki sen?

— Śniło mi się, mamo, że Najświętsza Panna stała przy mnie, a ja się zerwałem, żeby przed Nią klęknąć. Ale Ona nie pozwoliła, tylko położyła mi rękę tu na szyi, gdzie boli. I wszystko od razu przeszło.

Matce stanął od razu w myśli obraz wszystkiego, co słyszała o zdarzeniach w Lurd i udała się tam nazajutrz z samego rana. Niestety, dowiedziała się po przybyciu na miejsce, że droga do Groty jest zagrodzona i dostęp do niej wzbroniony. Poradzono jej, aby poszła do Bernadety.

— Ona jest niewątpliwie święta — powiedziano — może coś pani pomoże.

Ale Bernadety nie było w domu. Jej matka powiedziała pani Busquet, że właśnie przed chwilą poszła nad brzeg Gawy, gdzie co kilka dni chodzi pomodlić się naprzeciw Groty.

Zapał w wieczór i prócz Bernadety nikogo już nie było nad Gawą, gdy pani Busquet nadeszła zaopatrzona w butelkę.

— Cóż ja poradzę? — powiedziała jej pastuszka — spróbuję poprosić strażnika, może się zlituje i pozwoli wejść!

Pocziwy policjant, który w głębi duszy był przekonany, podobnie jak cała ludność z Lurd, o rzeczywistości cudów i o świętości pastuszki, na stawił minę surowego marsa, nic jej nie odpowiedział, odszedł w bok i odwróciwszy się plecami, zapalił swoją lulkę. Pykał i puszczał dym tak długo, dopóki Bernadeta z panią Busquet nie wyszły z Groty.

— Niech Najświętsza Panna wynagrodzi. Pomodliłyśmy się za pana.

— Panie Boże zapłać — odpowiedział im z daleka gruby bas.

Nazajutrz powróciła pani Busquet do domu, gdzie mąż oczekiwał jej z niepokojem. Stan Henrysia pogorszył się bowiem zaraz po jej wyjeździe i mąż posłał nawet do Nay po doktora Souberville, którego przyjazdu oczekiwał nazajutrz. Tymczasem matka zmaczała chusteczkę w przywiezionej wodzie, nałożyła Henrysowi kompres i obandażowała. Chłopczyna modlił się żarliwie, po czym około dziewiątej wieczór zasnął. Sen był niezwykle mocny, doktor nadjechał o 10 rano, a Henryś wciąż jeszcze spał.

— Oby mu tylko ten kompres, położony na otwartą ranę, nie zaszkodził — powiedział doktor. — No, trudno, stało się. Poczekamy, aż się zbudzi.

Nastąpiło to niebawem i oboje rodzice poszli do chłopca wraz z doktorem.

— No, jak się masz zuchu? — zapytał doktor.

— Już dobrze, panie doktorze, przestało boleć.

Doktor zaczął ostrożnie odwijać bandaż, zdjął jeszcze trochę wilgotną chusteczkę i ogromnie się zdumiał. Puchlina znikła, a rana była całkowicie zagojona. Pozostała po niej tylko nieznaczna blizna.

Dr Souberville, który badał Henrysia ostatnio przed tygodniem, stwierdził potem w protokole Komisji Biskupiej, że „nie tylko w ciągu jednej nocy, ale nawet w ciągu paru tygodni uleczenie tak zadawnionej rany skrofalicznej jest niemożliwe drogą naturalną i fakt ten uważać należy za nadprzyrodzony“.

XXIII

INTRYGI MASONÓW

Zbyt dużo zajęłoby tu miejsca opisywanie całego szeregu podobnych uzdrowień. Po zagroźeniu wejścia do Groty powstała spora liczba innych ścieżek, a do zdobycia wody pomagała niejednokrotnie Bernadeta. Toteż

odwiedzano ją coraz liczniej i coraz głośniej opowiadano o skuteczności jej modlitwy. Obóz wolnomyślicielski znalazł już dla siebie zadośćuczynienie w analizie dokonanej przez pana Latour, kiedy on zawyrokował, że nowopowstałe Źródło w Grocie należy zaliczyć do kategorii źródeł mineralnych. Z tej więc strony sprawa była „wyjaśniona“. Dlatego uzdrowienia, którym niesposób było zaprzeczyć, podawała prasa wolnomyślna jako wypadki zupełnie naturalnego wyleczenia wodą mineralną. Pomijała tylko milczeniem nagłość tych uleceń i podziw, w jaki one wprowadzały lekarzy. Ale trudno, pełnego szczęścia nie ma na tym świecie. Trzeba było więc zadowolić się choć tą satysfakcją połowiczną i zakazem wchodzenia do Groty.

Ani pan Massy, ani pan Jacomet nie byli z tytułu swych urzędów zmuszeni do wydawania zakazu wchodzenia do Groty czy do opróżniania jej z przedmiotów złożonych tam przez wdzięczność ludzką. Skorzystali po prostu ze stanowisk, jakie piastowali, by zadowolić swoją wolnomyślną nietolerancję i nienawiść do wszystkich przejawów wiary. Nasycili ją jednak tylko połowicznie, bo łatwo było zagrozić dostęp do Groty, ale jak zabronić ludziom odwiedzania Bernadety?

A przychodzili do niej z najodleglejszych stron, zarówno spośród ludu, jak spośród inteligencji, prosząc ją o modlitwę i opowiadanie swych wידzeń. Bernadeta jak mogła unikała spotkania się z ludźmi obcymi. Wynikało to z jej wrodzonej nieśmiałości, ale mimo to odnajdywano ją, jeśli nie w domu, to nad brzegiem Gawy, dokąd od czasu do czasu chodziła pomodlić się i popatrzeć w niszę, gdzie tyle razy oglądała Niepokalaną.

— Raz wreszcie trzeba temu kres położyć — powiedział sobie p. Jacomet, który o wszystkim składał panu Massy szczegółowe raporty, pomijając mera pana Lacadé. Ten ostatni nie należał już bowiem do koła wolnomyślicieli. Bernadetę należało „unieszkodliwić“ — usunąć ją z Lurdu. Ale jak to zrobić? W swoim czasie zwracał się już przecież p. Jacomet do prokuratora, lecz przekonał się z jego odpowiedzi, że do aresztowania jej na mocy paragrafów sądowych nie ma żadnych podstaw. Prokurator był wprawdzie też wolnomyślicielem, jednak poczucie prawa wrosło zbyt silnie w jego umysł, by mu pozwolić na jego nadużywanie. Pozostawała wszakże droga administracyjna i jej właśnie postanowił pan Massy użyć.

Prawo francuskie zezwalało osadzić w domu zdrowia osoby umysłowo chore na mocy rozporządzenia administracyjnego, bez uciekania się do wyroków sądowych¹. W myśl tego prawa wystarczyło rozporządzenie wydane przez prefekta na podstawie orzeczenia konsylium złożonego z dwóch lekarzy. Takie właśnie konsylium wyznaczone przez p. Massy odbyło się w ostatnich dniach czerwca. Brał w nim udział jeden lekarz miejscowy i jeden przybyły z Tarbes. Psychiatrą był tylko ten ostatni. Badanie odbyło się w kancelarii pana Jacomet; że jednak prawo przewidywało obecność przy tym dwóch świadków, więc p. Jacomet nie mógł się

¹ Takie prawo obowiązywało we Francji do 1867 roku, a opisane tu zdarzenia miały miejsce w 1858 roku.

temu sprzeciwić. Był nawet tak lojalny, że na jednego ze świadków zaprosił księdza Peyramale. Ale proboszcz nie zgodził się i zaproponował w swym zastępstwie pana Rizat, jednego z nauczycieli miejscowej szkoły, znanego z prawości charakteru. Nie był on wojującym wolnomyślicielem, ale też i bynajmniej nie katolikiem. Należał bowiem do nielicznych w Lurd protestantów. Pan Jacomet był więc z tego wyboru bardzo zadowolony.

Przeprowadzono jak najściślejsze badanie lekarskie Bernadety: opukiwanie, osłuchiwanie, obmacywanie czaszki, sprawdzanie działalności wzroku, słuchu itp., po czym wzięto pastuszkę w ogień pytań. Jak zawsze, odpowiadała ona na wszystko ze spokojem i rozsądkiem, zadziwiającym u tak młodego dziecka. Odpowiedzi na pytania, którymi próbowano ją zagmatwać, były zadziwiająco logiczne i raczej pytających wprowadzały w niemały kłopot.

— Podobno modlisz się do Matki Boskiej za rozmaitych ludzi, którzy się o to proszą — zapytał psychiatra.

— Tak, proszę pana.

— Więc wyobrażasz sobie, że masz u Niej większe względy od innych.

— Skądżebym na nie zasłużyła? Ale chyba i pan nie odmówiłby pomocy się za mnie, gdybym o to poprosiła?

— Podobno rozmawiałaś z Matką Boską? — zapytał drugi lekarz. — A po jakimu?

— Tak — odpowiedziała Bernadeta — słyszałam Jej słowa, które do mnie wypowiedziała. Czasami po francusku, ale przeważnie tak jak my mówimy¹.

— Więc wyobrażasz sobie, że Matka Boska albo Pan Bóg znają wasz chłopski język?

— A skądże my byśmy go znali, gdyby go nie znał Pan Bóg?

Lekarze czuli się trochę zawstydzeni odpowiedziami Bernadety i woleli terenu teologicznego poniechać. A p. Jacomet nie omieszkał podsunąć domysłu, że to prawdopodobnie ks. Peyramale nauczył Bernadetę tych odpowiedzi.

— Musiałby jednak znać z góry pytania, jakie doktorzy jej zadadzą — odpowiedział bardzo trafnie p. Rizat.

Zaczął się badanie z innej beczki; kazano pastuszcze opisać dokładnie Postać, która się jej ukazała. A gdy Bernadeta mówiła o niewysłowionym pięknie Jej rysów, zapytał jeden z lekarzy, do kogo Matka Boska była z twarzy podobna. Podsunął jej nazwiska różnych wielkich dam z okolicy, które były znane ze swej piękności, a pastuszką miała niejednokrotnie sposobność widzieć je, gdy przejeżdżały przez Lurd. Kilka z nich widziała zresztą z bliska, bo ciekawość zawiodła ją do Groty.

¹ Narzecze pirenejskich górall.

Ale Bernadeta przy każdym nazwisku potrząsała głową: nie, żadna z tych pań nie mogła nawet w przybliżeniu iść w porównanie z piękną Najświętszej Panny. Wtedy przyszła panu Jacomet myśl, która wydała mu się genialną dla wprowadzenia Bernadety w kłopot. Nad biurkiem komisarza umieszczone były z urzędu portrety cesarza i cesarzowej, która jest — jak wiadomo — jedną z najpiękniejszych kobiet¹. Pan Jacomet chrząknął znacząco i gdy obaj lekarze na niego spojrzeli, wskazał im, podnosząc ołówek, portret nad swoją głową. Toteż jeden z lekarzy skierował tam wzrok pastuszki i zapytał:

— No, a może ta pani na portrecie jest równie piękną jak Tamta, którą widziałeś w Grocie, albo do Niej podobna?

— Ta pani? — powtórzyła Bernadeta ze zdziwieniem, które p. Jacomet uznał za pogardliwe — to jest nic w porównaniu z Najświętszą Panną.

— „To jest nic?” — zawołał p. Jacomet z oburzeniem. — A wiesz ty, czyj to portret?

— Wiem, panie komisarzy, to nasza cesarzowa; bardzo ją kocham i szanuję. Ale pan doktor pytał o porównanie z Najświętszą Panną, więc powiedziałam, że nawet taka piękność, to jest nic.

Szlachetny spokój tego chłopskiego dziecka wszystkim zaimponował. Ale p. Jacomet nie dał za wygraną i spisał natychmiast protokół, żądając podpisania go przez wszystkich obecnych jako świadków. Pierwszy odczytał go p. Rizat:

— Nie, nie podpiszę — powiedział — bo nie jest zgodny z przebiegiem zdarzenia. Opis należy zacząć od tego, że to pan wskazał portret cesarzowej, co było nietaktem. To jedno. A po wtóre, należy wyraźnie napisać, w jakim znaczeniu Bernadeta użyła wyrażenia „To jest nic”, ponieważ sama to wyjaśniła. Taki protokół, który będzie zgodny z faktami, podpiszę. Uprzedzam jednak, iż znając Bernadetę dodam, że jest to wiejskie dziecko, które dopiero w tym roku zaczęło chodzić do szkoły, i że należy wziąć pod uwagę swoistość stylu, jakim się posługuje.

Obaj lekarze podzielili pogląd pana Rizat, wobec czego p. Jacomet przerobił protokół, który podpisali wszyscy obecni, a p. Rizat z dodaniem zapowiedzianej uwagi. Protokół badania lekarskiego został również sporządzony. Według jego treści organizm Bernadety „nie przedstawia żadnych niewłaściwości, jej budowa jest słaba, rozwój fizyczny opóźniony, hipnozie (bo lekarze i tego próbowali) nie podlega, wrażliwość na ukłucia po prawej i lewej stronie ciała jednakowa, wobec czego skłonność do hysterii mało prawdopodobna, niemniej jednak możliwość podlegania halucynacjom nie jest wykluczona”.

Obaj lekarze nie wierzyli w zjawiska nadprzyrodzone, wobec czego trudno się dziwić, że ukazanie się Najświętszej Panny pastuszce nazwali halu-

¹ Cesarzowa Eugenia słynęła istotnie z niepospolitej urody. (Przypisek tłumacza).

cyacją. Ale ponaćto nie do protokołu swego nie chcieli dodać pomimo wysiłków p. Jacomet, któremu bardzo na tym zależało, aby nadmienili że Bernadetę należy leczyć.

— To zbytteczne — odpowiedzieli mu — bo halucynacje te w obecnym stanie nie przedstawiają nic groźnego ani dla niej, ani dla jej otoczenia. I prawdopodobnie same z czasem ustaną.

— Ale ich skutki zagrażają porządkowi publicznemu, bo ta dziewczyna miewa halucynacje pod gołym niebem, gdzie zbiegają się tłumy.

— Więc ja pan poproszę, aby je miewała w domu — odparł już trochę niecierpliwiony psychiatra — bo to już nie nasza sprawa.

Było to istotnie sprawą pana Jacomet, który zaopatrzony w protokół lekarski udał się do Tarbes. Tam, po wspólnej naradzie, zaopiniował p. Massy, że stwierdzenie halucynacji przez lekarzy, w połączeniu z faktem wpływu tych halucynacyj na ludność, wystarcza dla osadzenia Bernadety w jakimś domu zdrowia lub zamkniętym przytułku. Tu jednak prawo stwarzało pewne trudności, przewidywało ono bowiem, że administracyjne osadzenie obywatela musiało być zarządzane przez mera gminy lub miasta, w którym ów obywatel zamieszkał. Dyspozycji takiej nie mógł więc p. Massy wydać panu Jacomet bezpośrednio i musiał zażądać jej wydania przez pana Lacadé.

Pominał go był wprawdzie wydając już poprzednio rozporządzenie zagrozenia dostępu do Groty, ale tym razem, gdy chodziło o pozbawienie Bernadety wolności, obawiał się trochę wziąć całą odpowiedzialność na siebie. Może ktoś stanąć w obronie Bernadety, sprawa się rozmaże, nieprawidłowość postępowania wypłynie na wierzch i p. Massy może się narazić na upomnienie.

Otrzymał więc p. Lacadé protokół lekarski wraz z odpowiednio zredagowanym listem urzędowym od p. Massy. Pan Lacadé, aczkolwiek jego podwładny, mógł jednak w tym wypadku oprzeć się swemu zwierzchnikowi właśnie dlatego, że decyzja wbrew porządkowi prawnemu zapadła poza jego plecami. Ale obawiał się odmówić wręcz panu Massy, więc zwlekał z decyzją, a p. Jacomet niecierpliwił się, że nie otrzymuje od mera oczekiwanego nakazu internowania Bernadety. A że zdenerwowanie bywa złym doradcą, więc p. Jacomet popełnił niezręczność, bo sam zwrócił się do mera z zapytaniem, kiedy zażąda odeń internowania Bernadety.

— A skądże pan przypuszcza, że ja w ogóle mam takie zamiary? — zapytał p. Lacadé.

Pan Jacomet zdradził się mimo woli, że wie o liście, jaki p. Lacadé otrzymał od p. Massy. Na dobitkę złego w tej samej chwili zjawił się ks. Peyramale, który przyszedł do merostwa załatwić jakąś sprawę parafialną, i stał się świadkiem rozmowy, bo p. Lacadé powitawszy księdza, bynajmniej nie zamierzał jej przerwać. Upoważniło to księdza do wzięcia w niej udziału. Ze zwykłą więc otwartością nie żenował się powiedzieć panu Jacomet:

— To, do czego pan dąży razem z panem Massy, jest bezprawiem. Zsgrodziliście dostęp do Groty, wyrzuciliście z niej wota złożone przez ludność, to wam wolno, bo Kościół nie wypowiedział się w sprawie widzeń Bernadety i wszystkich związanych z tym zjawisk. Ale co do tego dziecka, to wie pan równie dobrze, jak ja, że jest ona zdrowa i więzić jej nie macie prawa.

— Jednakże...

— Tu nie ma żadnego „jednakże“. Jeśli tłum nie przeszkodził czynnościom waszym w Grocie i zachował się godnie i spokojnie, to mogę panu wyznać otwarcie, że pan to mnie zawdzięcza. Pańską „gorliwość“ uważałem wtedy za zbyt dużą, ale nie przeciwną prawu. Gdybyś pan chciał jednak wyrządzić Bernadecie czy komukolwiek z mych parafian krzywdę niezasłużoną i uwięzić to dziecko, to mnie najpierw będziesz musiał uwięzić. Proszę to sobie zapamiętać.

Niezlomny charakter księdza Peyramale, jego energia i siła ducha, z jaką zawsze występował w obronie sprawiedliwości, były wszystkim dobrze znane i oddziaływały tym razem na pana Lacadé, który oświadczył wyraźnie, że nie zarządzi internowania Bernadety. Zarówno pan Jacomet jak i pan Massy musieli widocznie dojść do wniosku, że lepiej będzie poniechać tego zamiaru i nie narażać się na skandal, który mógł mieć niepożądane dla nich skutki. Pan Lacadé nie był już bowiem więcej zapytywany w tej sprawie.

Ale istniał przecież protokół „o obrazę cesarskiego majestatu“.

XXIV

WYSOKIE OSOBISTOŚCI U GROTY

Tymczasem był już lipiec. Sezon, w którym zjeżdżano nie tylko z różnych większych miast prowincjonalnych, ale i z Paryża, na pobyt letni do rozmaitych miejscowości górskich w Pirenejach. Niedalekie więc od Lurd okolice wypełniały się wykwintną publicznością, spośród której zjawiały się coraz to nowe osoby w Lurd. Wiodły je tam wiadomości o nadzwyczajnych zdarzeniach, których echo rozbrzmiewało już po całej Francji.

W piątek 16 lipca, gdy cała rodzina Soubirous siedziała przy obiedzie, Bernadeta zawołała nagle z radością.

— Mamo, dziś znowu Ją ujrzę! Muszę tam iść natychmiast.

Wszyscy poszli za nią. Prawdopodobnie zwróciło to uwagę przechodniów, których w to piękne popołudnie sporo podążało ulicami za miasto

I coraz większy tłum kierował się za pastuszką ku wybrzeżu Gawy na wprost Groty. Bernadeta zdawała się nie widzieć ludzi. Nad samym brzegiem rzeki ukłękła naprzeciw Groty i wydobywszy swój skromny różaniec zaczęła przesuwając jego paciorki.

Tłum, który ją otaczał, przewyższał 5.000 osób. Było tam wówczas dużo nieznanym panów i pań, w ubraniach i strojach, po których od razu można było poznać paryżan.

— Patrzcie, patrzcie — rozległy się nagle szepty. I wszystkie oczy zwróciły się ku pastuszcze, która promieniała szczęściem wciąż przesuwając paciorki. Trwało to około dwudziestu minut, po czym wyciągając swe chude rączki, jakby do uścisku, pochyliła się nad wodą tak nisko, iż kilka osób podbiegło w obawie, że wpadnie do rzeki, lecz nikt jej nie tknął. Patrzono tylko z podziwem jak utrzymuje równowagę niewytłumaczonym sposobem. Cały bowiem jej korpus zawisł nad wodą.

Ekstaza minęła i pastuszka powstała z klęczek.

— Co, co? — zaczęto ją pytać — widziałaś Najświętszą Pannę?

— O, tak! widziałam. Ale tu na ziemi, to już po raz ostatni.

— Tak ci powiedziała?

— Nie, nic nie mówiła. Nie umiem tego wytłumaczyć. Ale jednak wiem to od Niej.

Mówiąc to Bernadeta była szczęśliwa i uśmiechnięta. Dziwiono się więc tej radości wobec zapowiedzi, że było to widzenie ostatnie.

— Cieszę się — odpowiedziała — bo już wiem na pewno, że Jej rozkaz zostanie spełniony wkrótce: ludzie postawią tu kościół i będą tu przychodzili w procesjach, a cuda nigdy w tym miejscu nie ustaną.

Bernadeta wypowiedziała te słowa głosem, który na wszystkich uczynił głębokie wrażenie. Był to jej cienki, dziecinny głosik, a jednak inny niż zwykle. Jakiś pan blisko niej stojący, który jej nigdy jeszcze nie widział, odezwał się do swej sąsiadki, eleganckiej damy:

— To brzmi jak prorocтво — po czym zwrócił się do Bernadety.

— Dziękuję Bogu, że mogłem usłyszeć te słowa z twoich ust. Przyrzekam, że będę w pierwszej procesji do kościoła, jaki tu stanie.

I zanim pastuszka zdążyła się zorientować, pochylił się przed nią głęboko i ucałował jej rączkę.

Ludzie szybko się rozeszli, podążając za Bernadetą, która wracała do domu. Pozostał tylko ów pan i jego sąsiadka, a także p. Jacomet, który przybył dnia tego osobiście, dowiedziawszy się o napływie tłumu tak liczego, jakiego dawno już nie było. Obawiał się może jakiegoś szturmu do Groty i chciał powagą własnej obecności temu zapobiec. Stał po drugiej stronie Gawy, między Grotą a barierą ustawioną w poprzek wiodącej do niej drogi. Przy barierze tej stał policjant, a drugi przy wejściu do Groty zagrodzonej deską na wysokości około metra od ziemi. Trzecia bariera zagradzała mostek na rzece, lecz policjanta przy niej nie było.

Nieznajomy zbliżył się do mostu, z łatwością odsunął barierę i przeszedł na drugą stronę. Widząc to p. Jacomet dał znak policjantowi, stojącemu przed wejściem do Groty, który szybko pobiegł do nieznajomego i ostrym tonem służbowym powiedział:

— Proszę zawrócić, tu nie ma przejścia.

— Widocznie jest, skoro przeszedłem — odpowiedział nieznajomy i skierował się ku Grocie. Policjant zatrzymał go za ramię.

— Proszę trzymać ręce przy sobie — skarcił go nieznajomy wyniośle. — Nie jesteś pan żołnierzem na warcie i nie znasz pan prawa, bo policjantowi nie wolno bronić przejścia tam, gdzie nie ma tablicy ostrzegawczej.

Pan Jacomet istotnie zaniedbał umieszczenia tablicy. Zbliżył się teraz i kazał policjantowi spisać protokół. Podwładny wydobył notes i zażądał od nieznajomego okazania dowodu osobistego.

— Chętnie, oto jest: nazywam się Ludwik Veuillot (Wejo), przyjechałem z Paryża, a w mej książeczce znajdzie pan pieczętkę tutejszego hotelu, w którym zamieszkałem.

Nazwisko sławnego publicysty było zbyt głośne, aby mogło być obce panu Jacomet. Dowiedziawszy się z kim ma do czynienia i nie obawiając się ucieczki Veuillota — powiedział.

— Książeczkę pańską zatrzymuję, proszę zgłosić się po nią jutro do komisariatu.

— Przyjdę o dziesiątej, a w protokole może pan również zamieścić, że oderwałem deskę u Groty.

Mówiąc to podszedł szybko do Groty i pociągnawszy silnie za deskę, oderwał ją. Oszolomiony tym p. Jacomet nie zauważył już przechodzącej przez mostek damy. Dostrzegł ją dopiero, gdy obok Veuillota znalazła się u wejścia do Groty, gdzie oboje uklękli i zaczęli się modlić. Pan Jacomet zbliżył się i kazał policjantowi wylegitymować damę, która jednak nie odpowiedziała. Wtedy dopiero przyszło panu Jacomet na myśl, że nie należy przerywać modlitwy, i postanowił zaczekać.

Skończywszy krótki pacierz dama podniosła się i zwracając się do p. Jacomet powiedziała:

— Niestety, nie mam książeczki przy sobie, ale pan Veuillot może potwierdzić tożsamość mojej osoby.

— Nazwisko pani?

— Maria Anna baronowa Bruat (Bria).

— Stan, zajęcie?

— Jestem żoną admirała Bruat i guwernantką jego cesarskiej wysokości następcy tronu, a zresztą może w braku książeczki wystarczy panu mój bilet wizytowy — i podała go panu Jacomet, któremu kornierz od munduru wydał się w tej chwili trochę ciasny. Zaczął go nawet coraz bardziej uwierać, gdy pani Bruat dodała.

— Szkoda, że panowie poustawiali te zagrody. Była wprawdzie o tym wzmianka w jednym z pism paryskich, ale przypuszczałam, że to złośliwa kaczka dziennikarska, nie wierząc, aby gdziekolwiek we Francji zabroniono ludziom zbierać się na modlitwę pod gołym niebem, gdzie przecież nikomu nie przeszkadzają z dala od miasta.

— „O, głupia sprawa“ — pomyślał prawdopodobnie p. Jacomet i prężyąc się odpowiedział:

— Taki rozkaz otrzymałem od pana prefekta.

Uspokoił się jednak szybko. Formalnie był w porządku. A jeśli prefekta spotka nagana, to nie będzie się przecież kompromitował tłumaczeniem, że rozkaz wydany p. Jacomet był przez tegoż podsunięty. Niezwłocznie więc po wyjściu pani Bruat i pana Veuillot kazał policjantowi umocować zagrody z powrotem, a nazajutrz w południe umieszczono przy nich brakujące tablice z ostrzeżeniami. Wszystko było w porządku.

— Oh, ta Bernadeta! zapłaci teraz za niemiły kwadrans, który pan Jacomet przeżył. Miał przecież w kieszeni protokoł o „obrazie majestatu“. A i księdzu Peyramale odplaci za jego groźby. Zobaczymy, czy potrafi obronić tę smarkatą od zamknięcia w domu poprawczym!

XXV

CO TO ZA WODA?

Pan Veuillot spędzał lato w jednej z modnych miejscowości pirenejskich w towarzystwie swej kuzynki, admirałowej Bruat, i oni to podjęli stamtąd wspólną wycieczkę do Lurd. Przypadek zrządził, że stało się to akurat w dzień ostatniego widzenia Bernadety. P. Veuillot był przy tym obecny i widok jej głęboko go wzruszył. O zjawiskach zachodzących w Lurd, o niezwykłych uzdrowieniach wiedział już z pism, ale pragnął zebrać o tym wiadomości na miejscu osobiście. W tym właśnie celu przyjechał. Był tu wprawdzie po raz pierwszy i nikogo nie znał, lecz stanowisko dziennikarza i publicysty o powszechnie znanym nazwisku upoważniło go do złożenia wizyty doktorowi Dozous.

— Pozwoliłem sobie zwrócić się do pana — powiedział mu — bo jako człowiek nauki patrzy pan na te zjawiska okiem niewątpliwie obiektywnym i nieuprzedzonym.

— Przeciwnie — odpowiedział dr Dozous — byłem z góry uprzedzony, że są one niemożliwe właśnie dlatego, że nauka wytłumaczyć ich nie potrafi. Opowiadania o nich przypisywałem egzaltacji i łatwowierności ludu i nie wierzyłem im. Ale uwierzyłem, gdy sam na własne oczy widział i stwierdziłem.

— Więc okazuje się, że w tej małej Bernadecie słusznie odczułem świętą. Bo przyznam się panu, że wczoraj...

— Nie wiem — przerwał mu doktor — czy jest święta, czy nie, bo decydowanie o tym należy do Kościoła i na tym się nie znam. Ale jestem najgłębiej przekonany, że jej widzenia nie są halucynacjami; oburzyła mnie wiadomość, że badań lekarskich w tym kierunku dokonano nie w klinice, lecz w komisariacie, co zakończyło się bardzo przykrym zajściem.

W ten sposób dowiedział się pan Veuillot o całym tym zajściu, o którym dr Dozous był już szczegółowo poinformowany, o całej kampanii lurdzkich wolnomyslicieli przeciw Bernadecie, o roli, jaką w tym odgrywał p. Jacomet i o treści jego protokołu.

Jak większość utalentowanych pisarzy, był Veuillot człowiekiem gorącego temperamentu, toteż niełatwo składał broń, gdy mu jakaś sprawa utkwiała w sercu. Ponadto był człowiekiem szczerej a głębokiej wiary. W zbiegu okoliczności, który pokierował jego wycieczką do Lurd tego właśnie dnia, kiedy Bernadecie ukazała się Najświętsza Panna po raz ostatni, dzięki któremu mógł obserwować wizję Bernadety i miał sposobność spotkać się z nią w takiej chwili, gdy zagrażało jej prześladowanie — widział Veuillot zrządzenie Opatrzności.

Swój dowód legitymacyjny odebrał już był rano w komisariacie. Teraz poszedł tam powtórnie, aby w charakterze dziennikarza poprosić pana Jacomet o wywiad. Nie okazywał zresztą bynajmniej, że chodzi mu o ów protokół rzekomej obrazy cesarskiego majestatu. Ale pan Jacomet występujący w obronie tego majestatu był pewien swej sprawy i nie czuł się już onieśmielony, jak wczoraj przez krótką chwilę.

— Protokół złożyłem dziś rano panu prokuratorowi — odpowiedział — ale choćbym go jeszcze posiadał, nie byłbyś go pan zobaczył, bo nie ma pan prawa do tego się wtrącać.

Veuillot zgłosił się nazajutrz do prokuratora, pana Dutour, ale nie udało mu się nakłonić go do poniesienia kroków przeciw Bernadecie. Pan Dutour byłby je podjął już od dawna, gdyby miał prawne ku temu podstawy. Był on od pana Jacomet o tyle uczciwszym, że nie starał się stwarzać ich sztucznie. Ale w swym wolnomyslicielskim zaślepieniu nie chciał widzieć, że sztucznie stworzył je pan Jacomet, i bardzo był zadowolony z możliwości „unieszkodliwienia“ Bernadety. Jednak prokurator miał jeszcze do załatwienia sporo innych spraw bieżących i zaległych. Potem następował jego sześciotygodniowy urlop, wobec czego pociągnięcie Bernadety przed sąd miało nastąpić dopiero we wrześniu.

— Jeśli pan zamierza wystąpić w roli jej adwokata — odpowiedział prokurator panu Veuillot — to pozostaje panu w każdym razie dwa miesiące czasu na przygotowanie obrony.

Tymczasem wieści o cudownych uzdrowieniach rozchodziły się coraz szerzej. Lekarze zarówno miejscowi, jak z miast okolicznych, stwierdzali coraz więcej nagłych i nie dających się naukowo wytłumaczyć uleczeń takich chorób, które uważali za nieuleczalne. Zaczęły więc wśród wolnomyslicieli odzywać się głosy, że wobec uznania Źródła przez pana Latour za mineralne, należy wezwać komisję lekarską, określić dokładnie leczniczy charakter wody i uznać Lurd oficjalnie za miejscowość kuracyjną.

Ten pogląd spotkał się z uznaniem władz, których przedstawiciele należeli w większości do obozu wolnomyślicielskiego. Oficjalne uznanie naturalnych własności leczniczych massabielskiego źródła nie tylko podniosłoby dochody gminy, ale położyłoby od razu kres „głupim przesądom“. Zającie się tą sprawą należało do zarządu powiatu (arrondissement) z panem Lacadé, jako merem na czele. Polecono mu więc tym się zająć.

Lekarze zaproszeni przez niego na specjalne posiedzenie zarządu powiatowego: pp. Vergez, Dozous, Lary i Souberville zaopiniowali, że wszelkie badania lekarskie winny być poprzedzone dokonaniem analizy chemicznej nie przez amatora, za jakiego uchodził pan Latour, lecz przez poważnego chemika. Postanowiono więc powierzyć dokonanie analizy profesorowi uniwersytetu w Tuluzie, panu Filoh (Filol), który wykładał tam chemię analityczną na wydziale przyrodniczym oraz farmakologię i toksykologię na wydziale medycznym. Odpowiednia ilość wody została w obecności wspomnianych lekarzy, mera i komisarza zaczerpnięta z Groty, opieczętowana i posłana profesorowi.

Dziennik „L'Ere Impériale“ podał o tym wszystkim wiadomość i zaczęło się oczekiwanie pełne emocji. To napięcie wzruszenia opanowało tak wolnomyślicieli, jak i ludzi wiary, tylko charakter jego był u jednych i drugich odmienny. Pierwsi, opierając się na analizie pana Latour, nie wątpili, że powtórzenie jej przez profesora Filhola potwierdzi lecznicze własności massabielskiej wody. Drudzy, a wśród nich wszyscy uzdrowieni, mówili: „Wszak znamy jej smak, nie różni się niczym od każdej innej wody źródlanej.“ I emocja ich na tym tylko polegała, że gdy analiza dokonana przez poważnego profesora stwierdzi zwykłe przymioty wody źródlanej, wówczas duchowieństwo wobec tylu uzdrowień będzie zmuszone zabrać głos w tej sprawie.

I nie mylili się. Ks. biskup Laurence był dokładnie i stale informowany o wszystkich uzdrowieniach i o zdumieniu, w jakie one wprawiały lekarzy. Nie wątpił o szczerości i prawdomówności Bernadety. Ale owa prawdomówność nie wyłączała jednak możliwości halucynacji. Wprawdzie możliwość ta wyrażona była dosyć chwiejnie w sprawozdaniu lekarzy, co badali pastuszkę w komisariacie, lecz fakty uzdrowienia przemawiały za prawdziwością objawień. Jednakże analiza dokonana przez p. Latour przeczyła poniekąd cudownemu charakterowi tych uzdrowień i była ważnym powodem wstrzeźliwości ks. biskupa.

Mógł on sam zażądać powtórnej analizy i powierzyć jej wykonanie specjalistcie kompetentniejszemu od p. Latour; mógł już od dawna kazać duchowieństwu swej diecezji zająć się zjawiskami zachodzącymi w Lurd i bliżej je rozpatrzyć; mógł autorytetem swoim zapobiec zabarykadowaniu Groty. Wszakże myśl rozumnego pasterza inną biegła drogą. Rozumiał, że jeśli Postać, która ukazała się Bernadecie, nie była grą jej wyobraźni, lecz Najświętszą Panną, jeśli to Ona kazała wytrysnąć Źródłu, jeśli to Jej łaską zwykła woda kryniczna uzdrawia ludzi i jeśli świątynia stać tam ma z rzeczywistego Jej rozkazu, to Ona sama usunie przeszkody i sama krokami ludzkimi pokieruje.

Więc czekał biskup. A patrząc na bleg zdarzeń, widział to, czego ich bezpośredni uczestnicy może nie dostrzegali. Oto za posłankę swoją obrała Najświętsza Panna małą, nieoświeconą dziewczynkę i przez nią wyraża swą wolę. Pastuszka nie wie nawet, kim jest „Pani“, lecz ślepo spełnia jej polecenia. Pierwszą mimowolną przeszkodą staje się tu proboszcz Peyramale, który spełniając swój obowiązek, stara się otrząsnąć Bernadetę z tego, co może jest tylko jej przywidzeniem. Więc gromi ją surowo i grozi piekłem.

Któżż wiejskie dziecko nie ułękłoby się słów księdza i nie nabrałoby przekonania, że musiało mu się coś przywidzieć, że grzechem byłoby temu ulegać. — I nie zaprzestałoby chodzić do Groty? Ale nie. „Pani“ jest silniejsza. Jej Prawda przemawia przez pastuszkę z taką mocą, że ksiądz światłu tej Prawdy ulega. Choć będąc posłusznym swej władzy nie chodzi do Groty, nie chce z nikim mówić o cudownych zjawiskach, jednak uwierzył w ich prawdziwość i w misję Bernadety. Na drodze tej misji usunęła Najświętsza Panna pierwszą trudność — tę, która leżała w obowiązku Jej sługi.

Drugą trudność stwarzają umysły Jej wrogów. Wśród ludzi reprezentujących władzę nie mieli chyba wolnomysłiciele w żadnym mieście Francji takiej przewagi jak w Lurd. Pan Jacomet postanowił zmiażdżyć Bernadetę. Pod eskortą policji sprowadza ją z Groty do komisariatu, stara się wpływać na nią terrorem, lecz nagle zjawia się p. Estrade, w którym pastuszka znajduje później obrońcę. Przede wszystkim znajduje sama w sobie tyle spokojnej stanowczości, że jest wprost nie do pojęcia, by wobec biednego dziecka groźny komisarz stał się bezradny. A nie wie nawet, kim jest „Pani“, która w nią wlała tyle siły i złamała po raz wtóry zaporę na drodze jej misji.

Tę misję lud odczuwa i czcigł otacza pastuszkę, jak świętą. Każdy wierzący uznaje to miejsce za święte. Królowa niebios i ziemi uświęciła je własnym ukazaniem się. Tu właśnie tysiące oczu widziało cud wytrysnięcia Źródła. Cud uszanowania ręki Bernadety przez płomień, cud setek uzdrowień! Nadprzyrodzoność tych zjawisk uznają uczeni. Ale wolnomysłne niedouki uznać tego nie chcą profanując święte miejsce, zdzierają wota, zamykają dostęp do Groty. Nic im to nie pomaga. Najśw. Panna rzekła Bernadecie: „Chcę, by tu przychodzono procesjami.“ I tłumy wciąż płyną, a wieść o cudach rozbrzmiewa coraz głośniejsze, sięga coraz dalej, bo mnożą się one z dniem każdym.

Nie pomagają bariery? Więc pomoże usunięcie Bernadety. Umieszczenie jej w zakładzie jako umysłowo chorej. Ale Najświętsza Panna znów łamie przeszkodę. Bo oto mer tak zawsze uległ rozkazom prefekta, mer, który nie ośmielił się zaprotestować, gdy z pominięciem go nakazano zabarykadowanie Groty, teraz sprzeciwia się rozkazowi otwarciu. Narażenie się na dymisję z racji jakiejś tam małej pastuszki, ryzykowanie całej swej kariery przez człowieka, który nigdy nie był bohaterem, było zjawiskiem niecodziennym.

Ale oto na drodze misji Bernadety wyrasta nowa zaporę. Ta czczona przez ludność pastuszka, która opowiadała o widzeniach Najświętszej Pan-

ny, okaże się anarchistką, obrażającą ukoronowanego pomazańca! Czyż nie oddziała to na lud, zwłaszcza pirenejski, bardzo oddany swej cesarzowej¹? Czyż nie osłabi to jego wiary w widzenia pastuszki?

Lecz właśnie tego dnia, w którym Najświętsza Panna ukazuje się Bernadecie po raz ostatni, zjawia się para ludzi, którzy jeszcze nigdy w Lurd nie byli. Przypatrują się oni osobiście jej widzeniu. Są nim tak głęboko wzruszeni, że przemocą dostają się do Groty, a wszystko to prowadzi pana Veuillot do zapoznania się z protokołem oskarżającym Bernadetę. On i jego kuzynka — ludzie przybyli z drugiego krańca Francji akurat w tym dniu — stają się nagle obrońcami Bernadety. Przypadek przeciwstawia jej prześladowcom osoby rozporządzające wielkimi wpływami, osoby, które z drogi jej misji usuną ustawioną na niej zaporę. Przypadek, zbieg okoliczności. Ale jaki dziwny! Ile złożyło się nań czynników zupełnie od siebie niezależnych, pokazał to dalszy bieg zdarzeń.

Tymczasem analiza wody, dokonana przez pana Latour, stworzyła jeszcze jedną zaporę. Ale ci sami ludzie, co ją wzniesli, zostali skazani na jej obalenie zażądawszy powtórnej analizy od profesora Filhol. Autorytet tego uczonego, nie podlegający dyskusji, wykazał, że orzeczenie, jakie o właściwościach leczniczych wody z Groty wyraził p. Latour, jest zgoła fałszywe. Skład tej wody, stwierdzony przez profesora Filhol, jest następujący:

Kwasu bezwodnika węglowego	18 miligramów
Tlenu	50 miligramów
Azotu	170 miligramów

Razem rozpuszczonego powietrza w litrze wody	238 miligramów
--	----------------

Węglanu wapnia	86 miligramów
Węglanu magnezu	12 miligramów
Krzemianu sodu	18 miligramów
Chlorku sodu	8 miligramów

Razem soli mineralnych w litrze wody	134 miligramy.
--------------------------------------	----------------

Ponadto woda zawiera niewyczuwalne wagowo ślady amoniaku, jodu, żelaza i potasu w postaci siarczanów, chlorków i węglanów.

„Na podstawie powyższego składu stwierdzam — orzekł profesor Filhol — że zbadana przeze mnie woda, pochodząca z Groty w Lurd, jest zdatna do picia i nie różni się od większości wód strumieni górskich. Nadzwyczajne skutki, jakie według zapewnień osiągnięto po użyciu tej wody, nie mogą być, moim zdaniem, przypisywane wpływowi zawartych w niej soli mineralnych i nie zawiera ona żadnych substancji posiadających wpływ leczniczy.“

¹ Ród hrabiów de Montijo, z którego pochodziła cesarzowa Eugenia, wywodzi się z Pirenejów.

„TO JEST NIC W PORÓWNANIU Z NAJŚWIĘTSZĄ PANNĄ”..

Ks. biskup Laurence śledził bieg wszystkich tych zdarzeń, obejmował ich całość i nie mógł nie dostrzec, że kieruje nimi Opatrzność. Wszystkie ataki pychy i niedowiarstwa pokonywały same siebie, a fałsze same siebie zdradzały. Kłamstwo p. Latour, sfabrykowane na żądanie wolnomyślicieli, zostało zdemaskowane z ich własnej inicjatywy. Gdy poważny profesor specjalista stwierdza, że woda z Groty nie posiada żadnych naturalnych właściwości leczniczych, a szereg znowu lekarzy konstatuje fakty uleczenia nią chorób nieuleczalnych, to trudno się już wahać. Wytryśnięcie cudownego Źródła jest tak ściśle związane z zeznaniami Bernadety o jej widzeniach, że trudno nie uwierzyć w ich rzeczywistość.

Ks. biskup Laurence pogrąża się w swych myślach: Najświętsza Panna obrała miejsce w jego diecezji, by ukazać się jednej z jego owieczek. Więc to szczęście jemu właśnie przypadło! Czymże na nie zasłużył? Czy wolno mu ogłosić rzeczywistość cudu na podstawie sprawozdań złożonych tylko jemu? Uwierzył w tę rzeczywistość, ale jego przeświadczenie winno być skontrolowane jeszcze i przez innych, powołanych do tego teologów.

Ks. biskup Laurence powołuje więc komisję, złożoną z wyższych duchownych, profesorów seminarium i proboszcza Lurd pod przewodnictwem ks. kanonika Norago. Poleca jej zbadanie zeznań Bernadety, zbadanie jej samej przez psychiatrów, zbadanie faktów, wysłuchanie świadków, oraz zaproszenie lekarzy i uczonych do wypowiedzenia się o zjawiskach ze stanowiska nauki ścisłej.

Zarządzenie to zostało ogłoszone 28 lipca 1858 roku. Komisja rozpoczęła swą pracę w połowie sierpnia, lecz nie chce być ona pochojna w swych wnioskach. Działalność jej trwać będzie długo i dopiero po trzech latach sprawozdań i badań wypowie swą opinię.

Łatwo sobie wyobrazić, jak w kołach wolnomyślicielskich przyjęta została wiadomość o ukonstytuowaniu się Komisji Biskupiej. Burza w prasie tego kierunku grzmiała w całej Francji, a władze miejscowe, czując w niej dla siebie oparcie, ani myślały o zniesieniu barier zamykających dostęp ludności do Groty. Ich bezmyślny upór podsycali w Paryżu tak potężne dzienniki, jak: „Journal des Debats” (Żurnal de Deba), „Le Siècle” (Le Sjekl), „La Presse” (La Pres), którym przeciwstawiał się, założony przez p. Veuillot, „L'Univers” (Liniwer). Na temat widzeń Bernadety, wytryśnięcia Źródła i cudownych uzdrowień jego wodą, rozgorzała polemika w stolicy, wydobywając na wierzch nazwiska już nie tylko panów Jacomet i Massy, ale i ministrów. Niektórzy z nich, jak np. minister Rouland, bezpośredni zwierzchnik pana Massy, należał do wolnomyślicieli. Lecz nie należał do nich minister sprawiedliwości. Do niego właśnie pani Bruat zwróciła się w sprawie grożącej Bernadecie, jako do zwierzchnika lurdzkiego prokuratora. Minister po zaznajomieniu się ze sprawą rozłożył

ręce: podzielał bowiem pogląd pani Bruat i pana Veuillot i uznał, że protokół jest podstępny a oskarżenie Bernadety bezpodstawne, lecz oficjalnie nie mógł oskarżenia jej wzbronić prokuratorowi, chyba... chyba, gdyby się udało przekonać prokuratora, że jest w błędzie. Ale to byłoby możliwe tylko w jakiejś rozmowie prywatnej.

Okazja do niej nieprędko mogła się nadarzyć; oddanie Bernadety pod sąd nastąpić miało we wrześniu, a zbliżał się już koniec sierpnia. W tej właśnie porze para cesarska wyjechała do Biarritz i pani Bruat została tam wkrótce wezwana przez cesarzową. Pan Veuillot, który gorąco pragnął obronić Bernadetę, został więc pozbawiony wpływowej pomocy swej kuzynki. W artykułach swych nie mógł tej sprawy poruszać, bo wciąganie do polemik imienia cesarzowej groziło represjami cenzury i zamknięciem pożytecznego dziennika. Ale obraz małej pastuszki utkwiał mu głęboko w pamięci i w sercu. Postanowił bronić jej za wszelką cenę.

Veuillot był z zawodu prawnikiem. Porzucił wprawdzie adwokaturę już od dawna, ale prawa stawania w sądach nie utracił. Postanowił więc zgłosić się jako obrońca Bernadety i o zamiarze tym napisał do dra Dozous, prosząc, by go powiadomił, gdy termin sprawy nadejdzie. Ze jednak już tak dawno wycofał się z adwokatury, wymagało to załatwienia pewnych formalności, więc pragnąc je na wszelki wypadek przyspieszyć, zgłosił się niezwłocznie do ministra. Nie był mu obcy i nie wątpił, że będzie życzliwie przyjęty.

— Więc podejmie pan taką uciążliwą podróż? — zapytał minister.

— Oczywiście. A jeśli przegram, to zgłoszę apelację i czeka mnie druga podróż do Tarbes. Gdyby zaś było trzeba iść jeszcze do sądu najwyższego... no, to ten już jest w Paryżu.

Minister namyślał się przez chwilę, uśmiechnął tajemniczo, przeprosił Veuillota, że musi przerwać rozmowę na parę minut i zabrał się do pisania jakiegoś listu, po czym wydobywszy drugi z kieszeni surduta zapytał.

— Skoro pan postanowił jechać do Lurd, to może byłby pan skłonny wybrać się tam już teraz, nie czekając na termin sprawy?

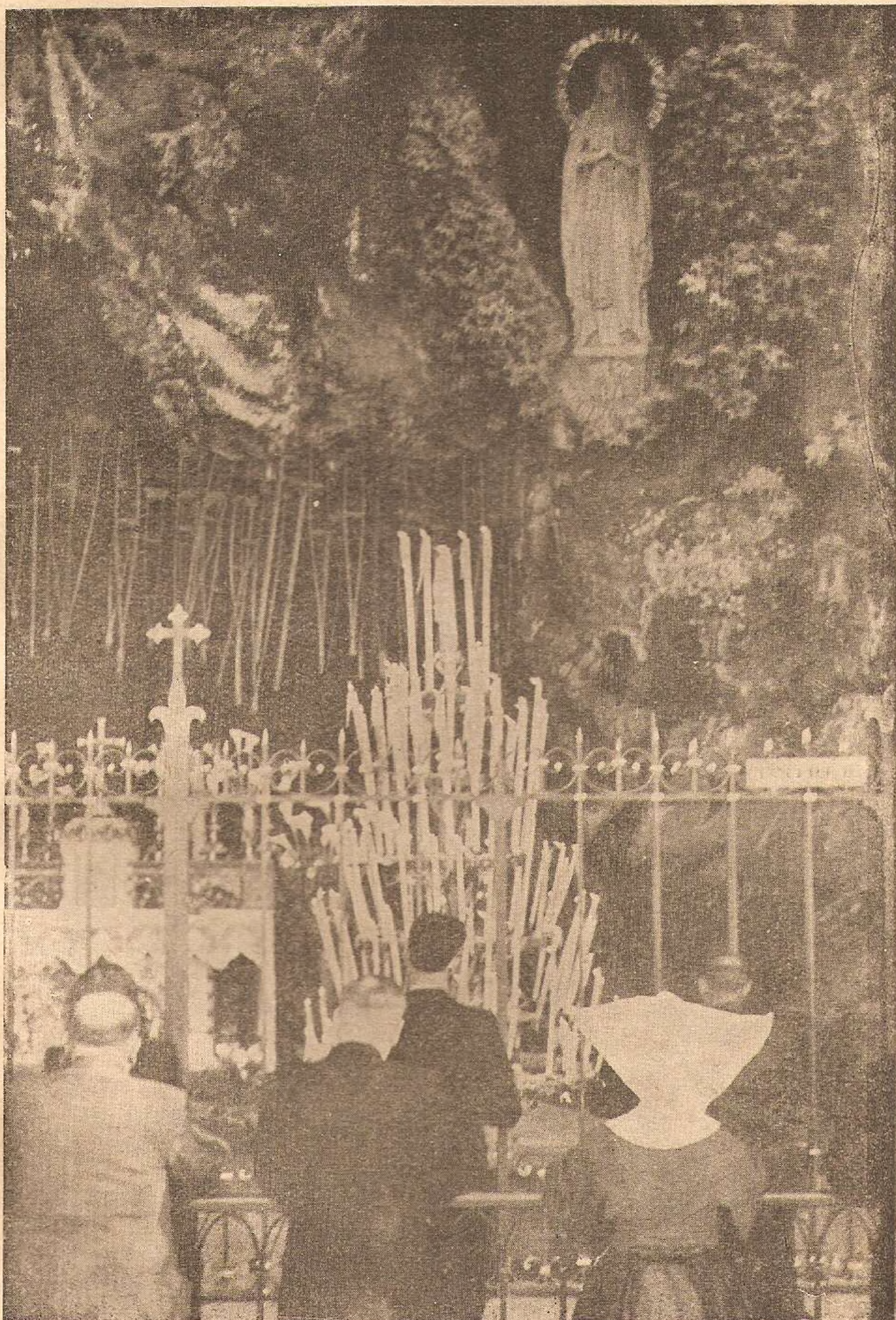
— Nie rozumiem.

— Wybawiłby mnie pan z kłopotu. Chciałem bowiem przesłać prokuratorowi Dutour, którego urlop już się skończył, ten oto list, który otrzymałem wczoraj z Biarritz od pańskiej kuzynki. Nie chcę jednak posyłać go pocztą, lecz powierzyć osobie zaufanej z warunkiem, że mi go przywiezie z powrotem. A w tym celu dołączam tu parę słów od siebie.

I podał oba listy panu Veuillot do przeczytania. Pierwszy z nich napisany cienkim piśmem kobiecym brzmiał jak następuje:

Panie Ministrze,

Miałam sposobność opowiedzenia Cesarzowej o mej wycieczce do Lurd i o przykrościach grożących Bernadecie, o których Panu po-



W Grocie znać działanie Niepokalanej



Błogosławienie chorych
Najświętszym Sakra-
mentem

—o—

Przy cudownym źródle

przednio już wspominałam. Przypomina Pan sobie może, że pokazano jej portret Cesarzowej, pytając o porównanie go z piękną Postaci ukazującej się Bernadecie, a ona odpowiedziała, że „to jest nie w porównaniu z Najświętszą Panną”.

Cesarzowa, gdy JeJ to powtórzyła, wykrzyknęła: „Ależ ta mała pastuszka jest bardzo mądra, bo i czymże jest istota ludzka wobec Majestatu Najświętszej Panny! Jestem przekonana, że nie ma we Francji prokuratora tak nierozsądnego, aby żądał ukarania tego dziecka za wypowiedzenie religijnej prawdy”.

Zapytałam, czy JeJ Cesarska Mość zezwoli na powtórzenie tych słów Panu Ministrowi, a otrzymawszy upoważnienie, spieszę to uczynić, prosząc o przyjęcie wyrazu mych najlepszych uczuć.

Marie Anne Bruat

Drugi list, skreślony przez ministra zawierał tylko kilka słów: „Panie prokuratorze, załączam tu list, którego treść prawdopodobnie zainteresuje Pana. Po przeczytaniu zechce go pan zwrócić osobie, która go panu wraz z niniejszym doręcza.”

W kilka dni potem widziano pana Veuillot w Lurd, a zapora, jaką na drodze misji Bernadety stworzyć miał protokół pana Jacoment — znikła¹.

Z Lurd i różnych miejscowości okolicznych wysyłała ludność już od dawna liczne petycje do cesarza prosząc o nakaz usunięcia barier zamykających dostęp do Groty. Nie odnosiły one jednak skutku i przypuszczano, że wcale do rak monarchy nie dochodziły.

Lecz wkrótce po owym zjawieniu się pana Veuillot w Lurd otrzymał minister Rouland z Biarritz odręczny list cesarza, w którym Napoleon III pisał:

„Zechce pan zarządzić, aby natychmiast zaprzestano utrudniać ludności dostęp do Groty Massabielskiej pod Lurd”.

Nie wiadomo, kto z urzędników ministerstwa dopuścił się niedyskrecji, ale cała ludność Lurd dowiedziała się o tym rozkazie i nie pojmowała, dlaczego nie zostaje on wykonany, pomimo że już trzy tygodnie upłynęło od jego daty. Ktoś musiał widocznie donieść o tym do Biarritz, gdzie dostęp do panującego był łatwiejszy. Cesarz wpadł w gniew, zawołał swego sekretarza i pomijając ministra podyktował depeszę bezpośrednio do pana Massy:

„Rozkazuję usunąć przeszkody utrudniające ludności dostęp do Groty w Lurd, a przedmioty usunięte umieścić w niej z powrotem. Rozkaz wykonać niezwłocznie.”

¹ Cały ten epizod został w książce Lasserre'a pominięty z przyczyn zrozumiałych, jeśli się zważy, że była ona pisana jeszcze za czasów Napoleona III. Opisał go Veuillot w swych pamiętnikach, wydanych już po upadku cesarstwa.

Pan Massy otrzymał tę depeszę 1 października, 3 ogłosił pan Lacadé odpowiednie zarządzenie, a 4 zawieszono do Groty wszystkie usunięte z niej wota, dywany, hafty, koronki, lichtarze i pod gorliwym nadzorem pana Jacomet umieszczono je na dawnych miejscach. Kilkutysięczny tłum zalegał oba brzegi Gawy. Pan Jacomet był tam wcześniej i widząc nadciągające masy ludzi pienił się może ze złości w duszy na myśl, bo przypuszczał, ile to złowieszczych okrzyków i spojrzeń padnie w jego stronę i z jaką rozkoszą będzie się delectował tłum swoim zwycięstwem. Omylił się jednak. Tłum nie zajmował się nim wcale. Rzucił się tylko na kolana i pokorna pieśń tysięcy głosów wielbiła Najświętszą Pannę.

XXVII

CUDA NAWRACAJĄ

Ministrowi Rouland nie pozostało nic innego, jak podać się do dymisji. Autorytet panów Jacomet i Massy zbytnio został zachwiany, aby mogli pozostać na miejscu. Przeniesiono ich więc na podobne stanowiska do innych miejscowości, a prefekturę w Tarbes objął p. Lacadé. Na drogach wiodących do Lurd panował nieustanny ruch pielgrzymów, a przed Grotą codziennie modliły się tłumy, przybywające z coraz dalszych okolic. Wśród nich dziesiątki i setki ludzi przybywały z flaszkami, karafkami, garnuszkami, by nabrać ze Źródła wody dla chorych, którym niemoc nie pozwalała tam przybyć. Niemal co dnia nadchodziły wieści o nowych uzdrowieniach stwierdzonych przez lekarzy. Opisanie ich wszystkich zajęłoby tu zbyt wiele miejsca, ale na szczególną uwagę zasługuje uzdrowienie córki państwa Moreau (Moro).

Była to zamożna rodzina ziemiańska zamieszkująca swe dobra pod Tartas (Tarta) w Gaskonii. Mielł dwie córki, z których starsza, siedmioletnia Maria, kształciła się w klasztorze Sacré-Cœur w Bordeaux (czyt. Sakre Ker w Bordo). Jej urodzenie było bardzo trudne i przyszła na świat w tak beznadziejnym stanie, że zdawało się niemożliwe utrzymać ją przy życiu. Jednakże zdołano niemowlę uratować.

Rodzice, ludzie głębokiej wiary, wznieśli z wdzięczności kościółek w Tartas pod wezwaniem Najświętszej Panny i poświęcili Jej opłecze swą córeczkę, nadając dziecku na chrzcie imię Maria. Dziewczynka nosiła też barwy Matki Najśw. do dziewiątego roku życia. Wyrosła zdrowo na dorodną panienkę. Lecz gdy kończyć już miała szkołę w klasztorze, musiano przerwać naukę, ponieważ nagle zaczął słabnąć jej wzrok. Postępowало to bardzo gwałtownie i w ciągu paru miesięcy pomimo wszelkich starań dra Bermont (Berma), okulisty w Bordeaux, zaniewidziała na jedno oko.

Był to jego zdaniem wypadek zwany w medycynie amaurosis, uważany za nieuleczalny, i wyraził nawet obawę, że zagraża to również drugiemu

oku. Przerażeni rodzice udali się niezwłocznie do Parvża, by tam zasięgnąć rady najslawniejszych okulistów. Ale, niestety, usłyszeli od nich potwierdzenie diagnozy dra Bermont i bezradni wrócili do domu.

Marynia zaziębiła się w drodze, zaczęła pokaszliwać i mizernieć, a po kilku tygodniach dostała zapalenia płuc. Zawezwano więc profesora Vergez z Montpellier. Lecz jednocześnie amaurosis przerzuciła się na drugie oko tak gwałtownie, że w ciągu tygodnia chora straciła wzrok całkowicie, zanim zdążył przybyć wezwany dr Bermont.

Traf zrządził, że obaj lekarze spotkali się przy chorej. Doktor Bermont był wolnomyslicielem, a wiedząc o nawróceniu się swego kolegi pokpiwał z niego i gdy Vergez zapytał o stan wzroku Maryni, pozwolił sobie na dosyć niesmaczny koncept.

— Wzrok jest definitywnie stracony i nie do odzyskania. Chyba że kolega przepłucze pacjentkę wodą z Lurd.

Rozmowa ta miała miejsce w sąsiednim pokoju, lecz Marysia usłyszała słowa dra Bermont przez uchylone drzwi, jak również i jej rodzice. I gdy obaj lekarze powrócili do pacjentki, ojciec jej zwrócił się do dra Bermont:

— Że już ja wcześniej nie pomyślałem o szukaniu pomocy u Najświętszej Panny! Panu doktorowi zawdzięczam, że mi to przypomniał. Natychmiast jadę do Lurd po wodę.

— Tak, tak, ojczulku. Najświętsza Panna z pewnością mi wzrok uleczy — odezwała się Marynia — a za pana, panie doktorze, będę się do Niej modliła, abys pan też przejrzał... Wszak nie gniewa się pan na mnie za to, com powiedziała, prawda?

Doktorowi Bermont nie wypadło nic innego, jak uśmiechnąć się uprzejmie. Odjeżdżając zaś powiedział:

— Mego niedowiarstwa nie ukrywam, ale też i nikomu go nie narzucam. Życzę pani, żeby jej woda z Lurd pomogła i mówię to szczerze, bez ironii. Co do mnie, nie nawrócę się z pewnością, ale jeśli pani pomoże ta woda, to pojedę do Lurd, aby się przyjrzeć nadzwyczajnemu Źródłu.

Okulista odjechał, a tegoż jeszcze wieczora udał się i pan Moreau do Lurd. Profesor Vergez obiecał pozostać przy chorej do jego powrotu. Był on bliskim przyjacielem państwa Moreau i wraz z nimi postanowił odprawić nowennę do Najświętszej Panny. Oni zaś przyrzekli pielgrzymkę do Lurd wraz z Marynią, gdy tylko wyzdrowieje. Tymczasem jednak gorączka się wzmogła i dr Vergez, badając chorą nazajutrz rano, stwierdził wysięk opłucnej.

Wieczorem powrócił pan Moreau. Natychmiast położono Maryni kompres z cudownej wody na oczy, zabandażowano i niewidoma po żarliwej modlitwie usnęła. Z powodu groźnego stanu jej płuc doktor zgodził się pozostać jeszcze jeden dzień.

Było już blisko południe i niepokojono się trochę tak długim snem Maryni, gdy nagle rozległ się z jej pokoju radosny okrzyk:

— Mamo, ojczulku, chodźcie prędko! widzę, widzę! Jakże dobra, jak nieskończenie dobra jest Najświętsza Panna!

Oboje rodzice i dr Vergez pospieszyli do Maryni, która natychmiast zażądała książki:

— Ależ widzę! Czytam jak najwyraźniej! Panie profesorze, mnie się zdaje, że ja nie tylko widzę, ale i wyzdrowiałam, bo czuję się zupełnie dobrze.

Tak też było istotnie. Doktor Vergez, zbadawszy chorą, nie znalazł już ani śladu wysięku, a temperatura była zupełnie normalna. Siadł i niezwłocznie napisał list do dra Bermont, który w kilka dni przybył już nie jako wezwany, aby leczyć, lecz dla przekonania się o nadprzyrodzonym zjawisku. Stwierdził to zresztą wraz z doktorem Vergez przed Komisją Biskupią.

Państwo Moreau z obiema córkami wybrali się w pierwszą pielgrzymkę do Lurd. Marynia zabrała ze sobą sukienkę taką samą, jaką nosiła za lat dzieciennych, by w barwach Najświętszej Panny, jako Jej służka, klęknąć w Grocie. Potem poszła odwiedzić Bernadetę i suknię tę jej pozostawiła. Był to jedyny prezent, jaki pastuszka w życiu swym od kogokolwiek przyjęła. Chodziła w niej potem stale, dopóki materiał nie zdarł się doszczętnie.

Nikt nie sprawdził, czy dr Bermont pojechał zaraz do Lurd przyjrzeć się nadzwyczajnemu Źródłu, jak to był zapowiedział. Ale w sześć lat później była Marynia, już jako mężatka — pani d'Izarn de Vellefort w procesji inauguracyjnej lurdzkiego kościoła i tam spotkała dra Bermont.

— Jeżeli pani modliła się za mnie — powiedział — tak jak to pani przyrzekła przed sześciu laty, to w modlitwie pani musiała być kropla wody z Lurd... Bo i ja przejrzałem.

XXVIII

BADANIA KOMISJI BISKUPIEJ

Wróćmy jednak do kolejności zdarzeń. Komisja wyznaczona przez ks. biskupa Laurence rozpoczęła swe prace w sierpniu 1858 roku. We wszystkich posiedzeniach brali udział nie tylko kapłani, ale i szereg osób świeckich ze świata naukowego, a zwłaszcza lekarze, przyrodnicy i paru prawników. Protokoły tych posiedzeń, w których notowano szczegółowo ich przebieg i treść wszystkich dyskusyj, tworzą kilka grubych zeszytów, dostępnych do przejrzania każdemu, kto się tą sprawą interesuje poważnie.

Komisja działała podobnie jak trybunał, udając się do wszystkich miejscowości, w których według głoszonych wieści, zdarzyły się fakty uzdrowień. Badano pod przysięgą zarówno uzdrowione osoby, jak świadków

uzdrowień i lekarzy; a każdy zeznający, jak i każdy lekarz, musiał własnoręcznie podpisać złożone przez siebie oświadczenie.

Oczywiście, że nie brakowało zeznań, złożonych może w najlepszej wierze, lecz przesadnych, które Komisja, po zbadaniu faktów, odrzuciła. Lecz wielce jest charakterystyczne, że przeszło połowa uzdrowień, które lekarze uznali za nie dające się wyjaśnić naukowo, nie została jednak przez kapłanów uznana za cud. Negatywny wniosek teologów zapadał w tych wszystkich przypadkach, gdzie podłoże cierpienia było nerwowe. Rozumowano bowiem słusznie, że w takich przypadkach uleczyć może chorego samo powzięte z góry przeświadczenie, że go woda z Lurd uleczy.

Teologowie ustosunkowali się negatywnie również i do cudowności takich uzdrowień, które następowały powolnie i stopniowo przy wielokrotnym zastosowaniu wody z Lurd. Brano tu bowiem pod uwagę, że medycyna może się niekiedy mylić co do nieuleczalności choroby, która z biegiem czasu ustąpić może sama bez wpływów nadprzyrodzonych, jak i bez lekarstw.

Ktokolwiek studiuje uważnie protokoły Komisji, sposób prowadzenia badań przez kapłanów, ich sceptyczne pytania stawiane lekarzom, ich twarzą, chłodną argumentację graniczącą niemal z pozytywizmem — tego uderzyć musi ich obiektywizm i niezachwiana logika, z jaką szukają prawdy.

Toteż za bezsprzecznie nadprzyrodzone uznała Komisja Biskupia tylko takie uzdrowienia, wobec których medycyna uznała się bezsilną, które nie miały podłoża nerwowego i które nastąpiły nagle. Lekarze, co takich chorych mieli w swojej opiece, wielostronnie badali i orzekli nieuleczalność choroby, nie wahali się zaświadczyć w protokołach Komisji, że stwierdzone przez nich uzdrowienia są niepojęte w drodze naturalnej. W zaświadczeniach owych zaznaczali niejednokrotnie, że badali chorych bezpośrednio przed użyciem wody z Groty i że byli przy samym fakcie uzdrowienia obecni. Miało to miejsce w przypadkach już poprzednio opisanych pani Ducouts, Maumusa, Bourriette'a, Henryka Busquet, Maryni Moreau i kilku innych¹.

Drugim zadaniem Komisji było zbadanie zjawiska wytrysnięcia Źródła. Sam fakt nagłego ukazania się wody w dołku wygrzebanym rękami Bernadety stwierdzić mogło setki świadków obecnych wtedy przy Grocie. Ale chodziło o zbadanie przyczyny tego zjawiska, o jego charakter i własności wody. Że nie pochodziła ona z topniejącego śniegu, jak to twierdzili sceptycy w pierwszych dniach po wytrysnięciu Źródła, o tym przekonano się rychło. Wydajność Źródła i temperatura wody zmierzona przez inżynierów, okazała się bowiem zimą i latem jednostajną. Drugim zaś dowodem, że woda była naturalna, wykazała analiza dokonana przez profesora Filhola.

W debatach Komisji nad tym przedmiotem zabierali głos niemal wyłącznie ludzie świeccy. Kapłani bowiem nie rościli sobie prawa do kompe-

¹ Takich uzdrowień dokonanych w obecności lekarzy jest już do dnia dzisiejszego około tysiąca.

tencji w sprawach inżynierii i chemii. Niemniej jednak i tu zwraca uwagę ich wielką ostrożność w obiektywnym poszukiwaniu prawdy. Złożył tego dowód obecny na jednym z posiedzeń Komisji ks. biskup Thibaut (Tibo). Zwrócił on mianowicie uwagę na to, że w odległości jednego kilometra od Groty płynie wartki i obfity strumień z tego samego łańcucha gór. Jest więc możliwe, że Źródło w Grocie powstało z jakiejś podziemnej odnogi owego strumienia. Biskup dodał, że sam tego nie przypuszcza, lecz może to przyjść na myśl. Zapytuje więc obecnych specjalistów, czy istnieje możliwość zbadania takiej rzeczy.

— Teoretycznie jest to możliwe, lecz w praktycznym wykonaniu zbyt trudne — odpowiedzieli inżynierowie.

Zaproponowali wszakże zanalizowanie wody z owego strumienia, co mogłoby dostarczyć pewnych wskazówek pośrednich. Analizę powierzono znowu profesorowi Filhol i okazało się, że woda ze strumienia zawiera 198 miligramów mineralnych substancyj w litrze; a więc o 64 miligramy więcej niż woda z Groty. Zaopiniował stąd profesor, że Źródło w Grocie nie może być odgałęzieniem tamtego, bo w takim razie, wymywając po drodze pokłady górskie zawierać by mogło tylko więcej tych substancyj niż źródło macierzyste, ale nigdy mniej. Bo gdzieżby się te substancje ulotniły? Ponadto źródło górskie wykazało obecność manganu, którego wcale nie ma w Źródle z Groty, a mangan jest charakterystycznym składnikiem wszystkich wód w górach pirenejskich.

Na tym jednak nie kończą się spostrzeżenia obiektywne i doświadczalne. Komisja wzięła bowiem pod uwagę wszystkie badania zarządzone przez władze świeckie, jak np. pomiary dokonane przez inżynierię powiatową. Wykazały one, że wydajność Źródła wynosi 85 litrów na minutę, przy ciśnieniu wody 0,57 atm. w przewodzie rurowym o średnicy 50 milimetrów. To znaczy, że ujęta w taki przewód woda trysnęłaby na wysokość blisko sześciu metrów.

Cóż ją zatem wstrzymywało od wytrysnięcia o rok, o dziesięć, o sto lat wcześniej? Czy te kilka grudek pylastej ziemi, którą trzynastoletnia pastuszka zdołała wygrzebać palcami w ciągu kilku minut? — Nonsens! Gdyby tam źródło istniało, to przebiłoby tę przeszkodę swym ciśnieniem od niepamiętnych czasów.

Przestrzeń Groty zajmuje blisko 200 metrów kwadratowych i na takiej przestrzeni Bernadeta natrafiła od razu na ten punkt, gdzie był zaledwie kilkucentymetrowy wylot źródła? — „Zbieg okoliczności“ istotnie niezwykły i tym niezwyklejszy, że trafiła akurat podczas jednej ze swych wizyj: ale jakich? — Gdyby o ich treści nic ludziom nie mówiła, to moglibyśmy rzeczywiście widzieć w tym zestawieniu tylko niezwykły zbieg okoliczności. Ale tę treść znamy ze słów Bernadety i z rozmów jej z księdzem Peyramale. Jeśli zestawić jego prośbę o rozkwitnienie dzikiej róży z odpowiedzią, jaką nazajutrz dała na to Wizja swym uśmiechem i poleceniem pastuszcze, aby weszła w głąb Groty; jeśli to zestawić dalej z wytrysnięciem źródła dnia następnego w tym właśnie punkcie, na którym Bernadeta zatrzymała się w przeddzień i z rozkazem Wizji, by poszła do Źródła, którego przecież nie było; jeśli to wszystko zestawić, to już nie zbieg okolicz-

ności, lecz związek czysto logiczny przedstawił się oczom naszym. I nie ma tu miejsca na żadne rozumowanie, które by rzeczywistemu ukazaniu się Najśw. Maryi Panny oraz dokonaniu przez nią cudu odważyło się przeciwstawić ślepy traf i halucynację. Postacie z halucynacji, postacie fikcyjne nie odkrywają nie istniejących źródeł. **N i e i s t n i e j ą c y o n.** Bo gdyby istniało, to napór jego wód byłby wysadził ową odrobinę ziemi już od dawna. Ono, jak świat stworzony z niczego wolą Boga, stworzone zostało w jednej chwili Jego wolą, wyjednana przez Najświętszą Pannę. Na nią — łaski pełną — Bóg Swoją wolę przelać tu raczył, a cudowne uzdrowienia wciąż ludziom to przypominają. I cud trwa bez przerwy.

XXIX

UCZENI O CUDACH

Takie oto było orzeczenie Komisji Biskupiej. Inne być nie mogło. Albowiem opierało się zawsze na sumiennych badaniach, zimnych rozważaniach i twardej logice.

Zadaniem Komisji było również jak najskrupulatniejsze zbadanie psychiki Bernadety, wnikięcie w jej umysł i charakter. Przesłuchano pod przysięgą szereg osób, które się z nią stykały i znały jej życie i kilkakrotnie przesłuchiowano ją samą w krzyżowym ogniu pytań. Opinie świadków były o niej jednomyślne.

Ze wszystkich tych badań zarysowuje się postać Bernadety jako dziewczynki prostej i naturalnej, bynajmniej nieskłonnej do marzeń czy zamysłu się. Widywano ją zawsze zajętą jakąś czynnością praktyczną, nierzadko wesołą zabawą z koleżankami. Lubiła zwłaszcza skakanie przez sznurek i grę w piłkę. Usposobienie jej było wesołe, ale równe i spokojne. Cechowała ją wielka dobroć i słodycz. Wszystkie jej szkolne koleżanki stwierdziły, że je zawsze strofowała, gdy zrobiły coś złego lub niedozwolonego, ale nigdy ich nie oskarżała.

Zebranie jak najdokładniejszych wiadomości o charakterze i usposobieniu Bernadety było nie tylko ważne dla teologów owej Komisji, ale przede wszystkim dla lekarzy tam zasiadających, bo oni właśnie mieli wydać fachową opinię o ewentualnych skłonnościach dziewczynki do histerii i halucynacji. Otóż opinia o Bernadecie, wydana przez wszystkich jednomyślnie, przemawiała — zdaniem lekarzy — przeciw takim skłonnościom. Podano więc biedną pastuszkę bardzo skrupulatnym badaniom lekarskim. Wziął w nich udział również i dr Balancier (Balansje), jeden z tych dwóch, co już poprzednio badali Bernadetę w kancelarii komisarza Jacomet. Dr Balancier zapytany przez ks. kanonika Norago, przewodniczącego Komisji, z czego wnioskował wtedy o halucynacyjnym charakterze widzeń Bernadety, odpowiedział:

— Gdy przekonałem się, że Bernadeta nie kłamie, lecz istotnie miewa widzenia, które poczytuje za rzeczywistość, to nie pozostawało nic innego, jak przypisać je halucynacjom, bo w cuda nie wierzę.

— Stanowisko kolegi — wtrącił dr Dozous — zdaje mi się być jednostronne, bo oparte na osobistej niewierze. Rzeczowe stanowisko naukowe wymagało — moim zdaniem — zbadania Bernadety w czasie jej widzeń i sprawdzenia, czy stan, w jakim się wtedy znajduje, odpowiada cechom halucynacji.

— Nie miałem do tego sposobności. Badałem ją tylko w biurze policji.

— Ale ja sposobność tę miałem — odparł dr Dozous. — Zjawisko to interesowało mnie bardzo jako lekarza, i właśnie z tej racji chodziłem umyślnie do Groty, aby przy widzeniach Bernadety asystować. Byłem obecny przy dziewięciu widzeniach, obserwowałem ją z bliska, sprawdzałem różne objawy towarzyszące jej ekstazom i porobiłem z tego notatki. Moimi spostrzeżeniami podzieliłem się z obecnym tu kolegą Peyrusem, psychiatrą, a więc specjalistą.

— Tak — potwierdził dr Peyrus — i wnioski nasze są zgodne, że stan ekstaz Bernadety był wolny od wszelkich cech znamionujących halucynację. Zresztą i ja byłem dwukrotnie przy ekstazach tych obecny.

Przedmiot był nie tylko interesujący, ale i bardzo doniosły dla Komisji, która miała wyciągnąć stąd decydujące wnioski. Poproszono więc obu lekarzy, aby pogląd swój szczegółowo umotywowali. Streszcza się on jak następuje.

Lekarze jeszcze przed tym posiedzeniem Komisji badali w jej obecności organizm Bernadety i stwierdzili, że nie ma z tej strony żadnych podstaw do podejrzenia u niej jakichkolwiek skłonności do hysterii. To samo stwierdzili zresztą i dwaj lekarze, którzy ją badali w komisariacie policji. Usposobienie Bernadety również wyłączało, zdaniem lekarzy, diagnozę hysterii. Dwukrotnie też próbowano Bernadetę zahipnotyzować, lecz nie dało to żadnych rezultatów. Otóż jest rzeczą stwierdzoną, że osoby podlegające halucynacjom są bardzo podatne na hipnozę.

W czasie trwania halucynacji tętno serca ulega zmianie w porównaniu ze stanem normalnym. Rzadko kiedy bywa zwolnione, a przeważnie ulega znacznemu przyśpieszeniu. Dr Dozous brał Bernadetę w czasie ekstazy za puls parokrotnie i stwierdził, że i szybkość tętna i jego siła są takie same jak w stanie normalnym.

Przy halucynacjach źrenice ulegają rozszerzeniu i utkwione są nieruchomo w jeden punkt, jakby sparaliżowane. Bernadeta nie odrywała wprawdzie oczu od ukazującej się jej Postaci, ale nie dlatego, że nie mogła, lecz jedynie dlatego, że nie chciała. Dr Dozous przekonał się o tym dwukrotnie: raz ścisnął jej ramię powyżej łokcia, drugi raz stojący obok niego p. Grabat dotknął dłoń Bernadety zapaloną świecą. W obu wypadkach odwróciła głowę i spojrzała na dokuczających jej eksperymentatorów. Nie mogłaby tego uczynić w stanie halucynacji, bądź też obudziłaby się. Tymczasem ekstaza Bernadety trwała dalej, a źrenice jej wcale nie były rozszerzone. Natomiast co innego zauważył w jej oczach dr Dozous. Ote powieki szeroko rozwarte, jak u człowieka w największym zachwycie i oczy

jarzące nieopisanym szczęściem — po prostu jakby blaskiem padających na nie promieni. Było to według dra Dozous zjawisko zupełnie niezwykle. A szczególnie drugie, to już całkowicie niedostępne objaśnieniom naukowym — mianowicie trzymanie palców w płomieniu świecy, który nie pozostawił na nich najmniejszego śladu jakiegokolwiek oparzenia.

Przy referowaniu tego faktu przez dra Dozous, wystąpił tu znowu obiektywizm w rozpatrywaniu go przez kapłanów. Mianowicie ks. kanonik Tabariés (Tabarie) przypuszczał możliwość autohipnozy w tym zjawisku, lecz jego wątpliwość rozproszył dr Dozous wyjaśnieniem, któreśmy już przytoczyli poprzednio. Zaznaczył przy tym, że halucynacji nie należy identyfikować z autohipnozą, której istotnie towarzyszy nieczułość na ból, ale taka utrata wrażliwości bynajmniej nie zabezpiecza ciała od fizycznych skutków oparzenia. Natomiast przy halucynacji wrażliwość na ból nie znika i nie tylko ból, ale nawet każde silniejsze szarpnięcie wizjonera przerywa halucynację. Tymczasem powtórne zbliżenie świecy przez pana Grabat wywołało ból u Bernadety, a jednak jej wizji nie przerwało. Niezaprzeczalna stąd konkluzja, że nie miało się tu do czynienia ani z autohipnozą, ani z halucynacją, lecz ze zjawiskiem nadprzyrodzonym, podobnym do tych, jakie zdarzały się w wiekach dawnych, a których opisy znajdujemy w żywotach świętych.

Wyjaśnienia te przekonały wreszcie i dra Balancier, który wzmocnił je nawet ze swej strony uwagą. Oto Bernadeta niejednokrotnie oczekując widzeń chodziła do Groty i doznawała zawodu, bo oczekiwana Postać jej się nie ukazała. Zdarzyło się tak 22 lutego. To samo powtórzyło się, gdy 4 marca postanowiła, że nazajutrz zapyta ukazującą się jej Postać, kim jest. Z tym też zamiarem przyszła Bernadeta nazajutrz 5 marca do Groty, lecz widzenia nie miała ani tego dnia, ani przez kilkanaście dni następnych, pomimo że go oczekiwała. Otóż wizjonerka podlegająca halucynacjom miewa je właśnie wtedy, gdy ich oczekuje, bo są one wytworem jej wewnętrznego usposobienia. Natomiast nic podobnego nie miało tu miejsca.

Jak z tego widzimy, Komisja badała zagadnienie przypuszczalnych halucynacji wszechstronnie i skrupulatnie. Lecz wszelkie jej wątpliwości musiały zachwiać się wobec decydującego zdania specjalistów. Pozostała wszakże do zbadania jeszcze jedna strona sprawy — prawdomówność Bernadety.

Wobec opinii zasięganej o niej u całego szeregu osób, wobec wrażenia, jakie każdy z rozmów z nią odnosił, wobec odmowy zarówno jej, jak i jej rodziców, przyjmowania jakichkolwiek darów, nikt nie mógł jej posądzać o dopuszczanie się kłamstw rozmyślnych i świadomych. Nie o to też chodziło. Ale i kapłani, i lekarze — ci w jednych, tamci w innych okolicznościach życia — mają możność zapoznania się z ułomnościami duszy ludzkiej. Człowiek niejednokrotnie przesadza prawdę, ozdabia ją lub wprost się z nią mija mimowolnie i w najlepszej wierze. Zdarza się to zwłaszcza u dzieci, których żywa wyobraźnia wzbogaca fakty rzeczywiste zmyśłowymi dodatkami.

A przecież w fakcie, o który tu chodziło, każdy jego szczegół miał wiel-

ka donłosłość. Rzeczywistość widzeń Bernadety nie ulegała już wątpliwości. Świadczył o tym ściśle z nimi związany cud wytrysnięcia Źródła, cud nieszkodliwości płomienia świecy, cuda uzdrowień. Jednakże te cuda mogły się stać za sprawą jednej ze świętych, która je u Boga uprosiła i która ukazała się Bernadecie. Lud od pierwszej chwili tych widzeń wymieniał Imię Maryi. Mogła stąd powstać w myśli Bernadety sugestia, pod której wpływem mogło się pastuszcze w najlepszej wierze zdawać, że Imię to z własnych ust widzianej Postaci słyszała. Jeśli zaś istotnie była to Postać Najświętszej Maryi Panny, to każde wypowiedziane przez Nią słowo było skarbem, który należało bez zmian zachować.

Czy Bernadeta nie w słowach nie zmieniła i czy istotnie jej dziecięca dusza stała na gruncie normalności i szczerości tam w Grocie, w obliczu Bogarodzicy? Takie pytania nasuwały się członkom Komisji Biskupiej.

Jednocześnie innej natury pytania, a raczej podejrzenia, fabrykowano w kołach wolnomyślicielskich. Dzienniki, które stały na ich usługach, prowincjonalne jak i paryskie, interesowały się żywo pracami Komisji. Zaprzestano wprawdzie pisać o naturalnych własnościach leczniczych Źródła, bo analiza profesora Filhola zamknęła wszystkim usta. Przestano pisać o halucynacjach, bo lekarze odrzucili ich możliwość, a ich opinia oraz wyjaśnienia złożone w Komisji stały się ogólnie znane. Ale Bernadecie z jej widzeniami i duchowieństwu nie dawali spokoju. Na łamach swoich pism wmawiali w publiczność, że księża dla „ogłupiania ludu“ użyli sprytnie pastuszki za narzędzie do swoich niecných celów. Oni to kazali opowiadać Bernadecie, że miewa widzenia i nauczyli ją, co ma o ich treści opowiadać.

W jednym z numerów „L'Univers“ (Liniwer) odpowiedział na te oszczerstwa Veuillot, że nie tylko człowiek w sutannie, który by taką komedię odgrywał, ale i dziewczyna zaangażowana do jej odegrania musiałaby być również pozbawiona wiary jak i uczciwości. A w takim razie gdzieżby ów rzekomy ksiądz miał gwarancję, że go ta dziewczyna nie zdemaskuje za odpowiednim wynagrodzeniem? Artykuł swój zakończył cięty publicysta słowami, że chociażby autorów insynuacji można było prześcignąć w podłości, ale nie jest możliwe dorównać im w głupocie.

Oczywista, że zadaniem Komisji Biskupiej nie było ani przekonywanie wolnomyślicieli, ani polemizowanie z ich prasą, bo Komisja nawet nie interesowała się ich wrogim nastawieniem do sprawy lurdzkiej. Wspominamy więc tu o tym jedynie dlatego, że badanie Bernadety przez Komisję znakomicie rozświetliło tę cechę umysłów walczących z Kościołem, którą Veuillot nazwał po imieniu.

XXX

JAK WYGLĄDA NIEPOKALANA?

Matka Bernadety, w trzy miesiące po wydaniu jej na świat, straciła pokarm. Było to przyczyną, dla której oddano niemowlę „do mamki“ na

wieś, gdzie żona jednego z gospodarzy po stracie własnego niemowlęcia przyjęła na podchowanie niemowlę-Bernadetkę, za którą opłacali państwo Soubriours. Gdy jednak wkrótce Franciszek Soubriours pozostał bez pracy, zabrakło mu środków na uiszczanie opłaty za wychowanie Bernadety. Lecz oboje małżeństwo Aravantowie zgodzili się zatrzymać dziewczynkę bezpłatnie, zwłaszcza że gdy Bernadetka podrosła, mieli z niej korzyść, bo im pasła owieczki. Byli to wieśniacy względnie zamożni i posiadali małą trzódkę owiec, którą Bernadeta wyprowadzała co dzień na górskie pastwiska. Do szkoły nie chodziła, bo było za daleko, a opiekunowie nie mogli jej nawet nauczyć czytać, albowiem sami nie umieli. Aravantowa nauczyła ją tylko odmawiać różaniec, co dziewczynka bardzo gorliwie praktykowała. Pilnując bowiem trzody kłękała na łące i odmawiała go po kilka razy dziennie. W tych paciorkach mieściła się cała jej wiedza. Rodzice odwiedzali córeczkę od czasu do czasu. I tak dożyła tam do lat trzynastu. A że nie znała katechizmu, nie mogła być jeszcze u pierwszej Komunii św. Rodzicom jej, ludziom pobożnym, to opóźnienie leżało bardzo na sercu. Państwo Soubriours jednak nie zabierali jej jeszcze z górskiej wioski, bo wyglądała bardzo mizernie i cierpiała przy tym na astmę. Byli bowiem przekonani, że powietrze górskie wpłynie dodatnio na jej zdrowie.

Trzeba było jednak zabrać Bernadetę do domu i posyłać ją na naukę katechizmu, co nastąpiło z końcem stycznia 1858 r. Ta cała nauka szła dziewczynce jakoś bardzo powolnie. A gdy się zaczęły widzenia Bernadety, jej wiadomości z nauki religii były bardzo skąpe. Jest to okoliczność ważna z tej racji, że Bernadeta ze swych wiadomości religijnych nie mogła żadną miarą czerpać szczegółów do swych widzeń, które później innym opowiadała. Tymczasem były one zgodne nawet z bardzo subtelnymi założeniami teologii, choć pastuszka nie mogła mieć o nich najmniejszego pojęcia. Ba, nie wiedziała nawet, że taka nauka istnieje. Dla zobrazowania tego przytoczymy jeden fragment z badania, jakiemu poddano Bernadetę na Komisji w obecności ks. biskupa Thibaut (Tibo).

— Więc za każdym razem rozmawiałaś z tą Panią, która ci się ukazywała? — zapytał jeden z badających.

— Nie, proszę księdza, nie za każdym razem, tylko tak, jak opowiadałam.

I Bernadeta jeszcze raz powtórzyła jak najdokładniej wszystkie słowa Najświętszej Panny, wymieniając, kiedy i przy których widzeniach miało to miejsce, jak również własne słowa, z jakimi się do Niej zwracała.

— A cóż robiła Pani i co ty robiłaś wtedy, gdy nie było rozmowy? Opowiedz to dokładnie — zapytał inny ksiądz.

— Patrzyłam w tę Panią, w Najświętszą Pannę, bo już teraz wiem, że to Ona, i odmawiałam różaniec. A Najświętsza Panna też miała różaniec; zawsze go miała, o tak — przewieszony dookoła dłoni i też go odmawiała, tylko że inaczej.

— Jak „inaczej“? Wy tłumacz nam to.

— Najświętsza Panna przesuwiała paciorki jednocześnie ze mną, ale nie mówiła wtedy, gdy wypadło „Ojcze nasz“, ani gdy „Zdrowaś Maryjo“, tylko uśmiechała się do mnie bardzo słodko. I dopiero przy „Chwała

Ojcu" podnosiła wzrok w górę, była ogromnie szczęśliwa i wymawiała te słowa modlitwy razem ze mną.

Bernadeta wypowiedziała to wszystko ze zwykłą swą szczerą naiwnością, przeplatając swe narzecze poprawną francuszczyzną, której już zdążyła poduczyć się w szkole. Jej kolejne odpowiedzi zapisywano dokładnie w protokole. Może niejeden czytelnik tej książki, zastanawiając się nad nimi, zada sobie pytanie, dlaczego Najświętsza Panna milcząco przesuwała paciorki różańca i wymawiała jedynie tylko „Chwała Ojcu“?...

Odpowiedź prosta: Matka Boska nie odmawiała „Zdrowaś“, bo wszak nie mogła modlić się sama do Siebie. Odmawiać zaś „Ojcze nasz“ mogła tylko, gdy żyła na ziemi, ale dziś w niebie nie może już być przedmiotem Jej prośb ani chleb powszedni, ani to Królestwo Boże, w którym już żyje, ani odpuszczenie grzechów, o które w swej niezmiernej pokorze gotowa była posądzać się za życia swego tutaj. „Ojcze nasz“ — to modlitwa dla nas, grzesznych ludzi, nie dla Niej. Teraz więc z całego różańca, jedynie słowa chwały dla Ojca wymawiać mogą usta Tej, która jest Matką Syna Ojca niebieskiego.

W szczegółach widzeń Bernadety, opowydanych przez nią z całą naiwnością prostego dziecka, mieści się więc głęboka logika teologiczna, z której pastuszka nie mogła nawet zdawać sobie sprawy. Gdyby ona cokolwiek w opowiadaniach swych zmieniła z tych wydarzeń, to musiałaby ową logikę naruszyć. Jest ona jednocześnie dowodem rzeczywistości widzeń, jak i ścisłości, z jaką o nich opowiadała.

Jeszcze jednym, bardzo wymownym dowodem prawdomówności Bernadety są słowa, jakimi powtórzyła treść widzenia swego w dniu 25 marca, gdy jej „Pani“ powiedziała, kim jest. W Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny wierzył świat katolicki od najdawniejszych czasów i Ojcowie Kościoła głosili je niejednokrotnie. Zakon Franciszkanów szerzył tę wiarę już od XIII wieku, ale dopiero w 1854 roku ogłosił ją Papież Pius IX jako dogmat. Od owego czasu datuje się też nazywanie często Najświętszej Panny w mowie i w piśmiennictwie krótko imieniem Niepokalanej.

Bernadeta słyszała więc prawdopodobnie to Imię niejednokrotnie, ale tylko w formie przymiotnikowej. Bo nie tylko lud, ale nawet i Kościół nigdy inaczej nie wyrażał tego Imienia; głosił, że Najświętsza Panna jest Niepokalane Poczęta, a więc w formie przymiotnikowej, tak jak mówimy: lilia jest biała. Słowa „Poczęcie“ Bernadeta nie знаła i słyszeć go nie mogła, bo go lud nigdy nie używał, a i w ogóle słowo to w mowie potocznej było nie używane. Katechizmu zaczęła się uczyć dopiero od pięciu tygodni, więc i od księdza, który go wykladał, nie mogła jeszcze słyszeć tego słowa. A gdyby je nawet Bernadeta od kogokolwiek przypadkiem usłyszała, to nigdy w formie rzeczownikowej, w jakiej je wypowiedziała w Grocie Bogarodzica.

Podobnie jak Najświętsza Panna, nie obarczeni grzechem pierwotnym byli nasi pierwsi rodzice, a więc też niepokalane poczęci. Ale tę białość swoją zbrukali grzechem nieposłuszeństwa Bogu. Niepokalanie było cechą ich stworzenia, ale z ich winy nie pozostało ono ich niewzruszoną

Istota. Te łaskę osiągnęła spośród wszystkich ludzi jedna tylko Najświętsza Panna.

Była nie tylko Niepokalanie Poczęta, ale stała się żywym wcieleniem tej łaski. Dlatego też powiedziała: „*Ja jestem Niepokalane Poczęcie*”.

Imię swoje powiedziała w tym brzmieniu, w którym go przedtem nikt nie wypowiedział. Takiego wyrażenia nie mogła więc Bernadeta nigdy przedtem usłyszeć. Tym mniej mogło być ono wytworem jej fantazji, bo pojęcie sensu zawartego w tej rzeczownikowej postaci wymaga obeznania z teologią i filozofią. Podniesienie cechy do godności istoty — to problem zbyt zawiły i stromy, by go umysł dziecka mógł pojąć i zastąpić tu jedno pojęcie drugim.

Jest jeszcze trzeci dowód prawdomówności Bernadety, który zdobyła badająca ją Komisja. Ksiądz kanonik Soudé (Sude) zażądał od pastuszki, aby możliwie jak najdokładniej opisała Postać Najświętszej Panny. Bernadeta starała się wszystko możliwie szczegółowo opisać: suknię, szarfę, różaniec, róże na stopach, zaznaczając przy określeniu barw niemożność porównania ich pełni i blasku z czymkolwiek, co w świecie istnieje. Pozostał jej w pamięci na zawsze każdy ruch Postaci, każda fałda Jej szaty, każdy najdrobniejszy szczegół niebiańskiego oblicza Bogarodzicy. Ale jakże to oblicze i uśmiech, opromieniony chwałą, opisać?

— Widzę Ją w pamięci, gdy tylko pomyślę i zamknę oczy, ale przecież tego wypowiedzieć nie można...

— Postaram się dopomóc ci — odpowiedział ks. kanonik, który już zawczasu przygotował się do tego badania i przyniósł z sobą kilkanaście rozmaitych wyobrażeń Najświętszej Panny.

Były tam reprodukcje obrazów Rafaela, Murilla i innych mistrzów, jak również cała kolekcja tak zwanych obrazków rozpowszechnionych wśród nabożnej ludności, które Bernadeta często widywała. Nie odnalazła jednak w żadnym z nich podobieństwa do Najświętszej Panny — do tej właśnie „Pani”, którą żywą widziała.

Nie może ulegać wątpliwości, że gdyby Bernadeta o swych widzeniach nie opowiadała szczerze, lecz wprowadzała do nich swoją fantazję choćby tylko częściowo, to musiałaby ona podsunąć jej taki wygląd Postaci Najświętszej Panny, jaki widywała na którejś z rozpowszechnionych reprodukcji. Bo dla naiwnej wiejskiej pastuszki nie są to mniej lub więcej artystyczne albo nieudolne wyrazy natchnień twórczych, lecz „dokumenty”. Ksiądz Soudé chciał dobrze wypróbować prawdomówność Bernadety i nie wahał się straszyć jej:

— Więc jakże? — zapytał — przecież to są obrazki przedstawiające Najświętszą Pannę, malowane przez najslawniejszych artystów. I żaden nie jest do Niej podobny? Jakże to możliwe?

— Nie wiem, proszę księdza — odpowiedziała Bernadeta z całą szczerością i prostotą — ale oni chyba źle namalowali, bo Ona zupełnie inaczej wygląda.

Wreszcie skupiła uwagę na reprodukcji Madonny Murilla, z aniołkami pod obłokiem u Jej stóp i rzekła.

— Może ten jeden obraz jest trochę podobny... ale bardzo mało. A suk-
nia i szarfa zupełnie nie taka. Chyba że Najświętsza Panna była inaczej
ubrana i uczesana całkiem inaczej, gdy ten malarz Ją widział.

Trudno było wątpić o szczerości tego naiwnego dziewczątka, które tak
naturalnie mówiło o możliwości widzenia Najświętszej Panny i tak było da-
leką w swej pokorze od świadomości, że jest wybrane¹.

XXXI

KOŚCIOŁ SIĘ WYPOWIADA

Komisja badała, jak widzimy, wszystkie najdrobniejsze szczegóły zja-
wisk. Ich niezaprzeczalna cudowność wytrzymała próbę wszelkich spraw-
dzeń chemicznych, lekarskich i najsceptyczniejszych rozumowań. Lecz
ks. biskup Laurence nie poprzestał na tym. On pragnął, aby o cudowno-
ści wypowiedzieli się nie tylko lekarze, ale i czas. Decyzję taką może po-
wziął na podstawie opinii jednego z lekarzy, zaproszonych przez Komisję,
dra Diday z Lionu. Był to zdecydowany ateista i sceptyk nieubłagany.
Wobec faktów stwierdzonych i uzdrowień, które sam badał, musiał sam
przyznać, że naukowo nie dają się one wytłumaczyć.

— Ale są to może jakieś chwilowe tylko pozory uleczenia — przypusz-
czał — spowodowane autosugestią. W podobnych przypadkach cały sy-
stem nerwowy działa sprzyjająco dla wytworzenia takich pozorów; nie
trwa to jednak długo i choroba powraca. Należy więc czekać.

— Słusznie. Ale jak długo? — zapytał ks. Peyramale.

Żaden z obecnych lekarzy nie podzielał poglądów dra Diday. Żaden
z nich nie godził się z jego twierdzeniami, aby cierpienia takie, jak np.
rak, lupus lub rany skrofuliczne mogły ustąpić pod wpływem sugestii
i zagoić się błyskawicznie. Lecz oponenta nic nie zdołało przekonać
i twierdził, że te choroby, pozornie uleczone, powrócą niewątpliwie po ro-
ku, a najdalej po dwóch latach.

— Będziemy więc czekali nie dwa, lecz trzy lata — powiedział ks. bi-
skup Laurence, gdy zapoznał się z treścią wszystkich aktów i protokołów
złożonych mu przez Komisję. Tej też Komisji, po upływie trzechletniego
terminu, polecił zbadać ponownie wszystkich cudownie uzdrowionych.

Okazało się oczywiście, że żaden z nich nie zapadł ponownie na chorobę,
z której został cudownie uleczone. Przeciwnie, zdrowsi byli niż kiedy-
kolwiek. A tymczasem nowych uzdrowień przybywało coraz więcej.

¹ Na podstawie słów Bernadety rzeźbiarz Fabisz (z pochodzenia Polak) wzorował
się trochę na dziele Murilla tworząc posąg Najświętszej Panny w Lurd.

Przybywało też uzdrowionych na duchu. Może nigdzie w całej Francji nie krzewiło się wolnomyślicielstwo wśród inteligencji tak obficie, jak w tej właśnie górskiej diecezji. Lecz oto szeregi ich przerzedzały się teraz coraz bardziej pod wpływem wypadków w Grocie Massabielskiej, które się dokonywały na ich oczach. Nawracali się już nie tylko zatwardziali ateści¹, ale i kilkunastu kalwinów powróciło na łono Kościoła. Pierwszym z nich był pan Rizat, ów świadek asystujący przy badaniu Bernadety w komisariacie policji.

Wreszcie upłynął zapowiadziany trzyletni termin i dnia 18 stycznia 1862 roku wydał ks. biskup Laurence werdykt, potwierdzony następnie przez Ojca św. Kościół orzekł, że osiemnastokrotne ukazanie się Najświętszej Panny w Massabielskiej Grocie oczom Bernadety jest rzeczywistością. Kościół uznał cud wytrysnięcia Źródła w Grocie Massabielskiej i cuda uzdrowień wodą z tego źródła za bezsprzeczne i stosując się do woli Najświętszej Panny, jaka raczyła objawić Bernadecie, postanowił wznieść świątynię na terenie Groty.

W tym celu ks. biskup Laurence zakupił niezwłocznie w imieniu Kościoła całą skałę Massabielską wraz z otaczającymi ją terenami, a tymczasem ofiary na budowę świątyni płynąć zaczęły szeroką falą.

XXXII

AUTOR O SOBIE

W tym czasie zdarzyły się wśród licznych uzdrowień dwa, których opis pragnę dodać do zacytowanych już poprzednio w tej książce, ponieważ jedno z nich dotyczy mego przyjaciela i znam je z jego własnych ust, a drugie jest łaska, której ja sam osobiście doznałem¹.

Chociaż przez długie lata cieszyłem się doskonałym wzrokiem, jednak latem 1862 roku spostrzegłem nagle, że wzrok mój stopniowo słabnie. Przypisywałem to przeforsowaniu, ponieważ przez kilka tygodni pracowałem wtedy intensywnie do późna w noc. Postanowiłem przeto wypocząć; lecz mimo wypoczynku poprawa nie następowała. Przeciwnie, osłabienie

¹ Budowa kościoła lurdzkiego była już rozpoczęta, gdy dr Diday w 1864 r. przybył tam umyślnie, by obserwować znanego mu chłopca Juliusza Lacassagne, który szukał uzdrowienia w Lurd. Dr Diday wiedział, że choroba jego jest nieuleczalna. Uzdrowienie nastąpiło w jego obecności w ciągu paru minut.

Lekarz pozostał w Lurd przez kilka dni, gdzie widywano go, jak wpatrywał się to w posąg Bogarodzicy, to w Źródło, jakby w tym marmurze i w tej wodzie chciał wyczytać Tajemnicę. Znalazł Ją wreszcie, przystąpiwszy do Komunii św.

¹ Uzdrowienie Lasserre'a jest przyczyną powstania tej książki. Jej autor odzyskał wzrok prawie całkowicie utracony. Postanowił wtedy „dać świadectwo prawdzie” i aby świadectwo to było jak najbardziej pełne i wyczerpujące, podjął się zbierania wszystkich dokumentów dotyczących objawień w Lurd i spisania ich historii. (Przyp. tłum.).

wzmagało się coraz bardziej, zapisane przez okulistę środki nic nie pomagały. Zwróciłem się do innego lekarza, który cierpienie przypisał ogólnemu przemęczeniu i zalecił wypoczynek na wsi. Wyjechałem więc z Paryża do majątku mojej matki, gdzie całe dnie spędzałem na świeżym powietrzu, nic nie robiąc. Ale pogorszenie wciąż postępowało; przeczytanie trzech wierszy książki wystarczyło, by wywołać nieznośny ból w głębi gałek ocznych i zamglenie wzroku.

Poważnie zaniepokojony, powróciłem do Paryża, gdzie serdeczny mój przyjaciel namówił mnie, abym udał się do Girauda, jednego z najslawniejszych specjalistów. Tak też uczyniłem, a sprawa była widocznie poważna, skoro doktor po zbadaniu zażądał konsylium z drugim znanym specjalistą drem Desmares (Demar). Rezultatem tej narady i badań instrumentami było przepisanie ciemnych okularów i absolutny zakaz czytania.

— Żle ze mną — pomyślałem — widocznie tracę wzrok i żadne leki na to nie pomogą, skoro mi żadnych nie przepisali.

Zwierzyłem się z tych podejrzeń memu przyjacielowi, który mnie wyśmiał. Lecz po kilku dniach powrócił do tej rozmowy.

— Słuchaj — rzekł mi — a gdybyś tak spróbował wody z Lurd? Tyle piszą o tych cudownych uzdrowieniach. Może i tobie ta woda pomoże.

Rada mego przyjaciela zastanowiła mnie podwójnie. Bo po pierwsze, jest on kalwinem i, co za tym idzie, w cuda wierzyć nie może, a po wtóre, musiał widocznie dowiedzieć się od poleconego przez siebie okulisty, że moje obawy są słuszne.

Okazało się, że tak jest istotnie. Dr Giraud (Žiro), przyciśnięty przeze mnie do muru, wyznał mi w końcu, że stwierdził sklerozę gałek ocznych i pochodzące stąd oddzielanie się siatkówki. Jej całkowite odczepienie się, które mi zagrażało, jest nieuleczalną ślepotą. Przyjaciel mój wiedział o tym i jego rada szukania ratunku w cudzie była po prostu przygotowaniem mnie do katastrofy.

— Tak, wiedziałem — przyznał mi się — ale radziłem ci i radzę w dalszym ciągu użycie wody z Lurd nie dlatego, aby cię do katastrofy przygotować, ale że uzdrowienia przez nią są podobno prawdą. Więc dlaczego nie spróbować, skoro nie ma się nic do stracenia? Mnie by to nie pomogło, bo jestem kalwinem i w cuda nie wierzę. Ale ty jesteś przecież katolikiem...

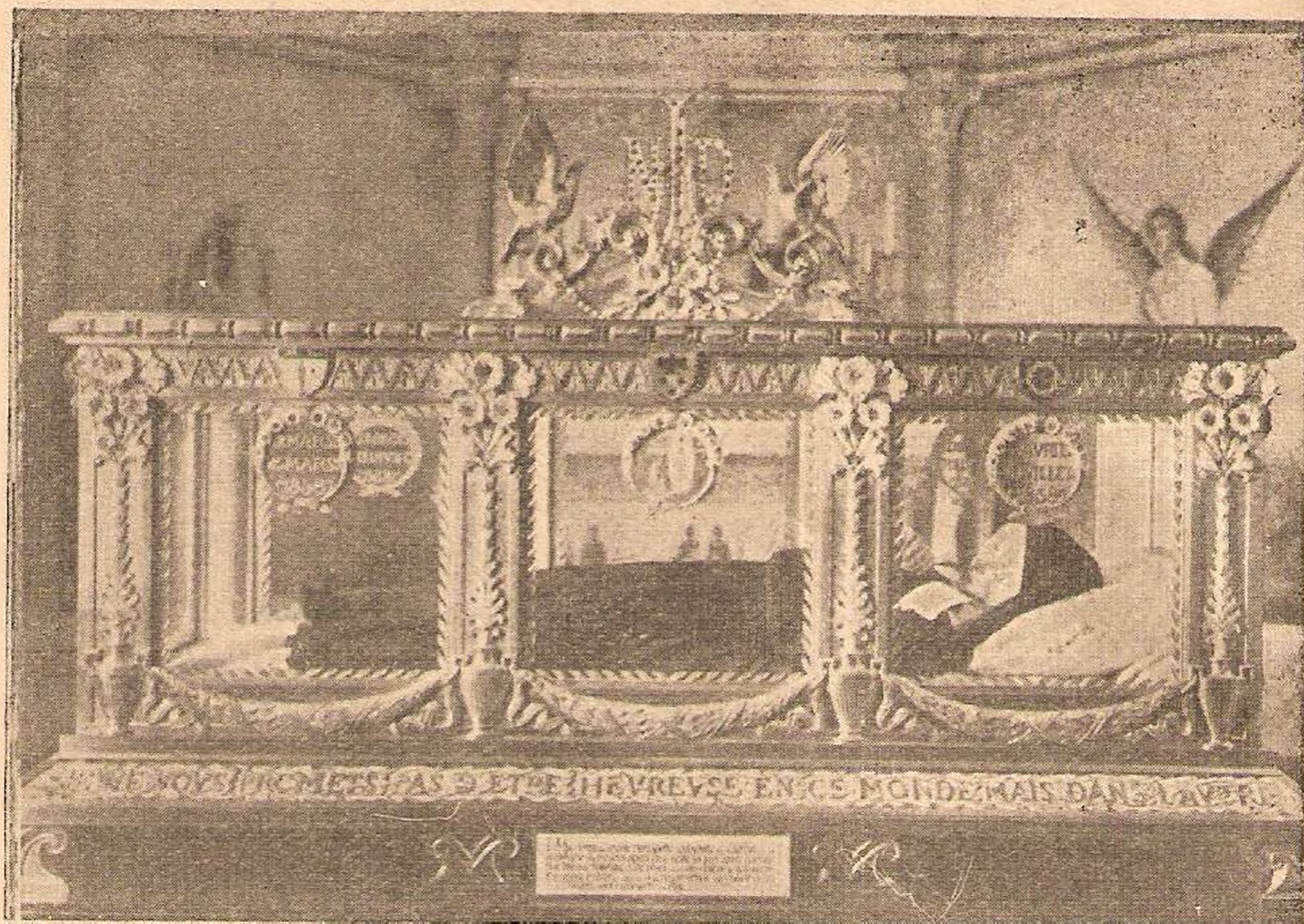
Prawda, jestem katolikiem. Tego jednak mój przyjaciel nie wiedział, że nie będąc niedowiarkiem, przestałem jednak praktykować obowiązki religijne już od dosyć dawna, a w cuda, zwłaszcza zdarzające się w XIX wieku, nie bardzo wierzyłem. Zwierzyłem mu się teraz, jakim jestem katolikiem, a on zamilkł; bo co miał odpowiedzieć.

Ale stan mego wzroku pogarszał się coraz bardziej i pomimo oszczędzania go, pomimo że całkowicie zaprzestałem czytania i pisanie, zacząłem widzieć wszvstko jak przez mgłę z czarnymi plamkami. Po pewnym czasie przyjaciel mój znów poruszył temat cudownej wody.

— Użycie wody z Lurd uważam za próbę, której nie wolno ci pominąć, choćby jej wynik miał ci się zdawać najmniej prawdopodobny. A ponieważ jestem człowiekiem logicznym, więc uważam, że każda próba powinna być wykonana ściśle. To znaczy tak, jak tego twoja religia wymaga.



Siostra Maria Bernarda Soubirous



Bóg zachował ciało św. Bernadety nienaruszone



Będąc na twoim miejscu poszedłbym do spowiedzi, napisałbym do Lurd z prośbą o przysłanie wody i spróbowałbym jej siły.

Rozmowę tę prowadziliśmy w jego mieszkaniu.

— Sam pisać nie możesz — dodał — ale podyktuj mi, a ty tylko podpiszesz. O, mam już pióro i papier — czekam.

Był to po prostu przymus, któremu uległem. List do proboszcza w Lurd został tegoż wieczora wysłany. Po kilku dniach, gdy wracałem do domu z przechadzki, portier zatrzymał mnie i zawiadomił:

— Jest tu dla pana jakaś skrzyneczka z poczty.

Była to właśnie woda z Lurd. Doznałem dziwnego wzruszenia i nie mogąc zdobyć się na odwagę otworzenia skrzynki wyszedłem do mego przyjaciela.

— Woda już nadeszła — powiedziałem mu. — Mam ją u siebie, lecz nie rozpieczętowałem przesyłki. A wiesz dlaczego? Oto po prostu boję się obowiązków, jakie by włożyło na mnie to uzdrowienie. Gdyby mnie uleczył lekarz, to zapłaciłbym mu honorarium i sprawa byłaby załatwiona; nie pozostałbym dłużnikiem. Ale pozostanę nim na zawsze wobec Boga, gdy uzdrowi mnie Swą łaską. Jeślibym doznał cudu, zaciągnąłbym obowiązek wyrzeczenia się wszystkiego i zmiany życia. A takim jestem tchórzem, że się tego boję. Sądysz może, że cofam się przed użyciem wody z Lurd w obawie, że cud nie nastąpi i że utracę ostatnią nadzieję ratunku? Mylisz się. Ja teraz się boję, że cud może nastąpić!

— Mogę tylko powtórzyć to — zagadnął przyjaciel — co ci już raz powiedziałem: Idź do spowiedzi.

— Dziwny z ciebie kalwin.

Pożegnałem go i prosto od niego poszedłem do księdza Ferranda, niegdyś mego spowiednika, z którym — niestety — już od dawna się nie widywałem. Nie było go w domu. Powiedziano mi, że wróci dopiero późnym wieczorem.

Mój wzrok tak osłabł, że musiałem iść ostrożnie i powoli, aby nie potracać przechodniów, których sylwetki widziałem jak przez mgłę. Świat zewnętrzny zarysowywał mi się coraz słabiej i może dlatego coraz silniej wzrastał świat wewnętrzny, w którym Bóg miał swoje miejsce, bom przecież wiary nie utracił. Pełen głębokich i poważnych myśli wróciłem powolnym krokiem do domu.

Ułomność ludzka szuka zawsze usprawiedliwienia dla własnych grzechów. Nie brakowało ich w moim życiu, więc jakże mogłem oczekiwać od Boga cudu, nie wzbudziwszy w sobie żalu? Pośród tych rozważań otworzyłem skrzyneczkę. Była w niej butelka z wodą i mała książeczka, której tytuł z trudem odcyfrowałem, z opisem objawień w Lurd. Pograżony w myślach, klęknąłem przy mym łóżku. Dawno nie odmawiane pacierze znalazły się nagle na moich ustach, a z serca płynęła gorąca, pokorna prośba.

Jakaś obawa wstrzymywała mnie od odkorkowania butelki przed spowiedzią, a jednocześnie popychała do tego gwałtowna chęć. Z ust wyrwała mi się modlitwa: „Boże wszechmogący, odpuść mi grzechy! A Ty, Bogarodzico, ulituj się nade mną! Usuń ślepotę mej duszy i mych oczu!”

Uczułem przypływ wiatry gorącej i silnej... odkorkowałem butelkę... ulałem wody na spodek i zamoczywszy w niej chusteczkę, przetarłem namiętnie nią czoło i oczy. Wszystko to razem trwało niecałą minutę.

Któż zdoła sobie zdać sprawę z uczucia, jakiego doznałem? Nie potrafię określić tego słowami; było to uczucie radości, graniczącej niemal z przerażeniem. Ledwie dotknąłem zwilżoną chusteczką mych powiek i otworzyłem oczy, wisząca przed nimi mgła znikła bez śladu błyskawicznie! Dzień był jasny, przedmioty wyraźne, widziałem najdrobniejsze szczegóły, tak jak przed rokiem. Uleczenie było zupełnie nagłe. Nie wierzyłem własnym zmysłom. Myślałem, że śnię. Ukląknąłem ponownie i dziękowałem Bogu.

„Jestem uleczony! jestem uleczony!” powtarzałem sobie nieustannie nie mogąc opanować radości i sięgnąłem po książkę do szafy. Nie! pierwszą, którą po tylu miesiącach wezmę do ręki, będzie ta, którą mi przysłano z Lurd. I zacząłem ją czytać. Czytałem znakomicie, tak jak dawniej. Z mego kalectwa nie pozostało ani śladu. Przeczytałem bez odpoczynku 104 strony, i gdy na 105 zamknąłem książkę, to tylko dlatego, że zapadał już zmrok.

Pierwszym człowiekiem, który się dowiedział o łasce mego uzdrowienia był nazajutrz rano ks. Ferrand w konfesjonale, drugim proboszcz z Lurd, do którego napisałem niezwłocznie, a trzecim mój przyjaciel. Czyż mam tu dodać, że moje uzdrowienie było drogą, którą Bóg wywiódł go z błędu i przyprowadził do Kościoła?

Od tego czasu mija już siódmy rok. Wzrok mam doskonały. Oby mi Bóg pozwolił używać go dla służenia tylko Dobru.

XXXIII

JESZCZE JEDEN CUD

A oto drugi epizod, który poznałem szczegółowo w związku z moim własnym uzdrowieniem. Oczywiście, że w parę dni po odzyskaniu wzroku poszedłem opowiedzieć o tym memu okuliście, doktorowi Giraud, który nie mógł wyjść z podziwu. Zaproponował zbadanie mnie, na co zgodziłem się chętnie. Przez jakieś skomplikowane szkła zaglądał mi w głębię żrenic i wreszcie powiedział.

— Nie, to nie do uwierzenia! Oczy pańskie są zupełnie zdrowe, nie ma w nich ani śladu tych zmian chorobowych, które stwierdziłem poprzednio i wobec których medycyna jest bezsilna.

W dalszym ciągu rozmawialiśmy o uzdrowieniach w Lurd, przy czym zacytowałem mu kilka z nich, opisanych w świeżo otrzymanej książce.

— A czy nie spotkał się pan w niej z nazwiskiem rotmistrza Lacassagne (Lakasań)?

— Nie. Ale rotmistrza Lacassagne znam dobrze. Cóż się z nim stało?

— Kolega mój, dr Gintrac (Żetrak) z Bordeaux (Bordo) leczył jego synka. Właśnie, będąc w Paryżu przed kilku dniami, opowiadał mi, że była to choroba nieuleczalna i że nagle uleczenie nastąpiło w Lurd. Jest to fakt zupełnie świeży, więc może dlatego nie ma o nim wzmianki w pańskiej książce.

Wiadomość ta bardzo mnie zainteresowała. Rotmistrz Lacassagne, ranny pod Magenta, przeszedł na emeryturę i otrzymał jakąś posadę rządową na prowincji. Minęło pięć lat, zanim miałem sposobność wybrać się do niego. A postanowiłem to zrobić, aby skompletować wiadomości do niniejszej książki. Udałem się więc do Bordeaux, gdzie p. Lacassagne sprawował urząd naczelnika komory celnej.

Gdy mu powiedziałem o celu mych odwiedzin, na marsowej twarzy byłego kawalerzysty odbił się jakiś rzewny wyraz.

— Mogę to panu opowiedzieć jak najdokładniej — odrzekł — bo każdy szczegół tego przeżycia pozostanie mi na zawsze w pamięci. Nie puszcze pana przed obiadem, więc pozna pan naszego Julka i sam się pan przekonaj, jaki to dobry i słodki chłopiec. Wtedy pan pojmie, w jakiej rozpaczycie żona i ja żyliśmy wobec grozy utraty syna. To było przed siedmiu laty. Ośmioletni wówczas Juleczek zakaszał się raz przy obiedzie.

— Mateczko, coś mi się stało — zawołał przerażony — nie mogę łykać.

Zdawało się nam, że to było zwyczajne zakrztuszenie, zdarzające się u dzieci. I rzeczywiście minęło ono po kilku łykach wody. Lecz po paru dniach powtórzyło się to znowu i zaczęło powtarzać się coraz częściej. Mieszkaliśmy wówczas w Tuluzie, gdzie dr Nogues (Nog) miał sławę znakomitego lekarza. Zwróciliśmy się więc do niego. Po zbadaniu dziecka zaopiniował, że są to nerwowe skurcze przełyku i zalecił hydropatię (leczenie wodą). Ale mimo to trudność przełykania powtarzała się coraz częściej i wzmagala się coraz bardziej.

Drugi lekarz, przyzwany na konsultację specjalista laryngolog, potwierdził diagnozę dra Nogues i uspokajał nas, że to minie bez śladu. Tymczasem nie mijało, lecz pogarszało się szybko pomimo wyjazdów do wód kąpieli morskich i wszelkich starań lekarzy. Wreszcie skurcze przełyku stały się nieustanne i chłopczyk mógł odżywiać się jedynie zupami. Matka przygotowywała mu je odpowiednio pożywne, lecz okazało się, że trzeba je było robić coraz rzadsze, bo łykanie stawało się coraz bardziej utrudnione.

Julek mizerniał, bladł i stopniowo tracił siły. Żyliśmy w ciągłym strachu o jego życie, szukając daremnie pomocy u najslawniejszych powag lekarskich w Paryżu. Konsultowany tam profesor Larmel, zbadawszy przełyk sondą, stwierdził obecność jakichś narośli i stwardnień, a zapytany przeze mnie o widoki wyleczenia, powiedział:

— Nie twierdzę, żeby to cierpienie było beznadziejne. Ale synek pański jest poważnie chory. Można by w ostatecznym razie spróbować operacji, **lecz tego bym nie radził.** Pozostaje więc tylko odżywianie sztuczne.

W hotelu, w którym zatrzymaliśmy się wtedy w Paryżu, były w czytelni rozmaite gazety. Juleczek przeczytał w jednej z nich korespondencję z Lurd. O ile sobie przypominam był to dziennik „L'Univers“.

— Matuchno — powiedział — mnie się zdaje, że i mnie Najświętsza Panna tam uleczy.

Puściliśmy to mimo uszu. Nie z powodu braku wiary, bo i żona moja, i ja jesteśmy religijni. Ale jest to taka sobie religijność z przyzwyczajenia; a przynajmniej taką wtedy była a więc niedostatecznie głęboka, aby wierzyć w cuda. Słowem — religijność przesiana przez sito naszego wieku. Dziwiła nas nawet pobożność Juleczka, jaką odznaczał się od najwcześniejszych lat swego dzieciństwa. Od nas bowiem nie miał przykładu.

Nie myślałem więc o Lurd, lecz o zwróceniu się jeszcze do jednego lekarza, którego nam w Paryżu polecono i nazajutrz poszedłem z Juleczkiem do niego. Potwierdził w całości diagnozę dra Larmela, a tylko wyraźniej od niego podkreślił nieuleczalność cierpienia. Trwało ono już od osiemnastu miesięcy i chłopiec nasz tak był mizerny i wycieńczony, że z przerażeniem patrzyłem w jego oczy z każdym dniem większe w twarzyczce coraz drobniejszej i bledszej.

Wróciwszy do Tuluzy zastałem w domu nominację na wyższe stanowisko do Bordeaux, gdzie dotąd pozostaję. Miałem polecenie objęcia niezwłocznie nowej pracy. Przenieśliśmy się więc w ciągu tygodnia. W doktorze Gintrac w Bordeaux znalazłem nie tylko znakomitego lekarza, znanego zresztą w całej Francji, ale i życzliwego przyjaciela. Pogląd jego na cierpienia Julka był ten sam co lekarzy paryskich. Odwiedzał nas często i zapisywał różne środki wzmacniające, aby chłopca jak najdłużej utrzymać przy życiu, ale nie przyjmował honorarium.

— Za co? — mówił — przecież uleczyć go nie jestem w stanie.

Minęło jeszcze pół roku i przelyk zwięźał się do tego stopnia, że płyny tylko kroplami powoli przechodziły. Badanie sondą stwierdziło, że otwór jest już nie większy jak grubość szpilki. Odżywialiśmy Julka tylko drogą sztuczną. Ale cóż to za życie?

— Widzisz, ojczulku — powiedział pewnego razu — że mi nikt pomóc nie może. Nawet i pan Gintrac, chociaż taki sławny lekarz i taki dobry. A Najświętsza Panna na pewno pomoże. Tylu ludziom pomogła, dlaczegożby nie chciała i mnie uzdrowić? Ja wiem na pewno, że Ona nie odmówi, bo się do Niej co dzień modlę i bardzo Ją kocham.

Łzy zakreściły mi się w oczach.

— Nie ma co: jedziemy — powiedziałem do żony — przygotuj się tak, abyśmy już pojutrze mogli pojechać.

Julek uradował się niezmiernie. Tego samego dnia powiedziałem o naszym postanowieniu Gintracowi.

— Ha, cóż? Jedźcie, skoro mały tak tego pragnie. Ale ogromnie mi żal tego pocziwego dziecka, bo czeka go straszne rozczarowanie. Gdyby chodziło o jakieś cierpienie nerwowe, to wiara uzdrawia. Ale to jest, niestety, sprawa organiczna. Przy ostatnim badaniu sondą wyczuwałem jak najwyraźniej twarde, rogowate chropowatości, które zamykają światło przelyku,

Dziwna rzecz, ale tym razem pesymizm lekarza nie przygnębił mnie. Przeciwnie, wstąpiła we mnie nadzieja, że stanie się cud. I wieczorem oboje z żoną modliliśmy się, żeby to Bóg uczynić raczył.

W prowiancie, któryśmy zabrali na drogę, było pudełko biszkoptów. Kupiłem je na dworcu i włożyłem do kieszeni palta. W Tarbes zatrzymaliśmy się w hotelu Duponta (Dipa), gdzie portier i służba, zauważywszy mizerność Juleczka, domyślili się od razu celu naszej podróży. Pocziwi ci ludzie, ujęci jego słodyczą, otoczyli go pieśczętami.

— Jakżeby Najświętsza Panna nie miała uzdrowić takiego dobrego i pobożnego dziecka? — mówili. — Uzdrowi na pewno, uzdrowi... uzdrowi... Będziemy się do Niej modlili.

A w moich myślach przebiegały tymczasem na przemian: to wiara w cud, to straszliwa wątpliwość, to modlitwa. Oczekiwałem chwili, która miała nadejść, i bałem się jej jednocześnie. Nie potrafię tego wyrazić. Był to lęk przed grzechem własnych wątpliwości.

Msza św. zaczęła się właśnie, gdyśmy nazajutrz w Lurd wchodzili do krypty zbudowanej nad Grotą. Julek klęknął u stopni ołtarza i modlił się gorąco, a w jego wielkich oczach malowała się wiara tak głęboka, że zwróciło to uwagę kapłana, który po odprawieniu Mszy św. wyszedł natychmiast z zakrystii i zbliżył się do nas. Przyszła mu szczęśliwa myśl, jaką zaraz podzielił się z nami, a gdyśmy ją przyjęli z radością, zapytał Juleczka wciąż jeszcze wpatzonego w ołtarz.

— Może byś chciał, moje dziecko, abym cię poświęcił Najświętszej Pannie?

— O, tak! bardzo, bardzo bym chciał!

I ksiądz natychmiast dokonał tego aktu, bardzo prostego w swej formie.

— A teraz, ojczulku, zobaczysz — powiedział Julek — będę zdrow.

Lecz nagle zbladł i zrobiło mu się słabo. Niestety od pewnego czasu zdarzało mu się to coraz częściej i żona moja zawsze miała przy sobie lekarstwa przepisane na ten wypadek przez dr Gintraca. Posadziliśmy więc synka w ławce i dano mu łyżeczkę owej walerianowej mikstury, której przełknięcie trwało dobrą minutę, bo płyn tylko kroplami przedostawał się przez zwężony przełyk.

— Lepiej ci już aniołku?

— Lepiej, mateczko, chodźmy.

I weszliśmy powoli do Groty. Julek klęknął tam przed posągiem Bogarodzicy. Nigdy nie zapomnę jego natchnionej twarzyczki ani bicia serca, jakie mną wstrząsało, gdyśmy się potem zbliżyli do Źródła. Pomyśl pan, przecież ta chwila rozstrzygnąć miała o życiu lub śmierci mego dziecka.

Julek dłonią zamaczaną w cudownej wodzie wytarł sobie szyję i piersi. Potem nabrał wody w szklanekę i podniósł do ust, i — czy uwierzy pan? — wychylił ją duszkiem! Jeszcze pięć minut temu lekarstwo przesączało się tylko kroplami.

Namacałem w kieszeni palta owe biszkopty, kupione na drogę, o których zapomniałem. Z niepokojem wyciągnąłem jeden z nich.

— No, Juleczku, masz, spróbuj. Tylko ostrożnie.

— Ale jakie tam „ostrożnie“! — mówił dalej pan Lacassagne, żyjący

dotąd radością tego wspomnienia — takie tam „ostrożnie!” Julek ugryzł porządny kęs i przełknął gładko, jakby od dwóch lat nigdy nic innego nie robił! Był uzdrowiony! uzdrowiony w moich oczach w ciągu jednej minuty. Nie, źle mówię, to trwało tyle czasu, ile go trzeba Bogu na wypowiedzenie słów: „Bądź zdrów.”

Pięć lat minęło od owego czasu. Straszliwa choroba nie pozostawiła po sobie żadnych śladów. Zresztą sam pan zobaczy.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, gdy otworzyły się drzwi i zobaczyłem Julka, który wrócił ze szkoły. Jest to piętnastoletni, wysoki i barczysty chłopiec, ślicznie rozrośnięty, o zdrowej cerze i mądrych oczach. Corocznie odbywa pielgrzymkę do Lurd, by się tam pokłonić Niepokalanej.

XXXIV

NADSZEDŁ DZIEŃ UROCZYSTY

Ale i my tam wróćmy.

Czas biegł i biegła ludzka praca, woła Boga i błogosławieństwem Najświętszej Panny kierowana. Dzikie pustkowia otaczające Grotę zmieniało swój wygląd z dnia na dzień. Nad Grotą wyrastać zaczęła na skale z napływających zewsząd składek wspaniała świątynia. Miejsce desek, którymi kiedyś p. Jacomet zamknął wejście do Groty, zajęły teraz pięknie z żelaza wykute sztachety z szeroką furką. Do Groty wiodą wysadzone akacjami aleje wśród kwiatnych trawników. Grotę, której nisze uświęciła Bogarodzica dotknięciem swej stony, oświetlają dzień i noc szeregi płonących świec, a u jej sklepienia zwiesza się złota, artystycznie wykonana lampa.

Wśród rzesz robotników wznoszących mury świątyni zacny i dzielny ks. Peyramale ima się niejednokrotnie pracy fizycznej. Stary Bourriette, pierwszy, którego Najświętsza Panna uzdrowiła, niósł w ofierze ku Jej chwale codziennie cztery godziny pracy. Któregoś dnia poprawił cegłę trochę krzywo ułożoną przez Proboszcza i uśmiechnął się pod wąsem. Uśmiechnął się i ksiądz:

— No, i cóż tak sobie podrzewiacie, ojciec Bourriette, możem gorszy od was murarz?

— Gdzieżbym znów śmiał? Kazania, to bym chyba i dwóch słów nie skleił, ale cegły to równie i bardziej fachowo od dobrodzieja ułożę.

Radośnie, wesoło i ochoczo było przy tej zbożnej pracy, którą z objawienia Najświętszej Panny wyprorokowała Bernadeta. Zawsze cicha, potulna i skromna starała się, o ile można, chować się przed ludźmi, którzy przybywając do Lurd, chcieli ją widzieć: zatykała rączkami uszy, by nie słyszeć, kiedy lud nazywał ją świętą.

Raz jednak musiała się poddać zwróceniu na siebie uwagi. I ten jeden

raz zrobiła to chętnie, bo ku chwale Tej, której obraz pozostał na zawsze w jej duszy. W myśl projektu ks. Peyramale stanąć miał posąg Najśw. Panny w owej skalnej niszy, w której ukazała się pastuszce. Wykonanie owej rzeźby, naturalnej wielkości, z kararyjskiego marmuru, powierzono znakomitemu artyście, Fabiszowi¹. Chodziło tu nie tylko o artyzm, ale oczywiście i o to, aby posąg, wyobrażając Bogarodnicę, odpowiadał Jej Postaci jak najskrupulatniej we wszystkich szczegółach. A te знаła jedna tylko Bernadeta.

Zgodnie więc z decyzją ks. Peyramale i z żądaniem artysty była tu jej pomoc konieczna. W reprodukcjach rozmaitych obrazów, które Fabisz pokazywał Bernadecie, starała się ona odnaleźć poszczególne rysy, z których artysta mógł odtworzyć najlepiej odpowiadającą całość Oblicza.

— Słuchaj błogosławiona dziewczeczko — powiedział Fabisz — i staraj się mnie zrozumieć. Żeby odtworzyć pedzlem lub dłutem wierne podobieństwo tej Rzeczywistości, którą ty widziałas, musiałbym doznać tej samej co i ty łaski. Mogę więc przy twojej pomocy wyobrazić sobie w myśli tylko podobieństwo przybliżone. Musisz tedy być wyrozumiała i nie wymagać ode mnie zbyt wiele, a dawać mi takie objaśnienia, abym cię możliwie najlepiej zrozumiał.

Artysta był wprost zdumiony, że ta wiejska pastuszka tak dobrze pojęła jego instrukcję i tak inteligentnie umiała orientować się w szczegółach szkiców, które przy niej węglem rzucał na kartony.

Gdy chodziło o szaty, układ fałd, różaniec, o uczesanie, o pozycję rąk — sprawa była łatwiejsza. Ale największą trudnością było opisanie tego pełnego dobroci uśmiechu, którym Najświętsza Panna darzyła Bernadetę, i tego wyrazu niebiańskiego szczęścia, gdy wymawiała swoje Święte Imię. Jak opisać go artyście? Jak wy tłumaczyć? Tego wyrazu nie było w żadnym z dzieł mistrzów, których reprodukcje miał Fabisz w swej tece. Może .., może jakiś ślad takiego uśmiechu był w Niepokalanej Murilla... ale to jeszcze nie to.

— Więc może byś ty sama spróbowała uśmiechnąć się i spojrzeć podobnie — proponował rzeźbiarz.

— Ja???

I niemal przerażenie było w głosie Bernadety. Już nieraz ją o to proszono, ale uważała to za świętokradztwo. Tym jednak razem ks. Peyramale, obecny przy rozmowie, wyjaśnił pastuszce, że nie będzie to grzechem. Przeciwnie, trzeba, żeby posąg możliwie jak najwierniej odpowiadał prawdzie w takich granicach, w jakich dzieło ludzkie może dać o Niej wyobrażenie.

— Więc dobrze, spróbuje.

Wzięła różaniec w dłonie, złożyła ręce do modlitwy, wzniosła wzrok ku niebu i w rysach jej, w oczach, w całej postaci, zarysowało się coś niezwykłego.

Bernadeta miała wówczas twarzyczkę miłą i słodką, o dziecięcych, z ufnością patrzących oczach. Pięknością nikt by jej jednak nie nazwał

¹ Fabisz był z pochodzenia Polakiem.

Lecz to, co się w niej teraz odmalowało, uczyniło na artystę potężne wrażenie. Opowiadając o tym powiedział:

— Nigdy nie widziałem nic równie pięknego. Żadna z postaci Perugina (Perudżina), Fr. Angelico (Andżeliko), czy Rafaela, nie ma takiego wyrazu słodczy, szczęścia i głębokiej wiary, jaki ujrzałem w rysach i oczach tej pastuszki.

Od orzeczenia ks. biskupa Laurence i potwierdzenia go przez Ojca św. upłynęło już dwa lata. Roboty przy budowie Bazyliki były już daleko posunięte, a przy Grocie — ukończone. Pielgrzymki przybywały tu zewsząd, ale objęcie tych miejsc w posiadanie pragnął Kościół uczcić uroczystością godną Władczyni, która je uświęciła. Miało to miejsce dnia 4 kwietnia 1864 roku po ustawieniu Jej posagu, którego poświęcenia dokonał w tym dniu ks. biskup Laurence.

Jakiś huragan szalejący w pirenejskich wąwozach napędzał chmury i deszcze przeciągały przez Lurd codziennie od tygodnia. Nie były to wielkie ulewy i nie przeszkadzały w robotach, ale niebo było wciąż szare i posepne, co w tych stronach zdarza się rzadko. Smuciło to ludność czyniącą przygotowania do uroczystości. Ale oto na dwa dni przed oznaczoną datą zerwała się jakaś burza, co porozpędzała chmury i strop niebieski zajaśniał pogodnym lazurem, błogosławiąc ziemi radosnym błękitem. Powietrze pachniało zielenią i młodymi pekami kwiatów. Ludność okoliczna zносиła je ze swych łąk i ogrodów pełnymi koszami. Wszystkie ulice miasta i drogi wiodące do Groty były nimi pokryte. Girlandy pokrywały ściany wszystkich domów. Bramy triumfalne, powiewające pekami białych i błękitnych wstąg wśród kwiatnych festynów, ozdabiały drogę od parafialnego kościoła miasta aż do Groty.

Tędy szła procesja — pierwsza z tych niezliczonych, które Najświętsza Panna kazała Bernadecie wyprorokować. Doliny i góry rozbrzmiały dzwonami wszystkich kościołów i kaplic całej diecezji. Wojsku przypadł zaszczyt otwarcia pochodu i mosiądz tręb zadzwonił hymnem na chwałę Maryi. Gdy ucichnął, odpowiedziała mu pobożna pieśń płynąca ku niebu z sześćdziesięciu tysięcy piersi. Były tam wszystkie religijne kongregacje, bractwa, stowarzyszenia z Dziećmi Maryi na czele; delegacje wszystkich męskich i żeńskich zakonów, wszystkich korporacji i stowarzyszeń zawodowych, delegacje wszystkich szkół i płynący dwoma szeregami nieprzebrany tłum pielgrzymów ze wszystkich zakątków świata. Środkiem tych dwóch szeregów szedł w otoczeniu duchowieństwa ks. biskup Laurence w szatach pontyfikalnych, błogosławiąc tłumom.

Trudno odmalować słowami imponujący obraz tej procesji, tej fali wiary, nadziei i miłości, płynącej ku stopom Najświętszej Panny. Po tylu trudach i walkach z przeciwnościami nadszedł wreszcie dzień uroczystego triumfu świętej sprawy. Łzy radości spływały po twarzach ludzi, gdy przy poświęceniu posagu, bielejącego w ukwieconej skalnej niszy, pochyliły się tysiące sztandarów.

Jakaż radością wezbrałyby na ten widok serca dwojga istot, których imiona przypominają wciąż karty tej książki! Nie było im jednak dane oglądać tego święta. Nie było ich w procesji.

Zacny ks. Peyramale, powalony chorobą na swe twarde żołnierskie łóżko, nie mógł nawet dowlec się do okna, by choć z dala widokiem procesji wzrok swój ucieszyć. Słyszał tylko śpiewy i wplatał w nie modlitwę, którą szeptały jego usta spieczone gorączką. Również i Bernadetę przykuło cierpienie do nędznego szpitalnego łóżka. Chciano przyjść jej rodzicom z pomocą, by mogli leczyć ją w domu, lecz nawet i tego nie pozwoliła im pastuszka przyjąć. Cierpienie swoje przyjęła z pokorą i słodyczą, dziękując za nie Bogu; a gdy odgłosy procesji odbijały się echem o ściany szpitala, dźwięczało w nim dla niej echo słów, które w Grocie słyszała z świętych ust „Pani”.

XXXV

TRIUMF MAŁEJ PASTERKI

Książkę pisaną w 1869 roku zamyka Lasserre wspomnieniem czcigodnej postaci ks. Peyramale, który powróciwszy do zdrowia prowadził dalej swoją zbożną pracę, i wspomnieniami o Bernadecie, która w 1867 roku wstąpiła do zakonu Sióstr Miłosierdzia w Nevers.

Dalsze o niej wspomnienia podają liczni autorzy późniejsi, jak nawrócony ateista Bruisserd (Brüser), dr Boissarie, (Buasari). Petit (Peti), Veuilot, ks. kanonik Bérenger (Beranze) i wielu innych. Jedni z nich znali Bernadetę osobiście, inni czerpali swe wiadomości z roczników Lurd i z publicystyki współczesnej. Dzienniki nie przestały bowiem zajmować się pastuszką nawet i wtedy, gdy się już przeniosła do Nevers i została tam siostrą Marią Bernardą. Pomimo faktów stwierdzonych duch wolnomyślicielstwa nie mógł się z nimi pogodzić. Ta rzekoma „wolność” myśli jest jej ograniczeniem, bo zabrania jej sięgać poza granice praw materii i płytkiego rozumowania.

Widzenia Bernadety nazywali więc wolnomyśliciele najpierw kłamstwem, potem halucynacją, a gdy wstąpiła do zakonu, zaczęto utrzymywać, że dostała obłędu. Dziennik „Le Siècle” twierdził, że „księża zamknęli ją w klasztorze, ponieważ ujawnienie jej obłąkania rzuciłoby niepożądane światło na owe widzenia, które były początkiem umysłowej choroby”.

Ten obelżywy dla duchowieństwa fałsz zmiażdżył w dzienniku „L'Univers” publicysta E. Artus (Arti) w następujących słowach: „Publiczne głoszenie rzeczy niezgodnych z prawdą, jest zbrodnią społeczną. Ogół nie ma bowiem czasu ani możliwości ich sprawdzania i zostaje wprowadzony w błąd. Oświadczam gotowość złożenia 10.000 franków do dyspozycji redakcji «Le Siècle», jeśli udowodni prawdziwość swego twierdzenia

Mam nadzieję, że i ona zechce złożyć taką kwotę na biednych, jeśli twierdzenie okaże się kłamstwem."

Skończyło się to oczywiście skandaliczną kompromitacją wolnomyslniejskiej gazety. Z obydwoma bowiem artykułami zapoznał się dr Sain-teyr i ogłosił w pismach list datowany 3 września 1872 roku:

„Jako prezes Izby Lekarskiej w Nevers i lekarz naczelny tutejszego szpitala, mam od pięciu lat sposobność stykania się niemal codziennie z Bernadetą Soubirous, obecnie siostrą Marią Bernardą, która w charakterze pielęgniarki opiekuje się moimi chorymi. Nie była ona nigdy umysłowo chora, lecz przeciwnie, jest osobą bardzo równego i spokojnego usposobienia. Jest pielęgniarką bardzo inteligentną, roztępną i pełną poświęcenia. Znam ją jako osobę głęboko religijną, lecz nie ma w tym żadnej chorobliwej egzaltacji."

Ten list, charakteryzujący Bernadetę w wieku dojrzałym, uzupełnia jej sylwetkę z lat młodocianych. Nie uległa ona zmianie. Z Lurd przyszła za Bernadetą do Nevers sława świętości i ludzie cisnęli się do niej, by wyrażać jej swe uwielbienie. Jak dawniej, tak i teraz unikała tego, jak mogła i prosiła matkę przełożoną, by jej nie kazała wychodzić do odwiedzających. Skutkiem słabej budowy fizycznej i trudów ponad siły zapadała trzykrotnie na zdrowiu. Za drugim razem, a było to 1876 roku, obawiano się poważnie o jej życie. Któregoś dnia po zbadaniu chorej, leczący ją dr Servent powierzył szeptem matce przełożonej swoją obawę:

— Wątpię, aby do jutra dożyła.

Ale Bernadeta dosłyszała i uśmiechnąwszy się do obecnych, zasmuconych tym wyrokiem, powiedziała:

— Nie będę żyła długo, ale teraz nie umrę.

Dr Servent, który był człowiekiem głębokiej wiary i podobnie jak wszyscy uważał Bernadetę za świętą, potwierdził jej słowa poważnym ruchem głowy, pomimo że przeczyły jego przewidywaniom:

— Ona wie lepiej od nas.

Istotnie, kres życia Bernadety nadszedł dopiero 16 kwietnia 1879 roku. Była wtedy tak osłabiona, że ją podpierano, gdy przyjmowała Hostię, bo w pozycji siedzącej nie mogła utrzymać się o własnych siłach. Lecz w pół godziny potem uniosła się sama, złożyła dłonie i wyszeptała:

— Matko Przenajświętsza, módl się za mną, biedną grzesznicą!

W tejże chwili jej blada twarz zaróżowiła się i opromienił ją uśmiech:

— Będę Ją znów widziała! Idę do Jej stóp!

I martwa opadła na poduszki.

Po trzydziestu latach, 22 września 1909 roku, dokonano ekshumacji zwłok Bernadety. Jej ciało było nienaruszone.

Świętość Bernadety, jaką wyczuł od pierwszej chwili ksiądz Peyramal i ci wszyscy, co ją widzieli w Grocie, potwierdził Ojciec św. Pius XI, ogłaszając 8 grudnia 1933 roku dekret kanonizacyjny.

Była wybrana. A łaska Swoja obdarzył ją Bóg po to, by w duszach ludzkich rozniecić kult Niepokalanej, która prowadzi je do Niego.

POSŁOWIE

Sto lat już mija od wypadków, opisanych przez Henryka Lasserre'a i wielu innych autorów. Wielkie to były wypadki, „jedne z najbardziej zadziwiających, jakie od czasów ewangelicznych wydarzyły się na korzyść nadprzyrodzoneści” (G. Betrin). Sama Niepokalana, Matka Boża, raczyła zstąpić z nieba na ziemię, by potwierdzić dogmat swego Niepokalanego Poczęcia, by rzucić dla ratowania świata apel pokuty i modlitwy, i tak zainaugurować nową erę — maryjną.

LURD WCIAŻ AKTUALNE

Zdawało się jednak, że i tak wielki fakt, jak interwencja maryjna w Lurd, przejdzie tylko do historii i pokryje się pyłem zapomnienia, a przypominać go będą tylko jubileuszowe — rocznice. Tymczasem o Lurd wciąż głośno i to nie tylko w obozie katolickim. A głośno nie tyle z powodu coraz to nowych i licznych dzieł, odtwarzających wypadki z przeszłości (ostatnio ukazała się doskonała praca historyczna prałata F. Trochu, nagrodzona przez Akademię Francuską), co — z trwającego nadal faktu. „Lurd — oświadcza dr Boissarie — to nie tylko fakt historyczny, ale fakt aktualny, który każdy może studiować, obserwować i kontrolować przy świetle dziennym.” „Cud Lurd — dodaje kard. Pie — jest w stanie permanentnym.”

Kiedy w 1930 r. O. Maksymilian Kolbe zajrzał do Lurd, by uprosić sobie błogosławieństwo dla pracy misyjnej, to dzieląc się wrażeniami stwierdził: „W grocie znać działanie Niepokalanej.” Podobne wrażenie odnosi niemal każdy. Przed paru laty kard. van Roey, prymas Belgii, pisał: „Lurd, podczas mego krótkiego w nim pobytu, ukazało mi się jako fakt czyniący głębokie wrażenie, niewątpliwie jedyny w historii Kościoła. Niemożliwe jest, by nie odczuć tu jakiejś obecności, obecności niewidzialnej, lecz rzeczywistej... Żaden z pielgrzymów, którzy przybywają do Lurd, nie może się oprzeć wrażeniu, że tu dotyka się niemal namacalnie nadprzyrodzoneści. Dziewica Niepokalana zdaje się tu uchylać rąbek nieba i spuszczać łaski Boże na biedny nasz świat.”

Najbardziej zdumiewają w Lurd cudowne uzdrowienia. Słynny przyrodnik dr Alexis Carrel, laureat Nagrody Nobla, w swym ostatnim dziele pt. *Réflexions sur la conduite de la vie* — *Refleksje nad prowadzeniem życia* (wydanym po jego śmierci w 1950 r.) pisze: „Choć niepojęte są te zjawiska, jednak jesteśmy zmuszeni przyjąć ich rzeczywistość. Biuro Orzeczeń Lekarskich w Lurd zarejestrowało ponad 200 wypadków gruźlicy, ślepoty, zapalenia szpiku kostnego, raka i innych chorób organicznych, z których uzdrowienie niemal nagle jest niezbite. Jesteśmy tu na terenie pewnym. Człowiek ma potrzebę pomocy, modli się, pomoc przychodzi. Jakiegokolwiek będzie przyszłe tłumaczenie tego faktu, pozostanie on wiecznie prawdziwy.” Prezes Biura Lekarskiego w Lurd dr F. Leuret informuje, że Biuro to od początku swego istnienia wydało około 1.500 do 2.000 orzeczeń o uzdrowieniu, z czego 48 wypadków

po głębszym zbadaniu zostało uznanych przez Władzę kościelną za cuda. Badania te, prowadzone w sposób ściśle naukowy, odbywają się dziś w trzech stadiach, najpierw w Biurze Lekarskim i Badań Naukowych w Lurd, gdzie co roku przewinie się ok. 1.500 lekarzy (w tym wielu niekatolików), potem w Narodowej Komisji Lekarskiej w Paryżu, złożonej z powag świata medycznego Francji, wreszcie w Komisji Kanonicznej, złożonej głównie z teologów. Nie ma faktu historycznego ustalonego w sposób bardziej pewny i łatwy do skontrolowania, jak te cudowne uzdrowienia.

Na pewno zaciekawia wszystkich wypadki z ostatniej chwili (oczywiście, z opóźnieniem paroletnim, gdyż nie ogłasza się ich oficjalnie przed ostatecznym wynikiem badań). Podaje je «*Journal de la Grotte Lourdes*» (Dziennik Groty Lurdzkiej) i najnowsze dzieło o Lurd, np.: dr F. Boissarie, *Lourdes — médecine et guérisons — Lourdes — medycyna i uzdrowienia* (wyd. w 1952 r.), dr F. Leuret i dr H. Bon, *Les guérisons miraculeuses modernes — Nowoczesne uzdrowienia cudowne* (wyd. w 1950 r.) W 1948 r. Biuro Lekarskie w Lurd wzięło pod uwagę 83 wypadki uzdrowień, z czego 10 jako nadzwyczajne przesłało do Komisji Narodowej, a ta w 1949 roku uznała tylko 3 za takie, co do których nie ma „żadnego wyjaśnienia naturalnego czy naukowego“. Są to uzdrowienia: Gerarda Baillie — ze ślepoty, Marii Canin — z gruźlicy, Róży Martin — z raka. W 1949 r. Biuro Lurdzkie zbadało bliżej 73 wypadki uzdrowień, do Paryża przesłało 11, a tu (w 1950 r.) przyjęto 2, mianowicie uzdrowienia pani Gibault — z głuchoty całkowitej i Joanny Fretel — z gruźlicy. W 1952 r. jedno spośród znanych mi sprawozdań Biura Lurdzkiego, dotyczące uzdrowienia pułkownika Pellegrin z ropnia wątroby, a przyjęte jednomyślnie przez całą komisję, złożoną z 29 lekarzy, kończyło się słowami: „Czy jest możliwe wyjaśnienie lekarskie tego uzdrowienia? Odpowiedź: Nie. Czy uchyla się ono spod praw naturalnych? Tak.“ Od czasu do czasu, np. w ostatnim wypadku, ukazuje się dekret biskupi o charakterze cudownym któregoś z tych uzdrowień.

Dla przykładu przytoczę wypadek panny J. Fretel z Rennes, uzdrowionej 8 października 1948 r. Przybyła ona do Lurd w Pielgrzymce Różańcowej 5.7.1948 r., mając następujące orzeczenie lekarskie: „Gruźlicze zapalenie otrzewnej. Chora przeszła 7 zabiegów brzusznych. Od 3 lat jest obłożnie chora, odżywia się mało, a bóle brzuszne zmuszają ją do niemal całkowitego bezruchu.“ Przez trzy pierwsze dni pielgrzymki, 5, 6 i 7 nie przestawała wymiotować i cierpieć. Dawano jej często morfinę. 8 października przeniesiono ją na Mszę św. o godz. 7.30 przed ołtarz św. Bernadety, gdzie poczuła się lepiej zaraz po Komunii św. Spożyła potem kawę z mlekiem i już jej nie zrzuciła. Kiedy zaprowadzono ją do Groty, spostrzegła, że opadła nagle nabrzmiałość brzucha. Siada sama na noszach i wraca do szpitala na śniadanie. Je dobrze, jak inni, czego nie było u niej od 10 lat. Po południu bierze kąpiel w sadzawce. Wieczorem je z apetytem obiad i łatwo zasypia. O godz. 23 budzi się czując głód, spożywa trochę chleba, masła i konfitur i znów zaraz zasypia. Nazajutrz rano udaje się do Biura Lekarskiego. Badają ją wszyscy obecni lekarze i orzekają, że wszystkie

objawy choroby, jakie stwierdzały przedłożone dokumenty, znikły. Odzyskała apetyt. Chodzi bez zmęczenia, podczas gdy od 17.X.1945 r. nie mogła się podnieść. Lekarze podejmują następującą decyzję: „Ogromne polepszenie — może całkowite uzdrowienie — do zachowania na rok 1949”. W roku następnym panna Fretel wraca do Biura Lekarskiego z pełną dokumentacją jej uprzedniej choroby. Jej lekarz zaświadcza, że po powrocie z Lurd w 1948 r. już nie chorowała, co więcej, nazajutrz po swym powrocie w październiku 1948 r. na nowo podjęła swą pracę w szpitalu. Wstaje o godz. 5.30 i kładzie się do snu ok. godz. 23. Lekarze wówczas oświadczają, że u p. Fretel istniała gruźlica otrzewnej połączona z ogólnym wycieńczeniem, że wszystkie objawy choroby natychmiast znikły bez użycia lekarstw i że nie można dać żadnego lekarskiego wyjaśnienia uzdrowienia. Wynik ten przesłano Narodowej Komisji Lekarskiej, a potwierdzony przez nią Komisji Kanonicznej i kardynałowi Roques, arcybiskupowi Rennes, który potem wydał orzeczenie, że „uzdrowienie panny Fretel jest cudowne i winno się je przypisać specjalnej interwencji Bożej, za przyczyną Matki Bożej z Lurd”.

Sama woda z Lurd przedstawia dla lekarza problem nie lada. Na łamach „Dziennika Groty Lurdzkiej” (1.II.1953) dr Leuret złożył sprawozdanie, w którym podaje wyniki ostatnich analiz trzech rzeczoznawców. Według nich woda ze źródła jest jak najczystsza, natomiast w sadzawkach, gdzie kąpią się chorzy, są liczne mikroby, i to chorobotwórcze, a żadnych pierwiastków przeciwwzarazkowych w rodzaju penicyliny czy substancji radioaktywnych. Otóż pomimo braku takich pierwiastków nie było w historii Groty Lurdzkiej żadnego wypadku zarażenia nawet spojówki, choć chorzy bez selekcji zanurzają się w wodzie, nieraz całkowicie. Jest to tym więcej godne uwagi, że przy doświadczeniu woda z sadzawek, pełna po kąpieli mikrobów, zaszczerpiona świnie morskiej, zabija ją w kilka godzin, przez septicamię. „Jest to fakt kończy dr Leuret — który nie da się wyjaśnić naturalnie.”

Oprócz uzdrowień w Lurd następują przeobrażenia wewnętrzne: pociechy duchowe i nawrócenia. Jeśli nie wszystkie ciała są uzdrowione, to wszystkie dusze doznają pociechy. To, co uderza w Lurd, to doskonała rezygnacja chorych, którzy nie zostali wysłuchani: rozumieją wartość choroby. „Wierni w Lurd — jak pisze Ojciec św. Pius XII w encyklice *Fulgens Corona* — ożywiają swą wiarę, zapalają pobożność i starają się uzgodnić swe życie z zasadami chrześcijańskimi.” Również grzesznicy doznają tu wielkich łask. F. Mauriac z Akademii Francuskiej pisze: „W Lurd istnieje łaska osobliwa: ta wąska przestrzeń między Grotą i rzeką Gave, ten asfalt tak twardy dla kolan, zbiera nieustannie wody czułości i przebaczenia, które spływają niewidocznie ze świętej góry. Oto miejsce świata, gdzie człowiek najbardziej pyszny wyzuwa się ze swej fałszywej wielkości, miesza się w tłumie, od którego niczym się nie różni, chyba tylko liczbą i ciężarem grzechów. A jednak wzbiera w nim ufność, jak w dziecku, które po lekkim ruchu warg swej matki rozumie, że za chwilę uśmiechnie się i otworzy ramiona, że nadszedł moment, by się w nie rzucić.” Nic dziwnego, że w takim klimacie dzieją się liczne nawrócenia.

ŁASKI, POTWIERDZENIEM WSZECHPOŚREDNICTWA NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

Cuda i łaski lurdzkie, to popularna apologetyka chrześcijaństwa, to zwłaszcza — ciągły argument z doświadczenia na Wszechpośrednictwo Najśw. Maryi Panny. Iluż przeżywa w Lurd to, co przeżył w 1903 r. Alexis Carrel i opisał w swojej *Podróży do Lurd*, wydanej w 1949 r. Widząc chorych — m. in. gruźliczkę w ostatnim stadium choroby, Marię Bailly — podziwiał ich wiarę w potęgę i dobroć Niepokalanej. „O, jakbym ja chciał wierzyć, jak ci wszyscy nieszczęśliwi, że Ty, o Maryjo Dziewico, jesteś nie tylko cudownym źródłem, stworzonym przez nasze mózgi. Uzdrów więc tę dziewczynę, ona tyle cierpi. Dozwól jej pożyć trochę, a mnie — uwierzyć.” Przy Grocie na oczach jego dokonał się cud. I wtedy zaniósł do Niepokalanej modlitwę, podobną do modlitwy człowieka ewangelicznego, który wołał: „Panie, wierzę, ale pomnóż moją wiarę!” „Dziewico słodka — modlił się — pomocna dla nieszczęśliwców, którzy Cię pokornie błagają, strzeż mnie. Ja wierzę w Ciebie. Na moje zwątpienie raczyłaś odpowiedzieć olśniewającym cudem. Nie umiem go widzieć i jeszcze wątpię. Ale największym moim pragnieniem i szczytem wszystkich moich tęsknot jest wierzyć, wierzyć szalenie, ślepo, bez dyskusji i krytyki. Imię Twoje jest słodsze nad słońce poranne. Weź grzesznika o sercu niespokojnym i czole zmarszczonym, który męczy się w poszukiwaniu złudzeń. Pod pychą mego rozumu jęczy zduszone jeszcze, niestety, marzenie, najczarowniejsze ze wszystkich marzeń: wierzyć w Ciebie i kochać Cię, tak jak mnisi o białej duszy.”

Takim mnichem, o wierze dziecka, teologa i mistyka, był O. Maksymilian Kolbe. Nie potrzeba mu było cudów na potwierdzenie wiary świętej. Ale widząc, jak świat dzisiejszy szuka podpory dla swej wiary i ufności, często wskazywał na fakty nadprzyrodzone. W „Rycerzu Niepokalanej” wprowadził dział podziękowań Matce Najśw. za łaski. Umieszczał je z całą świadomością i bardzo je cenił, gdyż one właśnie były stałymi dowodami „potęgi i dobroci Niepokalanej”. Marzył o napisaniu całej mariologii, a nawet dogmatyki, i to nie „tak sucho i *a priori*”, jak najczęściej bywało, ale „w sposób popularny, ożywiony, z uwzględnieniem najnowszych wyników wiedzy, popierając rzecz także stwierdzonymi przez ludzi kompetentnych cudami”. Takie „objawienie w Lurd — według O. Kolbego — jest potwierdzeniem całej katolickiej prawdy”, a najbardziej tej ulubionej dlań prawdy, że Niepokalana jest Pośredniczką wszystkich łask. „Jeżeli prawdą jest, że Niepokalana rzeczywiście objawiła się Bernadecie z Lurd, to pewną jest rzeczą, że Ona żyje i kocha ludzi jak prawdziwa Matka.”

W objawieniach swoich Matka Boża celowo chce nas pouczyć o swym Wszechpośrednictwie łaski. „W ostatnich zwłaszcza czasach — pisze O. Maksymilian — widzimy Niepokalaną, Oblubienicę Ducha Świętego, jako naszą Pośredniczkę. W 1830 r. ukazała się świętej Katarzynie Labouré. Z opowiadania tej nowicjuszki poznajemy, że celem objawienia Maryi było: pokazać swe Niepokalane Poczucie i swą cudowną u Boga potęgę.” Podobnie ma się rzecz z objawieniem w Lurd, w którym wskazała też

Źródki na wykorzystanie potęgi swego Serca: pokutę i modlitwę. Od tej chwili Niepokalana zaczęła w Lurd sprawować rolę naszej Pośredniczki: zaprasza chorych..., aby ich uzdrowić i tak okazać naszą zależność od Niej w życiu naturalnym. Słodko też pociąga chorych na duszy, tj. niedowiar-ków i zatwardziałych grzeszników, i w serce ich wlewa życie nadprzyro-dzone, aby ich przekonać o swej mocy udzielania nam życia nadprzyro-dzonego. Wszystko, co dokonuje się w Lurd przez Najśw. Maryję Pannę, daje świadectwo prawdzie słów św. Piotra Damiana: «Przez niewiastę przyszło przekleństwo na ziemię i przez Niewiastę wraca na ziemię błogo-sławieństwo...» Niepokalana Dziewica potwierdza czynami to, co św. Ber-nard wyraził w słowach: «Taka jest wola Tego, który chciał, byśmy wszystko mieli przez Maryję.» Lekcja pogładowa Niepokalanej w Lurd była i jest jednocześnie jedną z największych interwencji w Jej opiece nad światem. Jak w różnych epokach życia ludzkości, tak i w naszych czasach, bo w roku 1858, Niepokalana podała rękę swym dzieciom, ginącym w odmętach niewiary i niemoralności." Jakże skuteczną była ta interwen-cja! Cuda lurdzkie — jak pisze Pius XII — „wzbudzały podziw wszystkich i zapewniały, że jedynie wiara katolicka jest dana i potwierdzona przez Boga. Z nimi następuje wiek przebudzenia katolickiego." O. Balic stwierdza, że „pod względem religijnym epoka, która się zaczęła z drugą połową ostatniego wieku, stanowi jeden z najbardziej kwitnących i wielkich okre-sów w historii Kościoła Katolickiego" i że właśnie „Lurd, to tryumf po-rządku nadprzyrodzonego, cudu Kościoła, to świadectwo i jeden z czyn-ników przebudzenia katolickiego".

Chcemy godnie podziękować Niepokalanej za objawienia i cuda w Lurd? Chcemy, by w pełni ziściły się nadzieje, jakie Ona w nas wzbudziła? Nie masz na to lepszego środka, jak przejąć się na dobre orędziem Maryi, jakie nam ogłosiła w Massabielskiej Grocie, i coraz rzetelniej wcielać je w ży-cie. W ciągu minionego stulecia nieraz głosem na puszczy było maryjne wołanie: *Pokuty, pokuty, pokuty*, niedostatecznie też modlono się za grzeszników, a stąd nie zawsze mogły się urzeczywistniać miłosne plany Matki Bożej. Obecny jubileusz, który uświadamia nas, że „Lurd po stu latach zachowało świeżość i blask swego zarania" (bp Théas), wprost zmu-sza, by nie przechodzić obojętnie obok potęgi Serca Niepokalanej. Poku-tujmy szczerze i módlmy się gorąco za grzeszników, czynmy to z każdym dniem coraz lepiej, a wówczas jeszcze obficie tryśnie maryjne źródło łaski i radośniej zabrzmi z serc ludzkich — tak często śpiewane w Lurd — „Magnificat", dziękujące Bogu za wielkie rzeczy, jakie zdziałał przez Nie-pokalana.

J. D.

**RZ. KAT. PARAFIA
NAJŚW. SERCA JEZUSA**

Radomsko

ul. Okrzei 2, Telef. 25-75

L. dz. 153

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Przedmowa	5
Lurd	7
Córka młynarza	9
Tajemnicza Zjawa	12
Dziecięcy „sobór”	14
W mieście zawrzało	17
A wieści się rozchodziły	18
„Obiecuję uczynić cię szczęśliwą”	19
Urabianie opinii	21
Co na to proboszcz?	24
Komedia czy halucynacje?	27
W komisariacie	31
W ogniu drwin	35
Komisarz się wścieka	38
Jestem, przyrzekam!	39
„Idź, powiedz księżom...”	41
„Pokuty, pokuty, pokuty!”	43
Naraz wytrysnęło źródło	45
Pierwsze uzdrowienie	49
Zagadka źródła	52
Uzdrowienia na oczach tłumów	54
„Jestem Niepokalane Poczęcie”	58
Wstęp zabroniony!	60
Intrygi masonów	66
Wysokie osobistości u Groty	71
Co to za woda?	74
„To jest nic w porównaniu z Najświętszą Panną”	79
Cuda nawracają	82
Badania Komisji Biskupiej	84
Uczeni o cudach	87
Jak wygląda Niepokalana?	90
Kościół się wypowiada	94
Autor o sobie	95
Jeszcze jeden cud	98
Nadszedł dzień uroczysty	102
Triumf małej pasterki	105
Posłowie	106